

WIESŁAW WERNIC



TROPY

WIODĄ PRZEZ PRERIĘ

CZYTELNIK

Wiesław Wernic

Tropy wiodą przez prerię

By ESKEL

Jezioro Jelenia

Zmierzchało. Słońce kryło się za granatową linię dalekich lasów. Bliżej, z amfiteatralnie ukształtowanego zbocza góry, porośniętego u szczytu starodrzewem, widać było rozległe kwadraty ciemnych krzewów. Przez zielony gąszcz — tu i tam — biegły jasne, kręte, wąskie ścieżki. Ponad krzewami sterczała kępa wysokich sosen. W oddali rosła samotna wyspa sześciu brzóz.

Żabi rechot rozlegał się i milkł. I tylko jeden jedyny ptak odzywał się, co pewien czas przeciągłym, smętnym nawoływaniem. Kiedy ostatnie wieczorne zorze znikły z nieba, umilkł i on. Wówczas, w całkowitej ciszy, jak aktor czekający na uspokojenie się widowni, na szarzejącą łąkę wbiegł jeleń, a za nim dwie łanie. Zatrzymały się tuż przy kępie sosen.

Z trawiastego zbocza góry widziałem dokładnie trzy rude plamy na zielonym tle krzewów, rozłożyste rogi i trzy głowy czujnie zwrócone w moim kierunku. Odległość w linii poziomej nie przekraczała dwustu kroków, ale znajdowałem się kilkadziesiąt jardów ponad tą naturalną sceną. Czy mogły mnie dojrzeć trzy pary bystrych oczu?

Przez kilka minut sarny przypominały nieruchome posągi. Naraz ożywiły się. Znikły w gęstwinie niskich świerków tak nagle, jak się pojawiły.

— Dlaczego nie strzelałeś? — zapytałem półgłosem Karola.

Mruknął coś niezrozumiale i wzruszył ramionami.

— Po co tyle mięsa? Brać w drogę nie ma sensu. Popatrz, ile tu zwierzyny. Te ścieżki wydeptane... Tędy chodzą do wodopoju. Pamiętaj nigdy nie strzelać dla samego strzału. Niejeden mądrala dla skrawka polędwicy kładzie dwustufuntowego rogacza. Wytnie kawałek mięsa, resztę zostawi. Padlina gnije i często staje się przyczyną zarazy dziesiątkującej zwierzynę.

— Tej nie zabraknie... — wtrąciłem.

— A właśnie. Dziewięćdziesiąt milionów sztuk bizonów żyło na ziemiach Ameryki wówczas, kiedy pierwszy raz pojawili się tutaj biali osadnicy. I cóż się stało z tymi bizonami? Jeśli dalej tak pójdzie, będziemy polować tylko na dzikie króliki. Ładna perspektywa, co?

Wstał powoli z miękkiej trawy, na której spoczywaliśmy półleżąc. Przerzucił przez ramię sztucer.

— Wracamy.

Przeszliśmy w poprzek wąskiego klina lasu, oddzielającego nizinę od dalekiej przestrzeni prerii. Tu, na skraju lasu, migotało żarzącymi się głowniami nasze ognisko. Dalej zbocze wzgórza spadało łagodnie, przechodząc w równinę porosłą trawą. Dwa konie, przywiązane na

długich linkach do pnia potężnego klonu, szczypały tę trawę, tupiąc głucho kopytami o ziemię.

Karol rozłożył derkę, usiadł na niej. Wydobywszy woreczek z tytoniem, długo i z namaszczeniem nabijał poczerniałą fajeczkę. Patykiem wygrzebał z popiołu wiśniowy węgielek, ujął dwoma palcami i zgrabnie położył na fajce. Uczyniwszy to, spojrzał na mnie wymownie. Zrozumiałem. Zwyczaj palenia tytoniu od lat mocno trzymał mnie w sidłach, zerwanie z nim w warunkach denerwującego życia miejskiego wydawało się rzeczą niemożliwą. Niespodziewanie — przed naszą wyprawą — Karol postawił bezapelacyjne weto przeciw paleniu. Nie w ogóle, ale przeciw paleniu papierosów.

— Możesz palić fajkę. Z papierosami koniec — zdecydował.

— Ale dlaczego?

— Po pierwsze dlatego, że przez kilka tygodni nigdzie ich nie kupisz.

— Wezmę na zapas. —- Na wóz może? Co?

— No, przecież paręset sztuk...

— Paręset sztuk nie wystarczy. Za to na pewno wystarczy pół funta tytoniu i fajka. Tyle zawsze zmieścisz. A poza tym chodzi jeszcze o co innego. O pożary.

— Jakie pożary?

— Prerii, lasu, obojętne zresztą, czego. Papierosy pali się często, rzuca się je nie dogaszone. Potem z tego kłopot. Fajkę będziesz palił tylko na postojach, przy ognisku. Starczy ci czasu, żeby ją oczyścić i nie zostawić żaru.

— Nie lubię fajki — protestowałem, ale już słabiej.

— To się przyzwyczaisz.

Z tym przyzwyczajaniem się było zupełnie źle. Tak źle, iż w cichości żywiłem nadzieję, że w ogóle od palenia się odzwyczaję. Teraz jednak — za przykładem Karola — sięgnąłem po fajkę. Siedzieliśmy w milczeniu, dopóki nie wyżarzyły się resztki tytoniu i główki fajek nie zostały dokładnie wyczyszczone. Karol dorzucił garść chrustu do wygasającego ognia i przesunął na środek ogniska grube polano.

— Zabezpieczenie na noc — powiedział. — Drzewo jest wilgotne, będzie się tliło do rana, ogień nie wygaśnie. Ucz się, wszystkiego trzeba się uczyć.

— Nie dręcz mnie.

— Będę cię dręczył aż do skutku, do dobrego skutku. Na dziś jednak dosyć, tylko krótka wprawka przed snem...

— Znowu?

— Jeszcze mi kiedyś za to podziękujesz. Nie traćmy czasu. Pójdziesz w prostej linii od ogniska na sto kroków. Ja tu będę siedział.

Zrezygnowany poszedłem w głąb czarnego lasu. Powtarzało się to za każdym naszym noclegiem. Karol uczył mnie sposobów bezszelestnego chodzenia i czołgania się. Nie było to łatwe. Spróbujcie czołgać się przez kilkanaście metrów w nocy, w lesie, i to tak, aby nie trzasnęła sucha gałązka, aby nisko rosnący konar nie zrobił wam guza na czole, aby nie pokłuć i nie poranić rąk!

Po odliczeniu stu kroków zatrzymałem się. Oczy stopniowo przyzwyczajały się do ciemności. Coraz lepiej rozróżniałem pnie starodrzewu i zarysy krzewów. Położyłem się na ziemi i leżałem parę minut. Wtedy zaświtała mi w głowie genialna, jak mi się wydało, myśl.

Po co czołgać się w lesie? Lepiej posuwać się brzegiem lasu, tam gdzie rośnie trawa, gdzie prawie nie ma zdradliwych, trzaskających gałązek. Tak też uczyniłem. Jak długo trwały męki posuwania się na brzuchu, kolanach i łokciach — nie wiem. Wydawało mi się, że wieki. Dotarłem jednak prawie pod sam klon, przy którym stały nasz-e konie. Dostrzegły mnie. Parsknęły parę razy i zatupotały. Wiedziałem, że taki sygnał zupełnie wystarczająco poinformował Karola o miejscu, w którym się znajduję. Wycofałem się więc spod klonu w głąb lasu i pełznąc cal po calu, dotarłem w zasięg nikłego blasku ognia. Przy ognisku nie było nikogo.

Prawie mokry od potu zwaliłem się na derkę. Dyszałem ciężko przez kilka chwil, potem zacząłem rozcierać bolące kolana. W trakcie tego zabiegu czyjaś dłoń nagle zacisnęła się na mojej szyi i szarpnęła do tyłu. Przewróciłem się na wznak.

— Otóż właśnie to — odezwał się spokojny głos Karola. — Gdyby w tym lesie żyły słonie, myślałbym, że to któreś z tych zwierząt przeciska się w gąszczu.

— Starałem się...

— Kiepsko się starałeś. Uważałeś, że wygodniej będzie posuwać się skrajem lasu, ale zapomniałeś, że na trawie pozostał znacznie wyraźniejszy ślad. Trzeba było podchodzić lasem. Nie pamiętałeś zresztą o koniach. Zdradziły cię od razu. Zawróciłeś do lasu. Byłem wtedy za tobą o trzy kroki... — przerwał spostrzegłszy na mej twarzy przygnębienie spowodowane tak ostrą krytyką. — Ale nie martw się. Postęp jest, zupełnie wyraźny. Gdybyś mógł widzieć siebie przy pierwszych próbach i dziś, sam zauważyłbyś zmianę. Wówczas ruszałeś się jak ryba wyjęta z wody... No, idziemy spać.

Zasnąłem natychmiast. Zbudził mnie wczesny świt wstającego dnia i ciepło buchającego z ogniska płomienia. Karol już się krzątał. Na cienkiej żerdce zawieszonej nad płomieniem skwierczał tłuszcz skapujący z dwóch pociemniałych kawałków mięsa. Odsunięte od ogniska, spoczywały na derce przyrumienione placki. Karol wetknął mi jeden w rękę. Był jeszcze ciepły. Potem dostałem mięso na patyku. Kilka minionych dni odzwyczaiło mnie od widelca. Nabrałem już pewnej wprawy w jedzeniu upieczonego mięsa, tak iż tłuszcz nie spływał za rękawy koszuli.

— Trochę przypalone — stwierdził samokrytycznie Karol. — Oskrob sobie nożem...

Nie oskrobałem. Patrzyłem przestraszony na swoje okropnie brudne, podrapane i pokłute dłonie.

— Nie martw się. Skończymy jeść — pójdziemy do wody. Umyjesz się.

Uporałem się dość szybko z mięsem i z plackiem. Za gasiliśmy dokładnie ogień, osiodłali konie, zwinęli manatki.

— Idziemy — komenderował Karol. — Konie za uzdy. W lesie się nie jeździ. Nie wiem, czy słyszałeś, że indiańskie plemiona zamieszkujące lasy nigdy nie używały konia do jazdy, najwyżej do transportu rannych. Naprzód!

Ruszyliśmy z wolna poprzez gąszcz krzewów, splątanych wysokich traw i paproci. Pachniało wilgocią i butwiejącym drewnem. Ptactwo witało dzień. Gdzieś w górze, między konarami potężnych drzew, rumieniły się wschodem skrawki nieba. Wędrówka była mozolna, na szczęście krótkotrwała. Któraś z wydeptanych przez zwierzynę ścieżek doprowadziła nas do łączki. Jeszcze dwa, trzy krzewy dzikiego bzu i oto ujrzałem stalową płaszczyznę wody. Pod kopytami koni zabulgotało. Ściągnąłem buty, spodnie, koszulę. Wskoczyłem do wody, trochę tylko szczękając zębami. Karol został na brzegu przy koniach.

— A ty? — zapytałem.

— Jak wyjdziesz — odpowiedział półgłosem. — I proszę cię, nie wrzeszcz tak. To nie łazienka w twoim mieszkaniu.

— Dobrze, o wodzu! — prychnąłem wodą. — Czy sądzisz, że nadciągną blade twarze po nasze skalpy?

— Nie błaznuj. Licho nie śpi.

Dno jeziora opadało łagodnie ku jego środkowi. Dopiero po kilkunastu krokach straciłem grunt pod nogami. Płynąłem.

Dziś, kiedy przepisuję te notatki, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że mój dawny zwyczaj corannej kąpieli w zimnej wodzie stał się przyczyną odkrycia, którego konsekwencje zaważyły na całym moim późniejszym życiu.

Popłynąłem więc ku środkowi jeziora; w smudze słonecznego blasku dostrzegłem ciemny pas lądu wrzynającego się w wodę. Jezioro rozdzielało się na dwie części przegrodzone tym półwyspem, czarnym jeszcze, pełnym nocnych cieni gęstych krzewów i wyniosłych drzew. Im bliżej płynąłem, tym lepiej odróżniałem pnie dębów. Postanowiłem tam „wylądować".

Ten pomysł był „szczytem idiotyzmu", jak to później słusznie określił Karol. Ciągle jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z niebezpieczeństw, jakie grożą każdemu w tych stronach, oddalonych o dziesiątki mil od najbliższych siedzib ludzkich w okolicach pełnych zwierzyny i możliwości nieoczekiwanych spotkań. Idylliczny przebieg dotychczasowej wędrówki skłaniał mnie do uznawania tych terenów za jakiś park podmiejski, tyle że pozbawiony ludzi.

Na dziesięć jardów od brzegu poczułem grunt pod nogami. Poczłapałem ku cyplowi. Pokrywał go drobny piasek. Usiadłem.

Spojrzałem na przeciwległy brzeg. Karol machał ręką, dając mi niedwuznacznie do zrozumienia, iż czas wracać. Pokiwałem mu dłonią w odpowiedzi i siedziałem dalej beztrosko, uderzając piętami o gładką powierzchnię jeziora.

Poranny chłód spędził mnie z piasku. Zamiast wskoczyć do wody, udałem się w głąb lądu. Za krzewami otoczył mnie cień wysokopiennego lasu, nie na tyle głęboki, żeby nie pozwolił mi dostrzec na kilka kroków od brzegu, pod rozłożystym dębem, szarego koła spopielonej trawy. Walały się tam poczerniałe, zwęglone patyki. Schyliłem się, aby podnieść jeden z nich. Zawadziłem nogą o wystający korzeń i runąłem całym ciałem w popielisko. Zerwałem się natychmiast. Popiół był ciepły. Znieruchomiałem. Las wydał mi się w tej chwili pełen niebezpieczeństw. A przecież nie dostrzegłem nikogo. Nie usłyszałem nic prócz potężniejących głosów ptactwa.

Prawie na palcach, starając się nie nadeptywać na suche gałązki —- ostrożność po czasie — doszedłem do brzegu. Zanurzyłem się w wodzie i popłynąłem.

Karol czekał z marsową miną.

— Ubieraj się. Wracamy.

— Wracamy?... Dokąd?

— Na południe.

— Jak to?

— Nie mogę brać za ciebie odpowiedzialności, rozumiesz? Jeżeli mamy wrócić cali i zdrowi, nie wolno ci tak postępować.

— Ależ, Karolu, o co chodzi?

— O wszystko, coś zrobił przed kilku minutami. To jezioro nie jest basenem pływackim w twoim mieście!

Zwiesiłem głowę.

— Przyznaję, masz rację. Postąpiłem jak głupiec. To
się więcej nie powtórzy, daję słowo.

Popatrzył na mnie badawczo, wreszcie uśmiechnął się.

— Pamiętaj! — pogroził mi palcem.

— Karolu... trafiłem na ślad po ognisku.

Nie wykazał wielkiego zainteresowania.

— Ktoś tu musiał obozować. Miejsce wymarzone do polowania. No, ubieraj się.

— Karolu, popiół jest jeszcze ciepły.

— Co?

W paru słowach opowiedziałem o moim odkryciu.

— Zostaniesz tu z końmi. Usiądź pod tym krzakiem i nie pokazuj się na brzegu jeziora, jeśli ci życie miłe!

Natychmiast zniknął mi z oczu. Konie szczypały trawę. Jakiś ptak pokrzykiwał w oddali głosem przypominającym nawoływanie człowieka: „Ho — ho — ho!" Minuty samotności wlokły się bez końca. Spod zielonych liści obserwowałem brzeg półwyspu. Był pusty, ale w pewnej chwili jakieś puszyste rude zwierzątko wychynęło z cienia dębów i pobiegło ku wodzie. Zatrzymało się nad brzegiem, pewnie piło. Potem zniknęło w lesie.

Karola nie było dobrą godzinę. Wrócił uśmiechnięty.

— Nie ma nikogo. Powstaje tylko pytanie, czy oni odeszli tak pospiesznie dlatego, że nas spostrzegli, czy dlatego, że nas nie widzieli?

— Oni?...

— Trzech ludzi, pięć koni. Dwa juczne.

— Skąd wiesz, że się spieszyli? — zapytałem.

— Nikt nie zostawia tak cennej tutaj rzeczy jak zapałki. Patrz — pokazał pudełko. — Chodźmy.

Wzięliśmy konie za uzdy. Karol pierwszy, ja za nim. Droga wiodła wąskim pasem trawy, ciągnącym się między dwoma szpalerami gęstych zarośli, zaledwie parę kroków od jeziora. Przeszliśmy tak może pół mili, kiedy drogę przeciął nam wysoki gliniasty próg. Z jednej strony przechodził on we wzgórze porosłe lasem, z drugiej spadał stromo ku widocznej stąd płaszczyźnie wody. Świetna okazja do skręcenia karku. Trzeba było konie przeprowadzać dookoła wzgórza, co zajęło sporo czasu. Wreszcie osiągnęliśmy podstawę półwyspu.

— Chodzić tam nie ma po co — tłumaczył Karol. — Ślady wiodą aż na sam cypel, do ogniska. Potem wracają. Zaraz zobaczysz.

Istotnie, były zupełnie wyraźne. Po zgiętych jeszcze łodygach trawy można było poznać, iż deptały je kopyta końskie nie dawniej niż przed godziną-dwiema. Poszliśmy tropem. Ślady wiodły wzdłuż jeziora, a potem odrywały się od niego i skręcały ku północy. Skierowaliśmy się za nimi aż do płytkiego kamienistego parowu, pozostałego po wyschłym wiosennym strumieniu. Po przejechaniu parowu skończyły się zarośla. Przed nami rozciągała się falista, błyszcząca w słońcu zielenią preria. Odciski kopyt znikły. Karol zatrzymał się niezdecydowany.

— Musieli skręcić. Właśnie tam, w parowie, na kamieniach.

— Cóż nas to właściwie obchodzi?
— Widzisz, czasem dobrze jest wiedzieć, kogo się ma w sąsiedztwie.
— Popędźmy konie, a pozbędziemy się sąsiedztwa.

Zaledwie skończyłem wymawiać te słowa, gdy rozległ się grzmot wystrzału. Bliski, wyraźny.

Karol nasłuchiwał chwilę, ale strzał się nie powtórzył.

— Popędźmy konie, Janie. Wszystko to jakoś dziwnie mi się nie podoba.
— Dlaczego?
— Nie mógłbym tego wytłumaczyć. Jeśli chcesz, nazwij to przeczuciem lub czymś w tym rodzaju. Jedźmy już!

Tajemniczy pacjent

W roku 1880 byłem zastępcą naczelnego chirurga w szpitalu w Milwaukee nad jeziorem Michigan. Ten monotonny i w gruncie rzeczy nudny okres mego życia przerwany został przez niezwykły przypadek.

W lecie tego roku, w okresie urlopów, zostałem na oddziale chirurgicznym sam jak palec, nie licząc dwóch sanitariuszy i kilku pielęgniarek. Pacjentów było mało. Najczęściej zdarzały się przypadki nieskomplikowane. Nudziłem się setnie. Któregoś dnia zawiadomiono mnie, iż przybył nowy chory. Poprosiłem go do mojego gabinetu. Sprowadzono, a raczej wniesiono go do pokoju. Osunął się ciężko na fotel. Był to młody mężczyzna, około trzydziestki. Oddychał ciężko i z wysiłkiem. "Widziałem, iż siłą woli powstrzymuje się, aby nie jęczeć. Twarz miał opaloną, ale spod opalenizny przebijała, tak dobrze mi znana, bladość człowieka chorego, cierpiącego.

— Noga, doktorze — szepnął, kiedy spojrzałem nań
pytająco. — Rana się odnowiła...

Rozebraliśmy go z sanitariuszem. Rana była istotnie paskudna. Ciągnęła się wzdłuż lewego uda zaogniona, ropiejąca.

— Któż to pana tak urządził?
— Stara, zeszłoroczna jeszcze historia. Teraz się odnowiła. Za dużo było wody.

Puściłem mimo uszu to ostatnie, niezrozumiałe wyjaśnienie.

— Któż to pana tak urządził? — zapytałem raz jeszcze.

Coś na kształt iskierki humoru błysnęło w źrenicach szarych oczu.

— Niedźwiedź, doktorze. Niedźwiedź. Grizzly... Przyjrzałem mu się uważniej.
— Wypadek?

Uśmiechnął się znowu.

— Jeśli to można nazwać wypadkiem... Ot, coś w rodzaju polowania...

Podobał mi się ten trochę kpiarski ton. Ileż wysiłku musiał go kosztować w takiej sytuacji!

— Dlaczego pan tak późno do nas się zgłasza?
— Dlaczego? Znad Saskatchewan spory kawał drogi, a to właśnie tam się stało.
— Przecież były bliższe miasta po drodze?
— Początkowo sprawa nie wyglądała groźnie, doktorze.

Zresztą miałem tu do załatwienia pewne interesy...

Przerwałem rozmowę. Nowy pacjent został umieszczony na ogólnej sali. Nie chciał separatki, mówił, że zanudzi się na śmierć. A może zadecydował po prostu wzgląd na dość słone koszty pobytu w separatce?

Pacjent wykąpany, obłożony opatrunkami, natychmiast zapadł w głęboki, niespokojny sen. Budził się z niego kilkakrotnie w ciągu dnia i nocy. Wydawało mi się, iż podczas tych przerw we śnie nie poznaje swego otoczenia, nie zdaje sobie sprawy, gdzie się znajduje. Noga lekko obrzękła, siny pas wystąpił wokół rany, temperatura ciała chorego utrzymywała się na niebezpiecznej wysokości. Czym w konsekwencji to groziło, zdawałem sobie dokładnie sprawę. Dla chirurgów z ówczesnych lat problem leczenia przedstawiał się zazwyczaj bardzo prosto: nóż był traktowany jako niezawodny, niemalże jedyny środek przywracający zdrowie pacjentowi. Ale kosztem jakiej ofiary?

Nie mogłem nigdy się pogodzić z tego rodzaju poglądem. I teraz strachem przejmowała mnie myśl o amputacji nogi. Wypuszczanie ze szpitala zdrowych kalek było w istocie rzeczy szyderstwem z wiedzy medycznej. Ale cóż mogłem począć w danym wypadku? Pacjentowi groziła śmierć w wyniku gangreny.

Trzeciego dnia na pół przytomnego kazałem przenieść do separatki. Posadziłem w niej pielęgniarkę. Zastosowałem środki wzmacniające serce. Ciemny pas wokół ropiejącej rany stawał się coraz szerszy.

Nie traktowałem nigdy pacjentów wyłącznie jako „przedmiotów", indywidualizowałem ich i pragnąłem zrozumieć. Starałem się nie zamykać w czterech ścianach kanonów swej wiedzy fachowej. Tym razem mocniej niż zwykle odczuwałem niepokój o zdrowie pacjenta. Stan jego pogarszał się. Czwartego dnia rankiem zdecydowałem się na amputację nogi w pachwinie. Operacja miała się odbyć w godzinach popołudniowych. Myślałem o niej z goryczą w sercu i z prawdziwą złością na bezradność naszej wiedzy medycznej. Z posępnych rozmyślań w gabinecie wyrwał mnie jakiś hałas. W obowiązkowej ciszy szpitalnego budynku — tak surowo przestrzeganej — było to wydarzenie niecodzienne. Gwar nie cichł. Otworzyłem drzwi i wyszedłem.

"W końcu długiego korytarza, gdzieś przy drzwiach wejściowych prowadzących na niski ganek i do ogrodu szpitalnego, dojrzałem grupę osób. Trzy z nich były w białych fartuchach — personel szpitalny. Dwie już na pierwszy rzut oka wydawały się obce. Cała ta grupka rozmawiała, a raczej kłóciła się podniesionymi głosami. Przyspieszyłem kroku.

Na mój widok ucichli. Rozpoznałem teraz Jerzego Davisa, młodego, początkującego lekarza, nad którym sprawowałem „opiekę", pielęgniarkę — o, zgrozo! — tę właśnie, która powinna teraz znajdować się w separatce mego
pacjenta, i starszego sanitariusza oddziału. Poza tą trójką — zdziwienie pozbawiło mnie na chwilę głosu — przy samych drzwiach stało dwóch niecodziennych gości — czerwonoskórzy! W swych malowniczych strojach, oni jedni spokojni w tej grupie, wyglądali jak barwne posągi.

— Co pani tu robi, panno Johnston? Pielęgniarka zaczerwieniła się aż po czubki uszu.

— Proszę wracać do chorego. — Kiedy odeszła, zapytałem Davisa:

— Co tu się dzieje?

— Indianie, doktorze...

— To widzę. Ale o co im chodzi?

— Przyszli z wizytą.

— Do kogo?
— Jeśli dobrze zrozumiałem, do tego chorego z raną nogi.
— Ale jak tu weszli? — wtrącił pielęgniarz. — Przecież portier nie mógł ich wpuścić.
— Pewnie przez płot — odrzekł Davis — dla takich nie ma nic niemożliwego. A swoją drogą, do czego to dochodzi...
Spojrzałem nań ostro. Tego dnia byłem zły jak przysłowiowy chrzan. Urwał w połowie zdania.
Dla lepszego zrozumienia sytuacji wyjaśnić muszę, iż niespodziewana wizyta Indian w szpitalu wydarzyła się w cztery lata po słynnej klęsce generała Custera podczas wyprawy przeciw Siouxom. Pamięć tej klęski bynajmniej nie wygasła wśród białych osadników zachodu; żywa była również i tu, na wschodzie, a przekazywana w opowiadaniach, odpowiednio urabiała opinię nawet tych, którzy nigdy nie zetknęli się z czerwonoskórymi. Nie można się więc dziwić, że i ja byłem święcie przekonany o naszej „misji cywilizacyjnej" na zachodzie Ameryki, o bezgranicznym okrucieństwie i bezgranicznej dzikości odwiecznych przecież gospodarzy tej ziemi.
Gdyby nieproszeni goście przybyli do kogokolwiek innego, nawet bym z nimi nie rozmawiał. Ale tu chodziło przecież o mojego pacjenta!
Spojrzałem na Indian. Do tej pory nie odezwali się słowem. Obaj mieli kruczoczarne włosy gładko zaczesane nad czołem, spływające długimi kosmykami na ramiona. Obaj w jasnych jelenich bluzach, w skórzanych, barwnie wyszywanych legginsach i mokasynach ozdobionych kolorowymi paciorkami. Nie, nie wyglądali na reprezentantów „bezgranicznej dzikości". Patrzyli na mnie spokojnie, wsparci na lufach długich sztucerów. Ta broń była równie piękna, jak ich stroje.
— Czego chcecie? — zapytałem.
Zabrał głos wyższy z przybyłych. Nie potrafię dosłownie przytoczyć tego, co mówił po angielsku — dość zrozumiale, ale przekręcając zabawnie niektóre wyrazy, i to tak, że sensu ich raczej tylko się domyślałem.
To nie była grzecznościowa wizyta. Indianie przywieźli z sobą jakiś lek, który w sposób szybki i radykalny miał uleczyć ich „białego brata".
Skąd wiedzieli o ranie?...
Wiedzieli, bo przed rokiem byli świadkami tego wypadku. Szary niedźwiedź rzucił się na białego brata i mocno go poturbował. Biały brat leczył się u nich, ale zbyt krótko. Potem rana się odnowiła, lecz — tu padło jakieś niezrozumiałe dla mnie słowo — nie mógł u nich zostać.
Na pytanie, jak tu trafili, otrzymałem krótką odpowiedź: dobry tropiciel śladów trafi wszędzie.
Dowiedziałem się na koniec, że przybysze pochodzą z plemienia Czarnych Stóp i że przywędrowali aż znad Rzeki Mlecznej, aby się zobaczyć z białym bratem.
Zapytałem, dlaczego tak się troszczą o zdrowie białego człowieka.
— On mnie uratował... — odpowiedział niższy wzrostem Indianin.
Davis w milczeniu przysłuchiwał się naszej rozmowie.
— Oni mają swoje metody, doktorze — wtrącił półgłosem.
— Metody?...
— Nieraz słyszałem o ich metodach leczenia. Pomagają, niekiedy w jakiś całkiem cudowny sposób.

— Uważa pan, że powinniśmy je stosować? — zapytałem oschle.

— No nie, ale w danym wypadku ryzyko jest tak minimalne...

Rozmowa przeciągała się. W licznych drzwiach korytarza raz po raz ukazywały się czyjeś głowy. Wieść o wizycie Indian obiegła już zapewne cały szpitalny budynek.

— Chodźmy do gabinetu — zdecydowałem nie mogąc się zdobyć na odprawienie z kwitkiem przybyszów.

Poszedłem przodem razem z Davisem, za nami kroczyło dwóch czerwonoskórych, pochód zamykał pielęgniarz.

— Mówi pan, że ryzyko jest minimalne, ale przecież jeżeli dziś nie przeprowadzimy amputacji nogi, jutro może być za późno.

— Czy pacjent wytrzyma taki zabieg? — wysunął swe wątpliwości Davis. — Organizm wyczerpany...

Weszliśmy do gabinetu. Wskazałem czerwonoskórym dwa fotele przy biurku. Siedli trzymając karabiny między kolanami. Zażądałem, aby natychmiast odstawili je gdzieś w kąt. Usłuchali bez słowa protestu.

Pielęgniarz stał w na pół otwartych drzwiach. Odesłałem go pod pozorem przygotowania sali operacyjnej. Odesłałem nie bacząc na pocieszne znaki, które dawał, aby zwrócić mi uwagę na niebezpieczeństwo grożące ze strony „dzikich".

— Jakież to leki przywieźli z sobą czerwoni bracia? —

zapytałem, przy czym — ze wstydem przyznać muszę — słowo „bracia" ledwie mi przez gardło przeszło.

Pokazali butelkę z tykwy pełną jakiegoś płynu i wiązkę pachnących ziół. Nie dowiedziałem się ich nazwy. Potrząsnąłem przecząco głową.

— Nie mogę się zgodzić na takie „leczenie".

Tę decyzję przyjęli dziwnie spokojnie. Zapytali, czy mogą odwiedzie — tu znowu padło jakieś dziwne słowo.

Nie było sensu odmawiać. Poprosiłem tylko o pozostawienie broni. Skinęli głowami. Ruszyliśmy na piętro, do separatki.

„Mój" pacjent leżał z oczami utkwionymi w sufit. Był przytomny. Spostrzegł mnie natychmiast. Uśmiech rozjaśnił jego zmęczoną twarz. Dojrzał za moimi plecami niespodziewanych gości. Jakiś błysk zamigotał w przygasłych źrenicach jego oczu. Począł mówić półgłosem. Nie, nie do mnie. Zwracał się do Indian, chyba w ich języku. Nie rozumiałem ani słowa. Mówił odpoczywając co pewien czas przez dobre kilka minut. Odpowiedzieli mu krótko w tym samym języku.

— To już wszystko — odezwał się po chwili milczenia. — Bardzo przepraszam, doktorze. Musiałem natychmiast wyjaśnić pewne sprawy. Doktorze, proszę o wypisanie mnie ze szpitala.

— Czy pan... — Ugryzłem się w język, chciałem powiedzieć: „oszalał". — Czy pan zdaje sobie sprawę ze stanu swego zdrowia?

— Najzupełniej. Dlatego właśnie nie chcę stąd wyjść jako zdrowy... kaleka.

— Co pan opowiada?

— Wiem, panie doktorze, że za jedyny ratunek dla mnie uważa pan amputację nogi. To nieważne, skąd o tym wiem — dodał szybko, widząc moje poruszenie. — Sądzę, że nie będzie mnie pan krajał bez mojej zgody. Po prostu... po prostu... nie dam się i basta. —

Uśmiechnął się. — Niech się pan na mnie nie gniewa, doktorze, ale nie mogę się zgodzić na kalectwo. To by przekreśliło wszystkie moje plany życiowe. Wszystkie...

Osunął się na poduszkę i przymknął oczy. Milczeliśmy. W ciszy słychać było czyjeś dalekie, przytłumione kroki, szum wiatru za oknem i niewyraźne głosy miasta. Pamiętam po dziś dzień ten obraz szpitalnej separatki, tę chwilę milczenia, którego nikt nie chciał przerwać.

Uczyniłem to z dużym wysiłkiem.

— Proszę zdjąć opatrunek — zwróciłem się do pielęgniarki.

Mówiłem jakimś dziwnie nieswoim, drewnianym głosem. Jak automat.

Szelest odrzucanej kołdry. Woń ostrych środków dezynfekcyjnych i psującego się ciała ludzkiego. Rana wyglądała okropnie — purpurowa, zaropiała. Czarny pas i siniejąca skóra świadczyły o postępującym zakażeniu.

Ręką wskazałem na łóżko. Dwaj czerwonoskórzy zbliżyli się, pochylili nad ropiejącą nogą. Wymienili kilka krótkich niezrozumiałych słów.

Pacjent otworzył oczy.

— Jeżeli, pan się zgadza, doktorze, proszę nam dać trochę gazy — powiedział cichym głosem. — Jeżeli nie...to przy pomocy moich przyjaciół jakoś się stąd wyprowadzę.

Davis i pielęgniarka patrzyli na mnie pytająco.

„Wylecę stąd jak z procy — pomyślałem. — Znachorskie praktyki w szpitalu! Odkąd istnieje Milwaukee, nic podobnego jeszcze się nie wydarzyło." W wyniku tych ponurych przewidywań... zgodziłem się na wszystko. Była to prawdziwa zgoda desperata. Przyniesiono świeże bandaże. Bez mrugnięcia, okiem patrzałem, jak ropiejącą ranę spryskiwano płynem z tykwy, jak przykładano zioła, jak to wszystko zabandażowano. Bezstronnie przyznać musiałem, że Indianie wykazali dużą wprawę. Gdzie się nauczyli bandażowania — było dla mnie nieodgadniona tajemnicą.

Kłopotliwi goście odeszli bez słowa.

— Przyjdą tu jutro rano, jeżeli pan pozwoli, doktorze. Machnąłem ręką.

— Narobił mi pan...

— Przyznaję, moja wina, ale przecież chciałem ratować nogę.

— Ratować?...

— Za tydzień będę chodził nie gorzej niż pan.

Spojrzałem na niego jak na wariata. Wyszliśmy z pokoju. Na wypadek pogorszenia się stanu chorego kazałem pielęgniarce natychmiast mnie o tym zawiadomić.

Nazajutrz czerwonoskórzy znowu przybyli do szpitala. Faktem jest, iż zaognienie rany ustąpiło. Ciemny pas stracił na intensywności. Piątego dnia tej kuracji rana poczęła się goić. Niebezpieczeństwo gangreny znikło. Byłem zdumiony nie mniej od Davisa i pielęgniarki, która zdaje się podejrzewała Indian o jakieś czary.

Siódmego dnia pozwoliłem pacjentowi przespacerować się kilka kroków po korytarzu. Był jeszcze bardzo osłabiony. Zaglądałem do jego separatki codziennie, poprawiał się w oczach. O przyczynach ozdrowienia nie wspominał, sądził być może, iż sprawi mi tym przykrość. Ostatecznie przecież pokonany został przedstawiciel oficjalnej wiedzy medycznej. Ziołowa kuracja indiańska dokonała rzeczy niemożliwej do osiągnięcia przy pomocy środków, jakimi wówczas dysponowaliśmy.

— Kim pan właściwie jest? — zapytałem pacjenta któregoś dnia.

Widać było, że jest tym pytaniem zaskoczony.

— Nazywam się...

Machnąłem ręką.

— Nazwisko pana mamy w kartotece, tak jak nazwiska wszystkich innych chorych. I przecież nie o to mi chodzi. Zresztą, jeżeli pan nie chce... Nie będę nalegał.

Zamyślił się.

— Zawdzięczani panu bardzo wiele, doktorze. Nie każdy lekarz zgodziłby się przecież, aby w jego szpitalu ktoś inny decydował o leczeniu...

— Mniejsza z tym. Będę miał jeszcze sporo kłopotów, ale co to pana obchodzi.

— Właśnie, że obchodzi. Ale o tym — potem. Pyta się pan, kim jestem? Pytanie to spowodowała na pewno niespodziewana wizyta. Ostatecznie nie do każdego pacjenta zgłaszają się czerwonoskórzy. Ci dwaj nieproszeni goście pochodzą z plemienia Czarnych Stóp. Ich tereny rozciągają się na granicy Stanów i Kanady, przeważnie po stronie Kanady. Fort Benton nad Missouri to chyba najbliższa osada białych. Skąd ich znam? Ano stąd po prostu, że od wielu lat korzystałem z ich gościny, że pozwolili mi polować na swych łowieckich przestrzeniach.

— Zdumiewające — zauważyłem. — Czerwonoskórzy raczej nie znoszą traperów.

— Pan w ich położeniu odczuwałby to samo. Ale taki stosunek nie rozciąga się bynajmniej na wszystkich białych.

— Dlaczego?

— Na to pytanie nie da się odpowiedzieć w kilku słowach. Powiem panu tylko tyle, że ci dwaj to nie byli zwyczajni Indianie. Jeden z nich to Długi Niedźwiedź — doświadczony wojownik, z którym Czarne Stopy bardzo się liczą. Drugi — to jeszcze ważniejsza figura. Czarownik. Jakby naczelny czarownik plemienia, jeżeli tak można się wyrazić. Nazywa się Czerwona Chmura. Zdarzyło się, iż przypadkiem wyratowałem go z pazurów szarego niedźwiedzia. Wówczas odniosłem tę paskudną ranę.

— Rozumiem. Przez wdzięczność przyszli panu pomóc. Zdumiewające, jak na... czerwonoskórych.

— Nie — zaprzeczył gwałtownie. — Zdumiewające jest raczej to, że my, żyjąc o miedzę z Indianami, tak mało ich znamy i rozumiemy. Czy pan się kiedy zetknął z czerwonoskórymi, doktorze?

— Bezpośrednio dotąd nigdy. Po raz pierwszy — tutaj.

— A pośrednio?

— Pośrednio?... No, słyszałem trochę o Indianach od osób przybywających z zachodu.

— Oczywiście historyjki podane w odpowiednich barwach. To pewne, że nie wszyscy Indianie są jednakowi. Tak jak nie wszyscy biali. Ale to, co się mówi o ich dzikości i krwiożerczości, znacznie lepiej pasuje właśnie do nas.

— Znam przebieg wyprawy generała Custera...

— Ja również — przerwał — ale czegóż ona dowodzi?

— Rozgromiono, wymordowano doborowy oddział naszych wojsk. Dlaczego?

— Dlatego, że ten doborowy, jak pan mówi, oddział miał po prostu za zadanie wypędzić Indian z ich odwiecznych terenów. Cóż dziwnego, że się bronili? Oni dobrze pamiętają, że ich tipi stały niegdyś i tu, we wschodnich stanach. A dzisiaj?

— Potrzebujemy nowych terenów osadniczych.

— Czy ich już właśnie potrzebujemy, można by się spierać, ale metoda, jaką je zdobywamy, jest dla mnie wstrętna.

Dosłownie wytrzeszczyłem oczy na Karola (wiedziałem już, że takie nosi imię). Nie spotkałem się jeszcze nigdy z białym człowiekiem, który by wygłaszał tego rodzaju teorie.

— Wstrętna? — powtórzyłem. — Jakoś nie myślą o tym ci czerwonoskórzy, którzy brali udział w walkach właśnie po stronie Custera.

— Są to po prostu zdrajcy albo... głupcy. Przecież ci „dobrzy Indianie", którzy pomagają nam w ostatecznym zgnębieniu swych braci, kręcą powróz na własną szyję. Potrafiliśmy w sposób bardzo perfidny szczuć, kiedy było potrzeba, jedne szczepy przeciwko drugim. Tradycje mamy pod tym względem bardzo dawne, sięgające okresu walk francusko-angielskich o Kanadę. Byli wtedy „francuscy" Indianie i „angielscy" Indianie, tak jak teraz są „dobrzy" i „źli”.

— Więc cóż mamy czynić? Spakować manatki i wynieść się za ocean?

— Tego nikt się dziś nie domaga, nawet Indianie. Chodzi po prostu o inny stosunek do gospodarzy tej ziemi, do pierwszych jej gospodarzy. Nauczmy ich lepszych form gospodarowania, dajmy im oświatę, przestańmy ich oszukiwać i rozpijać, uczyńmy współgospodarzami kraju. Mają do tego pełne prawo.

— A w zamian za to oni będą napadać na osadników i zdzierać skalpy z naszych głów.

Pożałowałem tych słów natychmiast po ich wypowiedzeniu. Po raz pierwszy ujrzałem, jak Karol poczerwieniał na twarzy. Chciał coś odpowiedzieć, ale powstrzymał się. Widziałem, jak jego długie palce zacisnęły się kurczowo na kołdrze. Wstałem z krzesła i opuściłem separatkę.

Jutro na prerię!

Przez cały następny dzień czyniłem sobie wyrzuty. Ładny ze mnie lekarz, który prowokuje pacjenta do zwierzeń, a potem denerwuje go. Byłem teraz pewien, że Karol zamknie się w sobie i na interesujący mnie temat nie powie już ani słowa.

Moje przewidywania sprawdziły się. Wizyty w separatce stały się znowu tylko oficjalnymi wizytami lekarskimi. Wszelkie próby wciągnięcia Karola w jakąś dłuższą pogawędkę nie dawały wyników. Martwiło mnie to nie na żarty, tym bardziej iż „mój" pacjent czuł się coraz lepiej i zbliżała się chwila wypisania go ze szpitala.

Któregoś słonecznego dnia spotkałem Karola w szpitalnym ogrodzie. Odbywał tu przechadzki, zabijając w ten sposób nudę i — jak twierdził — na nowo ucząc się chodzić. Spacerował teraz wolno, podpierając się laską. Zaczepił mnie pierwszy:

— Przepraszam, doktorze, czy sądzi pan, że jazda konna zaszkodziłaby mojej nodze?

— Sądzę, że obecnie bardzo by zaszkodziła. Mogłoby się wszystko zacząć od nowa. Niechże pan poczeka jeszcze z tydzień. Cóż pana tak przypiliło?

— To właśnie, to... — wykonał nieokreślony ruch ręką, — Liście, kwiaty, trawa... Zaczynam źle się czuć w miejskich murach.

— Preria ciągnie, co? — zaryzykowałem pytanie.

— Ciągnie — przyznał z uśmiechem. — Gdyby pan choć raz jeden widział prerię, step falujący jak morze w podmuchach wiatru, wysokie trawy sięgające po ramiona i ten zapach, zapach wielkiej przestrzeni... Ech, gdyby pan to widział, ciągnęłoby i pana.

— Usiądźmy — wskazałem stojącą w pobliżu ławeczkę. — Pali pan?

— Odzwyczaiłem się od papierosów. Tam się pali fajki. Ale spróbuję.

„Tam" — miało oznaczać nie znany mi świat lasów, stepu, dzikich zwierząt i ludzi.

— W tym roku, pod koniec zimy, wybrałem się nad Rzekę Mleczną — zaczął opowiadać Karol zapaliwszy papierosa. — Nieszczęśliwa to była wyprawa. Zwierzyna zawiodła. Na dobitkę straciłem konia w nadrzecznych bagniskach, a i sam ledwie z życiem wyszedłem. Im mocniej się szarpałem, tym bardziej zapadałem w głąb. To było paskudne. Pogrążony po pachy w grząskim mule, czekałem na nieuniknione w takich wypadkach zakończenie. Byłem sam jak palec w tej wielkiej szarej przestrzeni. Pochmurne niebo, ciemna preria i wiatr przenikający do szpiku kości... Po godzinie, a może po paru zdrętwiałem na kamień. Przestałem nawet myśleć. Pogrążyłem się jakby w półśnie. To było okropne. Tak dotrwałem do świtu dnia następnego. O dziwo — przestałem się zapadać w bagno.

Nie wiem, na co trafiły moje stopy: na głaz czy na butwiejący pień drzewa, dość że stałem teraz na jakimś mocniejszym gruncie. Poranny przymrozek skuł lodem powierzchnię bagniska. Ostatkiem sił począłem próbować ratunku. Te niezdarne wysiłki rozgrzały mnie nieco. Nie wiem, jak długo to trwało, może godzinę, może dwie. Wydostałem się jakoś. Dobrnąłem na suchsze miejsce. Stać nie mogłem, czołgałem się na rękach, wlokąc za sobą drewniane nogi. Niedaleko zawędrowałbym w ten sposób. Na szczęście znaleźli mnie dwaj wojownicy Czarnych Stóp i zawieźli do obozu. Im zawdzięczam, że żyję. Im i ich tajemniczej wiedzy, która wyciągnęła mnie z choroby. Trzy dni leżałem jak kłoda, nieprzytomny. Przerwał, żeby zaciągnąć się papierosem.

— I wtedy odnowiła się rana — wtrąciłem.

— Wtedy. Ale i na to znalazłby się sposób. Nie chciałem słuchać Czerwonej Chmury. Dobrze radził, żeby jeszcze poleżeć kilka dni. Ot, i z tego wynikła cała bieda... Więc — zmienił nagle temat — kiedy będę mógł stąd wyjść?

— Kiedy tylko pan zechce, ale... rusza się pan jeszcze jak mucha w miodzie. Radzę więc poczekać.

— Jak długo?

— Przy pana zdrowym organizmie starczy chyba z tydzień.

— No, tyle to chyba wytrzymam.

— A potem?

— Potem? Zdążę jeszcze zobaczyć prerię tego lata.

Byłem zadowolony z tej rozmowy. Niefortunna dyskusja na tematy indiańskie nie zniechęciła do mnie tego ciekawego człowieka. Następnego dnia przyniosłem mu kilka książek. Był wybredny. Jakiś kryminalny romans od razu mi zwrócił. Powieść o cowboyach odłożył na bok.

— To bujda — rzekł usprawiedliwiającym tonem. — Autor powąchał prerię pewnie tylko z okna wagonu. Przeglądałem kiedyś tę książkę. Szkoda na nią czasu.

Zdziwiłem się. Musiał to zauważyć, bo powiedział:

— Założyłbym się, że jakoś nie mieszczę się w pana pojęciach o traperach, cowboyach i kanadyjskich „przebiegaczach lasów". Zgadłem, prawda?

— Istotnie. Zawsze wyobrażałem sobie tych ludzi jako nieco — zawahałem się — surowych kulturalnie. Takich, co raczej gardzą książką, a jeśli już czytają, to tak zwane „kryminały" lub sensacje najgorszego gatunku.

— Są i tacy. Jest ich nawet większość, ale... trafiają się wyjątki. Zresztą powiedzmy sobie otwarcie: zawód trapera coraz bardziej wyrodnieje. Pierwsi osadnicy w Ameryce ciężko musieli walczyć z przyrodą o kawałek chleba. Byli to jednak przeważnie ludzie o nieposzlakowanym poczuciu własnej godności, uczciwi, szlachetni i gościnni. Ich synowie, wyrośli w dobrobycie wschodnich stanów, myśleli już tylko o bogaceniu się. Dla pieniądza tępiono zwierzynę. Dla pieniądza, nie dla istotnej potrzeby mordowano tysiące bizonów rocznie. William Cody, słynny łowca bizonów, znany raczej pod przezwiskiem Buffalo Billa, zabił własnoręcznie aż cztery tysiące sztuk tych wspaniałych zwierząt. A inni?... Podobnie rzecz przedstawia się z ziemią, z terenami pod uprawę. Tysiące osiadłych już farmerów rzucają swe zagrody, aby wędrować na zachód w jakiejś złudnej nadziei, że znajdą tam kraj nie tyle mlekiem i miodem, ile złotem płynący. Z takich wędrówek rodzi się element przedsiębiorczy, ale jednocześnie chciwy, bezlitosny, pozbawiony wszelkich hamulców moralnych — ot, po prostu włóczące się drapichrusty, z którymi dawny traper nie chciałby mieć nic wspólnego. A sprawa Indian? — zawahał się chwilę. — Czy pan wie, dlaczego nie wzięto pod ochronę bizonów?

— Nie wiem.

— Dlatego, że wbrew uchwale Kongresu prezydent Grant odmówił zgody na ustawę ochronną. Odmówił w wyniku ostrego sprzeciwu ze strony niektórych naszych wyższych wojskowych. Generał Philip Sheridan miał publicznie oświadczyć, iż masowe tępienie bizonów to najlepszy środek do ostatecznego wytępienia Indian. I słusznie: przecież mięso bizonów to chleb powszedni czerwonoskórych. Tępiąc bizony, w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto skazuje się tubylców na śmierć głodową.

— Więc dlaczego nie zajmą się uprawą roli?

— Owszem, czynią to, ale zbyt rzadko jeszcze. Niestety, praca na roli uważana jest u nich za niegodną dorosłego wojownika. Zajmują się nią tylko kobiety i dzieci.

— Cóż, w takim stanie rzeczy Indianie skazani są na zagładę. Zgodzi się pan chyba ze mną, że posiadamy lepszą gospodarkę, lepszą technikę, że reprezentujemy postęp ekonomiczny. A ten musi zwyciężyć.

— Owszem, zgodzę się. Ale nigdy, przenigdy nie zgodzę się z zatruwaniem Indian wódką, z oszukańczym handlem, jaki z nimi prowadzimy, z rabowaniem ziemi...

Na tym przerwaliśmy rozmowę. Właśnie przyszedł Davis i zawiadomił mnie, iż naczelny chirurg wrócił z urlopu. Udałem się do swego gabinetu w niezbyt różowym nastroju. Nie upłynęła godzina, kiedy wezwano mnie do doktora Lindseya. Siwy, starszy pan przyjął mnie dość wesoło. Miłe wrażenie szybko jednak we mnie wygasło, kiedy po kilku minutach rozmowy na ogólniejsze tematy Lindsey wyciągnął z portfelu jakąś zmiętą, zapisaną drobnym pismem kartkę.

— Przepraszam, że taka pognieciona — powiedział. — Chciałem ją wyrzucić, ale pomyślałem sobie, że lepiej będzie, jak pan ją przeczyta.

Był to list anonimowy. Nieznany mi autor opisywał w sposób wyraźnie mijający się z prawdą historię odwiedzin Indian w szpitalu, zarzucając mi znachorskie praktyki, nieuctwo i brak wszelkiej troski o chorego, którego rzekomo w swej lekkomyślności skazywałem na śmierć.

Byłem tak wzburzony, iż po przeczytaniu anonimu przez kilka chwil nie mogłem wykrztusić słowa.

— Ten paskudny list ściągnął mnie z urlopu o tydzień wcześniej — mruknął Lindsey. — Niechże pan opowie, jak to było.

Opowiedziałem ze wszystkimi szczegółami. Trwało to chyba z pół godziny.

— Jakże się nazywa ten pański pacjent?

— Karol Gordon.

— Hm, to mi nic nie mówi, ale jeśli to któryś ze sławnych traperów, musi mieć przezwisko. Zresztą, mniejsza z tym. Chciałbym go zobaczyć.

Posłałem pielęgniarza po Karola do ogrodu. Po kilku minutach poszliśmy do separatki.

Karol, spostrzegłszy Lindseya, mrugnął na mnie porozumiewawczo, jakby dając znak, że wie, o co chodzi. Rozebrał się natychmiast, jak manekin poddał się wszystkim badaniom.

— W porządku — zawyrokował naczelny chirurg. — Zdrów jak ryba.

Skinął głową i wziąwszy mnie pod ramię, wyprowadził na korytarz.

— Wiedziałem, że anonim łże, ale — mimo wszystko — lękam się nieco o pana.

— O co chodzi, panie doktorze?

— O to, że nasz szpital jest fundacją, i o to, że w zarządzie tej fundacji zasiada niejaki pan Vincent. Słyszał pan o nim?

Skinąłem głową. Vincent był właścicielem kilku młynów i cegielni w Milwaukee. Siedział, jak to się mówi, na grubych pieniądzach i cieszył się wielkimi wpływami nie tylko w mieście, ale i w całym stanie.

— Otóż nie wiem, czy pan słyszał o tym, że siostrzeniec Vincenta brał udział w ekspedycji generała Custera. Brał udział i... zginął. Od tej chwili Vincent głosi hasło jakiejś wyprawy krzyżowej przeciw czerwonoskórym. Niech się teraz dowie o wszystkim...

— Ale przecież chory wyzdrowiał i to chyba jest najważniejsze.

— Dla pana i dla mnie. Nie dla Vincenta. Sam nie wiem, co z tą sprawą zrobić. Jeśli pierwszy porozmawiam o tym z Vincentem, mogę niepotrzebnie sprowokować awanturę. Jeśli nie porozmawiam, kto wie, czy jakiś inny złośliwy anonim nie poinformuje go o tym. Wtedy będzie o wiele gorzej. Muszę się jeszcze zastanowić. W każdym razie będę pana bronił.

Tak się rozstaliśmy.

Następnego dnia opowiedziałem o wszystkim Karolowi. Przyjął to z tak wesołą miną, że poczułem się urażony.

— Furda, doktorze. Damy sobie radę.

— Jak pan to rozumie?

— A tak, że nie ma się czym przejmować.

— Co do mnie, nie jestem takim optymistą. Jeśli stracę tu pracę, to na pewno z taką opinią, że mnie żaden inny szpital nie przyjmie. A z praktyką prywatną chirurga, wie pan, jak jest. Zszywanie łbów pokrajanych w ulicznych bójkach, żadnej ciekawej operacji i pogłębiania wiedzy.

— Szpital zawsze sobie pan znajdzie. Nie tu, to w innym stanie. — Popatrzał na mnie uważnie. — Żałuje pan, co?

— Czego?

— Ano, całej tej historii z moją nogą.

— To znaczy, żałuję, że jej nie obciąłem?

Uśmiechnął się.

— Coś w tym rodzaju...

— Żałuję, że nie mogę stłuc pana na kwaśne jabłko, nie za nogę, ale za to, co pan powiedział.

— Przepraszam, doktorze. Ani przez chwilę tak nie myślałem, tylko mam taki paskudny język.

W trzy dni po tej rozmowie Karol Gordon został wypisany ze szpitala. Obiecał, że mnie będzie odwiedzał.

— Może pana namówię?...

— Na co?

— Na krótką przejażdżkę w prerię.

Roześmiałem się.

— A to dopiero pomysł!

— Pomysł zupełnie dobry. Niech się pan nad nim zastanowi. Będę tu za trzy miesiące. Proszę dać mi swój adres. Nie chcę przychodzić do szpitala.

Adres dałem i tak pożegnaliśmy się.

Minął lipiec. W sierpniu otrzymałem urlop. We wrześniu w miejscowym dzienniku „Daily Herald" ukazał się artykuł o wizycie Indian w szpitalu. W dwa miesiące po fakcie! Sprawa stała się głośna. Nie będę tu opisywał szczegółów. Jeszcze dziś, po latach, kiedy o tym pomyślę, ogarnia mnie gniew; gniew, który nie przystoi mężczyźnie, jak mówi Czerwona Chmura — wielki czarownik Czarnych Stóp.

Przeprowadzono coś w rodzaju śledztwa. Byłem wzywany na przesłuchania przez specjalną komisję zarządu fundacji szpitala. Sprawa wlokła się tygodniami, wprowadzając mnie w stan rozstroju nerwowego. Szybko zorientowałem się, iż głos pana Vincenta znaczy więcej niż wszelkie słuszne argumenty. Więcej niż sprawiedliwość i prawda. W miarę upływu dni coraz wyraźniej dostrzegałem, iż sprawa moja jest przegrana. Nic tu nie mógł pomóc nawet doktor Lindsey. Dotrzymał słowa i bronił mnie żarliwie, ale bezskutecznie. Groziło mi nie tylko wypowiedzenie pracy w szpitalu. Poprzez sąd państwowy chciano mnie pozbawić raz na zawsze prawa wykonywania zawodu.

W tym czasie przyjechał Karol Gordon. Jemu to zawdzięczam, że się ostatecznie nie załamałem. Karol stanął przed komisją, jako „obiekt" całej sprawy. Ale i to nic nie pomogło. Musiałem rzucić pracę w szpitalu. Praktyki prywatnej jednak mi nie zabroniono.

I cóż powiecie? To, za co mnie usunięto ze szpitala, teraz stało się magnesem przyciągającym pacjentów. Oficjalnie potępiono „indiańskie leki", prywatnie wierzono w ich skuteczność. Plotki i artykuły w prasie zrobiły ze mnie, co najmniej jakiegoś znachora rozporządzającego cudownymi środkami leczniczymi. Śmiałem się i złościłem jednocześnie.

— Oto są płody naszej cywilizacji — mówił Karol — zakłamanie i obłuda.

Tak minęła jesień 1880 roku. Gordon znowu wyruszył na wędrówkę. Wrócił dopiero w grudniu i zamieszkał na stałe w Milwaukee. Odtąd z godnym podziwu uporem począł mnie namawiać na wyjazd wiosną następnego roku w prerie południowo-zachodniej Kanady.

— Musisz odpocząć — tłumaczył. — Najlepszy odpoczynek — z dala od ludzi. Zobaczysz inny świat.

Ustąpiłem. Wkrótce jednak okazało się, że zgoda na odbycie dalekiej wędrówki pociągnęła za sobą szereg konsekwencji, zupełnie przeze mnie nie przewidzianych. Karol zaczął mnie „przygotowywać" do wyprawy. A więc najpierw codzienna poranna gimnastyka.

— Musisz być w formie. Nie chcę brać ze sobą niedołęgi.

Ćwiczył ze mną każdego ranka do siódmych potów. W niedziele wyciągał mnie na dalekie piesze wycieczki, specjalnie wybierając jakieś wertepy. Kiedy wracałem na obolałych nogach, wmawiał we mnie, że się świetnie czuję. Potem wymyślił inną torturę: jazdę konną.

— W zimie? — protestowałem.

— No to co? W zimie trzeba również jeździć konno.

Nie sądźcie, że była to zwyczajna nauka jazdy. Nic podobnego. Karol wypożyczył dwa rumaki nie tyle rącze, co narowiste. Jednego dosiadł sam, na drugiego ja się gramoliłem. Konie te nie miały ani siodeł, ani strzemion.

— Siodło dostaniesz później. Teraz naucz się jeździć na oklep.

A więc uczyłem się. Zmarznięty na sopel lodu wracałem do mieszkania marząc o wiośnie.

Potem przyszła nauka strzelania. To już było lepsze. Najpierw na strzelnicy, potem w polu, do wróbli.

Pływania w przerębli kategorycznie odmówiłem. Nie pomogły zapewnienia Karola, iż u Indian mali chłopcy kąpią się w ten sposób przez całą zimę. Uparłem się. Karol ustąpił. Za to wczesną wiosną wynalazł nową torturę...

Rozpoczął naukę... podchodzenia. Czołganie się po ziemi nie należy do przyjemności. Ale spróbujcie czołgać się przez godzinę lub dwie! Kolana bolą, łokcie bolą, ręce bolą, w krzyżu coś strzyka... Kiedy skarżyłem się na to, Karol odpowiadał, że niestety, nie ma rady.

— Mógłbyś co prawda czołgać się dotykając ziemi tylko czubkami butów i dłońmi, ale to jeszcze trudniejsze.

Tak minęło kilka tygodni. Aż wreszcie...

Któregoś majowego ranka wysiedliśmy z pociągu na małej, zapomnianej stacyjce. Dwa drewniane domki, jakiś zajazd, a dalej rozległa przestrzeń jasnej zieleni — preria. Wyładowaliśmy konie, założyli siodła. Przytroczyliśmy węzełki. Parowóz zagwizdał, ruszył. Stukot kół stawał się coraz cichszy, aż umilkł.

— Dokąd teraz? — zapytałem.

— Tam — ręka Karola wyciągnęła się ku wschodzącej nad morzem zieleni słonecznej tarczy.

Zagmatwane tropy

Jechaliśmy ciągle na wschód rozległą, lekko falistą przestrzenią łąki. Słońce dosięgło szczytu nieba i grzało wcale nie po wiosennemu. Ucieszyłem się dostrzegłszy na tym zielonym pustkowiu czarny nieruchomy punkt — kępę drzew. Tam skierowaliśmy konie.

Okazało się, iż kępa drzew porasta spore wzgórze. Było to najdziwniejsze ze wzgórz, jakie kiedykolwiek widziałem. Wzgórze bez szczytu. Zamiast niego zobaczyłem szerokie wgłębienie, coś w rodzaju krateru wulkanicznego. Wprowadziliśmy konie do tego niby-krateru.

— Doskonałe miejsce na odpoczynek — zawyrokował Karol. — Zupełnie jak twierdza.

— Ale skąd ta dziura?

— Prawdopodobnie jakiś meteoryt trzasnął w sam czubek pagórka. Gdyby tu dobrze poszukać, na pewno znalazłyby się odłamki. Ale nie będziemy sobie tym głowy zawracać. Jestem głodny jak wilk. Janie, pokaż, co umiesz!

Z rozpaleniem ognia było pół biedy, chociaż Karol ciągle mnie strofował, żebym brał suche gałęzie, nie mokre.

— Im mniej dymu, tym lepiej. Po co zaraz dawać znać o sobie?

Ze skubaniem nie znanego mi ptaka szło nieco gorzej. Na patroszenie Karol spoglądał z ironicznym uśmieszkiem. Kiedy skończyłem, nadział ptaszysko na patyk i obracał nad płomieniem. Suche gałązki cicho trzaskały, dmuchał ciepły wiatr z dalekiej prerii, drżały na ziemi cienie rzucane przez konary drzew i witki krzewów. Siedziałem w kucki, z fajeczką w ustach, zaciągając się dymem, który mi coraz lepiej smakował. W górze, w kwadracie jasnego nieba między gałęziami, widziałem drobny punkcik ptaka, który zakreślał szerokie koła, zniżał się i wzbijał, aż wreszcie odpłynął za linię horyzontu. Wszystko to dla mnie było jakimś innym, cichym, spokojnym światem. Zwierzyłem się z tego Karolowi.

— Nie taki on spokojny, jak ci się zdaje, ale na pewno inny...

Przerwał w połowie zdania i trzymając pieczyste w obu dłoniach, począł nasłuchiwać. Siedziałem przez kilka chwil bez ruchu, aż wreszcie Karol kiwnął głową.

— Zabierajmy się do jedzenia.

— Czegoś tak nasłuchiwał?

— Tętent...

— Jeźdźcy?

— Może, ale jakoś ich za dużo. Raczej wygląda to na... — podniósł wskazujący palec prawej ręki — na bizony. Masz szczęście. Taka zwierzyna coraz rzadziej się tu trafia.

Wydobył nóż i zręcznym cięciem przepołowił ptaka.

— Trzymaj!

— A jeżeli to Indianie? — zapytałem, już z pierwszym kęsem mięsa w ustach.

— Jeżeli to Indianie, to na pewno Czarne Stopy. Nie ma strachu. Znają mnie dobrze.

— A jeżeli nie Czarne Stopy? — nalegałem.

— Jeżeli nie, to hm... mogą być jeszcze Assiniboinowie albo Gros Ventres znad dolnego Saskatchewan. A może być jeszcze inaczej: bizony plus jakiś oddział czerwonoskórych. Bizon to dziś cenna przecież zdobycz. W każdym razie dam ci tylko jedną radę — pospiesz się z jedzeniem.

Zrobiło mi się trochę nieprzyjemnie. Karol musiał to widać zauważyć, bo powiedział z uśmiechem:

— Nie przerażaj się. Assiniboinowie nie są tacy straszni. I w ogóle musisz nareszcie wyzbyć się swoich miejskich przesądów na temat krwiożerczości Indian.

— Aniołki ze skrzydłami! — próbowałem zażartować. — Karolu, Karolu, nie staraj się mnie przekonywać, że to jagniątka. Mówisz tak, jakbym nigdy nie słyszał o napadach na osadników, jakby czerwonoskóry nigdy nie zdarł skalpu z głowy białego człowieka!

— Na pewno nie aniołki, ale i my nie lepsi. Nie lubią nas — to inna sprawa, ale sami jesteśmy temu winni. A teraz nie mów nic, tylko jedz.

Szybko uwinąłem się ze swoją połówką upieczonego ptaka. Poprawiliśmy popręgi koniom i legli na skraju „krateru". Położenie mieliśmy doskonałe: widoczność aż po granice horyzontu, a my niewidoczni nawet z bliższej odległości, ukryci wśród krzewów i drzew. Sprzyjającą okolicznością był również fakt, iż wiatr wiał od zachodu, w naszą stronę. Jeśli zbliżało się stado bizonów, zwierzęta nie mogły nas zwietrzyć.

— A może to mustangi? — zapytałem.

Karol pokręcił głową.

— Niemożliwe. Nie ma tu mustangów. Ich resztki uganiają się jeszcze na terenach Kutenajów i Szuswapów, wiele mil stąd na wschód.

Leżeliśmy w milczeniu.

— Pędzą — szepnął nagle Karol.

W tej chwili i ja usłyszałem daleki dudniący odgłos. Był jednak tak jeszcze słaby, że gdyby nie Karol, nie zwróciłbym nań uwagi. Odgłos wzmagał się. Potem ujrzałem na horyzoncie czarne punkciki. Rosły z każdą chwilą. Olbrzymiały. Rysowały się coraz wyraźniej w kształtach potężnych zwierząt, rwących pędem przed siebie. Bizony!

Wiatr przyniósł ostry zapach zwierząt. Widziałem je coraz lepiej. Gnały rozciągniętym stadem wprost na nasz pagórek. Kilkaset metrów przed nim skręciły nagle w bok, jak gdyby wyczuwając obecność ludzi. Tak mi się wydało, ale nie miałem racji. Po kilku minutach stado zwolniło biegu. Z galopa przeszło w ciężki kłus, potem zatrzymało się. Przewodnik stada — potężny, stary, brodaty bizon — zadarłszy głowę ku górze, długo wietrzył. Wreszcie opuścił rogaty łeb ku ziemi i począł szczypać trawę.

— Coś je musiało spłoszyć — szepnął Karol — dlatego tak gnały.

— Zapolujemy?

— Jesteś głodny?

— Nie, ale...

— Zjesz całego bizona?

Wzruszyłem ramionami.

— No więc po co polować? Dla jednego czy dwóch befsztyków zabijać takie potężne zwierzę? Nie, nie będziemy naśladować Buffalo Billa. Szkoda bizonów.

Nic na to nie odpowiedziałem, ale w głębi duszy miałem żal do Karola. Trochę przesadzał w tym wszystkim.

Tymczasem bizony zatoczyły półkole i zbliżały się ku zachodniej stronie wzgórza.

— Przyjrzyj się im dokładnie — szepnął Karol. — Zaraz złapią wiatr i tyle je będziesz widział. Przyjrzyj się.

Może to jedyna okazja w twoim życiu.

Stado nie było wielkie — około stu sztuk. Rozsypało się na dużej przestrzeni tak, że nietrudno było je policzyć. Było tu parę sztuk ogromnych, obrośniętych długim włosem na karku i głowie, z krótkimi zakrzywionymi rogami. Ciarki mnie przeszły na myśl, że można by się dostać pomiędzy takie olbrzymy. Jak zdołałem zauważyć, największe sztuki pasły się na krańcach stada, a w środku zupełnie małe cielaki.

Nagle ujrzałem, jak przewodnik podniósł łeb do góry. Ryknął ostrzegawczo i runął przed siebie. Rozproszone stado zbiło się i pomknęło ciężkim, dudniącym galopem. Wszystko to trwało zaledwie chyba kilka sekund.

— Zwietrzyły nas — powiedział głośno Karol. — Nie ma co się ukrywać. Ale gnają! Wprost na wschód. Dziś albo jutro Czarne Stopy urządzą sobie polowanie.

— Którego myśmy nie urządzili — wtrąciłem markotnie. Z tętentem racic uciekała przecież w dal moja pierwsza pieczeń bizonia.

Karol zaśmiał się.

— Nie trać nadziei. Jeżeli w porę trafimy na Czarne Stopy, pieczeń bizonia murowana! Niewiele już takich pieczeni czeka na myśliwych. Zanim tu stanęła stopa białego człowieka,

sześćdziesiąt bizonów przypadało na jednego Indianina. Dziś, mimo tępienia Indian, stosunek odwrotny byłby jeszcze zbyt optymistyczny.

— Skąd ty to wszystko wiesz?

— Ano, czytało się trochę, coś niecoś się widziało... Zresztą, pamiętasz, sam mnie uznałeś za dziwnego trapera, który potrafi nie tylko czytać, ale nawet przebierać w książkach. No, czas na nas...

Spakowaliśmy manatki, wskoczyli na siodła. Droga prowadziła wciąż w tym samym kierunku, tak jak biegły wydeptane w trawie ślady bizoniego stada. Pod wieczór zatrzymaliśmy się nad głębokim jarem, na dnie którego płynął wąski strumień. Sprowadziliśmy konie na sam dół. Rozpaliliśmy ogień. Tym razem, ku mej radości, nie było nauki podchodzenia. Może Karol zapomniał, a może uznał, że już umiem się czołgać — nie chciałem o to pytać. Na kolację mieliśmy podpłomyki, zręcznie upieczone przez Karola, no i oczywiście — mięso. Muszę przyznać, iż brak jarzyn wywoływał już u mnie marzenia o ziemniakach, marchwi, kapuście... Zwierzyłem się z tego Karolowi. Wcale mnie nie pocieszył. Radził się przyzwyczaić do nowego, niewybrednego "jadłospisu.

— Dobrze, że masz i to. A pomyśl teraz, co mają począć Indianie, gdy braknie zwierzyny?

— Niech uprawiają rolę — burknąłem.

— Niektórzy uprawiają, ale to jeszcze mało. Trzeba by ich nauczyć, tylko kto ma się tym zająć?

Nic na to nie odpowiedziałem. Położyliśmy się przy dogasającym ognisku, otuleni w wełniane grube koce. Zasnąłem natychmiast. Dobrze po północy obudził mnie Karol każąc czuwać nad ogniem. Oczy mi się kleiły, w kościach czułem przebytą drogę, ale jakoś przezwyciężyłem senność. Wczesnym świtem dołożyłem do żaru świeżego chrustu. Blask ogniska polepszył moje samopoczucie.

Ten dzień był znowu dniem jazdy, przerwanej nieoczekiwanym wypadkiem. Około południa natrafiliśmy na martwego bizona. Wokół bezwładnego cielska trawa była obficie zroszona krwią. Karol dokładnie obejrzał leżące zwierzę.

— Świeży ślad. Bizon został zabity nie dawniej jak wczoraj. Przez noc trochę go obgryzły stepowe wilki, ale patrz, o tu... Widzisz?

Nic nie widziałem.

— Et, gapa. Kiedy ja ciebie nauczę? Patrz, wyrżnięto kawał szynki. Byli tu ludzie. Trzeba poszukać śladów. Nieszczęście z tymi bizonami! Udeptały taką drogę, że i dziesięcioro oczu nic tu nie odkryje. Tymczasem pomóż mi przewrócić tego biedaka.

— Po co?

— To ta twoja wymarzona pieczeń... Sama do nas przyszła. Mięso z wierzchu jeszcze się nie zepsuło, wykroi się spory kawałek, tylko z drugiej strony. Tam gdzie kojoty nie próbowały.

Przewrócić olbrzymie zwierzę wcale nie było łatwo. Przy wspólnych wysiłkach jednak jakoś się udało. Karol fachowo wziął się do rzeczy. Wykroił dwa plastry szynki. O rozpaleniu ognia nie można było nawet marzyć. Ani kawałka drzewa.

— To nic. Drzewo potem znajdziemy. A teraz stój tu i nie ruszaj się. Jeszcze byś do reszty zadeptał i tak już niewidoczne ślady.

Stałem więc w miejscu, trzymając oba konie za uzdy, a Karol krążył dokoła, skacząc, nachylając się, kładąc się w trawie. Po paru minutach wrócił posępny jak noc.

— Nic nie odczytałem. Ale musiało tu być paru zaledwie ludzi, może tylko jeden. Więc raczej nie Indianie. Zresztą Indianie nie zostawiliby całego bizona. Tu polowali biali. Jedziemy.

Milczał długie godziny. Był tak zamyślony, że przeoczył samotny krzew. Zwróciłem mu na to uwagę.

— Słusznie. Tu się zatrzymamy. Kiepskie to paliwo, ale nie ma innej rady.

Pieczeń bizonia smakowała mi znacznie mniej, niż to sobie wyobrażałem. Mięso należało przed upieczeniem zbić, ale nie było czym ani na czym.

— Cymbał zastrzelił starą, łykowatą sztukę — wyjaśnił lakonicznie mój towarzysz. — Przydałoby się trochę listków bobkowych i pieprzu. Ciesz się jednak, że mamy chociaż sól. Będziesz mógł teraz do końca życia opowiadać, żeś jadł bizona. To także satysfakcja... Ale to wszystko głupstwo. Wiesz, o czym myślałem?

— Nie baw się w zagadki.

— Myślałem, czy ten nieznany myśliwy to nie jest przypadkiem ktoś z tej trójki, która czmychnęła przed nami tam, nad jeziorem.

— Przecież trop skręcał w bok.

— Skręcał, ale mógł się... odkręcić.

— No to co?

— Ano nic. Chciałbym ich dopędzić.

Po południu ruszyliśmy w dalszą drogę szlakiem wydeptanym przez bizony. I znowu jazdę przerwał niespodziewany ślad. Ślad ognia rozpalanego pod samotnym potężnym dębem. Dąb ten ominięty został przez bizony. To skłoniło Karola do nowych poszukiwań śladów. Tym razem, jak stwierdził, rezultaty były doskonałe, a właściwie... fatalne.

— Nie rozumiem.

— Pięć koni i jeden człowiek! Akurat pięć koni! Teraz rozumiesz?

— No a co z tamtymi dwoma? Poszli piechotą?

— Chyba nie wierzysz w to, co mówisz?

— Więc co przypuszczasz?

— Wszystko najgorsze. Nie mamy czasu, Janie. Wracamy...

Drogę powrotną aż do wzgórza, z którego obserwowaliśmy stado bizonów, przebyliśmy w ciągu jednego dnia. Wydeptany racicami ślad był tak szeroki i wyraźny, iż trudno było go ominąć. Przy wzgórzu dopiero zaczął się kłopot: dokąd teraz? Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy się jechać do kamienistego parowu, na dnie którego urywał się ślad pięciu koni. Przenocowaliśmy na wzgórzu. Następnego dnia wyruszyliśmy wczesnym rankiem i rozpoczęły się mozolne poszukiwania. Jakiś niewidoczny dla mnie odcisk kopyta, jakaś nadłamana gałązka samotnego krzaczka naprowadzały Karola na właściwy trop. Wciąż jechaliśmy, zaledwie z krótką, półgodzinną przerwą na posiłek. Wreszcie ciemna smuga na horyzoncie zwiastowała las otaczający jezioro. Teraz trzeba było zwolnić tempo. Posuwaliśmy się krok za krokiem. Co pewien czas Karol zeskakiwał na ziemię, wpatrzony w falujące łodygi traw, krążył w kółko, zawracał, naprowadzał konie na właściwy kierunek. Nie szczędził mi przy tym swych spostrzeżeń. Wskazywał nadłamane źdźbła, ledwo już widoczne wgłębienia w ziemi. W pewnej chwili schylił się gwałtownie i coś podniósł.

— Okulary — powiedział wyciągając ku mnie rękę.

Były to istotnie szkła w metalowej jasnej oprawie. Jedno z nich strzaskane, oprawka mocno wygięta.

— Nawet nie zardzewiały. Jesteśmy na dobrym tropie.

— Ciekaw jestem, do kogo należały?

— Ja również. Myślę, że się tego dowiemy.

Przed pierwszymi drzewami lasu natknęliśmy się na ślad ogniska. Wokół ziemia stratowana końskimi kopytami. Były to jednak ostatnie ślady pobytu tych, za którymi podążaliśmy. Ani w lesie, ani w nadbrzeżnych zaroślach nie udało się już nic odnaleźć.

— Zupełnie jakby się w ziemię zapadli — narzekał Karol.

Dopiero pod wieczór, kiedy różowa łuna słońca stanęła nad horyzontem, Karol zauważył odciski stóp na granicy wody i lasu. Mierzyliśmy je dokładnie; były to ciągle stopy tego samego człowieka — buty na obcasach, z żelaznymi podkówkami. A gdzież się podzieli pozostali dwaj wędrowcy? Gdzie odciski końskich kopyt?

Szarość mroku, gęstniejąca w głębi lasu, nie pozwoliła na dalsze poszukiwania. Obeszliśmy dokoła szmat zadrzewionego terenu i okrążając wschodni brzeg jeziora, dotarliśmy na ten sam półwysep, na którym bawiliśmy poprzednio. Rozsiodłałem konie, zdjęliśmy juki. Karol z wielką wprawą rozniecił ognisko. Płomień — prawie bezdymny — cicho trzaskał rzucając ruchome blaski na mchy, krzewy i pnie. Wiatr szumiał w koronach drzew, niewidzialny ptak łopotał skrzydłami, a od strony prerii dobiegł naraz przeciągły niski głos o drgających tonach.

Nasłuchiwałem.

— To kojoty, wilki stepowe. Nie ma strachu. Niebezpieczne tylko w dużej gromadzie i kiedy są wygłodniałe. Możemy spać spokojnie.

Położyłem się pierwszy. Karol zbudził mnie nad ranem. Nie lubiłem i po dziś dzień nie lubię tego rannego czuwania. A przecież są to najpiękniejsze godziny wstającego dnia. Trzeba tylko dobrze otrząsnąć się z resztek snu, mieć oczy i uszy otwarte. Jest czego słuchać.

Puszcza żyje najpełniej o wczesnym przedrannym czasie. Wtedy to wraca do legowiska nocny myśliwy — płowy wilk, brunatny niedźwiedź leśny, kuna prześlizgująca się bezszelestnie wśród gałęzi krzewów i groźniejszy od nich wszystkich rosomak. Ciągną starymi tropami do wodopojów. Piją długimi łykami, zerkając na boki, gotowe w każdej chwili uskoczyć w ciemną głębię lasu.

Ileż radości, ile wzruszenia i niepokoju daje obserwacja tego przedrannego życia puszczy.

Wśród krzewów i pni panował jeszcze mrok, ale wierzchołki drzew szarzały w opadającej ku ziemi mgle, która pasmami przesączała się poprzez konary. Biały tuman unosił się nad nieruchomą, gładką jak lustro taflą wody. Było cicho i zdawało mi się, że w tej ciszy słyszę szelest opadających liści i sypiących się sosnowych igieł. Ogień przygasł, żarzył się czerwonymi głowniami. Dorzuciłem świeżą gałąź. W trzasku płomienia, który ją ogarnął, dobiegł mnie tępy, stłumiony odgłos. Tak mogły tupotać tylko racice któregoś z wielkich wędrowców leśnych. Oparty plecami o pień dębu, patrzyłem na przeciwległy brzeg jeziora. Zadrżały zamazane, niewyraźne kontury krzewów. Z gęstwiny wynurzyły się wielkie rozłożyste korony jelenia. Potem ukazała się głowa, na koniec mieszkaniec puszczy wystąpił w całej swej okazałości na przybrzeżną murawę. Pochylił łeb nad wodą i pił. Moja dłoń automatycznie wsparła się na lśniącej kolbie sztucera. Cofnąłem ją natychmiast. Na śniadanie wystarczyć mogła kaczka. Przypomniały mi się słowa Karola: „Nie zabijaj ponad potrzebę".

Nie, nie było sensu strzelać do tego wspaniałego zwierzęcia. A właśnie z kęp sitowia bezszelestnie wypłynęła kaczka, za nią druga. Potem odezwał się pierwszy głos lasu — śpiew gajówki. Urwał się raptownie, przytłoczony drażniącym, przypominającym złośliwy śmiech wołaniem szarej sowy. Jeleń zniknął. Wierzchołki drzew poczęły różowieć. Skrzekliwie się nawołując, przemknęły dwie wiewiórki. Nurek zakołował w powietrzu i siadł na wodzie. Pierwszy wiatr sfalował lustro jeziora i pierwszy promień słońca zamigotał na falach. Z głębi mrocznej puszczy dobiegł stukot dzięcioła, nie znane mi ptaki rozpoczęły swe codzienne trele. Narodził się nowy dzień.

Przymknąłem oczy. Nie było już na co patrzeć. Zasnąłem.

Przebudził mnie huk strzału. Zatrzeszczały gałęzie. Nadchodził Karol dźwigając w jednym ręku sztucer, w drugim połyskliwą, zielono-niebiesko upierzoną kaczkę.

— Zostaniemy tu przez kilka dni — powiedział kładąc przy ognisku swą zdobycz.

— A co będzie?...

— Nie martw się. Coś mi mówi, że ptaszek będzie krążył w tych stronach. Zresztą ciągle jeszcze nie wiemy, co się stało z jego towarzyszami.

— Nie domyślasz się?

— Domyślam się: zamordował i ograbił.

— Dlaczego?

Karol wzruszył ramionami.

— Też coś! A skądże mogę wiedzieć? Co wieźli z sobą ci ludzie, przecież mieli dwa juczne konie? Kim byli, dlaczego tu przybyli? Można sobie stawiać takie pytania bez końca. Paskudna historia.

Historia była rzeczywiście paskudna. Na samą myśl o niej robiło mi się nieprzyjemnie; wydawało się, iż za każdym krzakiem czyha długa lufa strzelby, za każdym pniem czai się ukryty morderca. Powiedziałem o tym Karolowi.

— Jesteś przemęczony, to wszystko. Moja wina. Zapomniałem, że takiego jak ty nowicjusza nie wolno, przynajmniej na początku, narażać na nieprzerwane trudy podróży. Musisz teraz trochę odpocząć.

Po śniadaniu poszedłem więc popływać w jeziorze pod czujnym okiem Karola i niedaleko brzegu. On też uczynił to samo. Konie wyprowadziliśmy na skraj lasu, aby mogły napaść się świeżą, soczystą trawą. Mieliśmy je stale na oku, badając jednocześnie brzeg jeziora. Trafiliśmy na wczorajszy ślad. Nieco dalej, już prawie w wodzie, odkryłem niewyraźny odcisk stopy.

Na ten widok Karol pokiwał głową.

— Wrzucił do jeziora...

— Co?

— Nie co, tylko kogo.

— Kogo?

— Ich, tych dwóch... Wzdrygnąłem się.

— Robota prawdziwego rzezimieszka — mówił dalej Karol swym beznamiętnym głosem. — Zabił, a następnie wrzucił do jeziora, żeby zatrzeć ślady. Dziwne, że nigdzie nie ma krwi. Co się tyczy koni — poobwiązywał im kopyta szmatami; to mi przyszło do głowy i chyba się nie mylę.

— Jak z tego wynika, przeprowadził swą robotę planowo... Musieli nas dostrzec. Moja to wina — powiedziałem. — Szybko się spakowali i odjechali.

— Więc dlaczego zawrócili?

— Sądzę, że chciał ich zabić nad jeziorem. Wmówił w swych towarzyszy, że ich ścigamy. Zawrócili więc, a potem pilnie zacierali ślady. Co o tym myślisz?

— Masz rację, Janie. To wygląda bardzo prawdopodobnie. Ale kim byli ci ludzie?

Na to pytanie nie mogliśmy znaleźć odpowiedzi. Dalsze przetrząsanie nadbrzeżnych zarośli doprowadziło jednak do odkrycia drobnych i już zatartych plam krwi. Sprawa była jasna.

Patrzyliśmy w milczeniu na jezioro.

— Już ja tu więcej kąpać się nie będę...

— A woda do picia?

— Nie tknę jej za skarby świata!

— Za skarby świata na pewno nie, ale niech tylko słonko mocniej przygrzeje, popędzisz do tej wody kłusem.

Obeszliśmy jezioro z przeciwnej strony. Tam — ku mojej uciesze — natrafiliśmy na wpływający do niego strumyk. Karol chodził krok w krok za mną jakiś nachmurzony czy zamyślony. Na koniec zatrzymał się pod rozłożystą, potężną sosną.

— A jednak będziemy musieli się wykąpać — powiedział.

— Po co?

— Nie możemy tak zostawić tej sprawy. Ostatecznie wszystko to są nasze przypuszczenia. Musimy się upewnić. A poza tym, Janie, powinno cię to zainteresować i jako lekarza, i... jako człowieka.

Przyznałem mu słuszność. Jeszcze tego samego dnia po południu rozpoczęliśmy przeszukiwanie dna jeziora. Nie będę opisywał szczegółów tej żmudnej, przykrej pracy. Wiele wysiłku kosztowało nas odnalezienie zwłok i wydobycie ich na brzeg. Dwaj mężczyźni — jednemu dałbym czterdziestkę, drugi był o kilkanaście lat młodszy. Obaj zabici wystrzałami ze sztucera. Niewielkie rany w tyle głowy. Papierów nie znaleźliśmy żadnych. Dosłownie nic. Ani dowodu, ani nazwiska, ani żadnej karteczki. Kieszenie ubrań wypełnione mieli kamieniami, żwirem i — co nas obu zastanowiło — jakimiś metalowymi rurkami niewiadomego przeznaczenia. Pochowaliśmy ich w płytkim grobie na skraju lasu, usypując nad nim niski kamienisty kurhan.

Przez dwa następne dni prawie nie wychodziłem z obozowiska. Słońce dogrzewało coraz silniej, twarz piekła pierwszą wiosenną opalenizną. Czwartego dnia ruszyliśmy w dalszą drogę. Starym szlakiem poprzez kamienisty parów, a potem szerokim śladem stada bizonów aż do samotnego drzewa, przy którym obozował morderca. Stąd zaczynał się nowy, nieznany odcinek drogi. Wiodła ona przez prerię, znaczoną gdzieniegdzie kępami drzew, ukrytymi w trawach jeziorkami i bajorkami. Gładka płaszczyzna od czasu do czasu wystrzelała ku błękitnemu niebu wyniosłością pagórka lub zapadała się w głęboki jar. W takich jarach, na dnie których biły źródła zimnej jak lód i czystej jak kryształ wody, zatrzymywaliśmy się na nocleg. Nie czułem już zmęczenia, a jeśli nad wieczorem bolały mnie mięśnie nóg i grzbietu, wiedziałem, iż do rana te drobne dolegliwości przeminą.

Zabawne, że po pewnym czasie straciłem rachubę dni. Nie martwiłem się z tego powodu.

Kto strzelał?

W roku 1874 generał George Armstrong Custer — bohater wielu zwycięskich bitew w wojnie północy z południem — zorganizował wyprawę na tereny zamieszkałe przez plemiona Siouxów. Rozpoczęła się ona na terytorium Dakoty, w forcie Abraham Lincoln, nad górną Missouri. Agenci rządowi powiadomili wodzów Siouxów, iż wyprawa nie ma na celu podboju tych terenów i jeśli jej uczestnicy nie napotkają przeszkód, zwiedziwszy zachodnie pobrzeża Missouri, a zwłaszcza Góry Czarne, powrócą do punktu wyjścia. Te zapewnienia bynajmniej nie uspokoiły Siouxów, bowiem skład wyprawy nadawał jej wszelkie cechy ekspedycji wojskowej. Wzięła w niej udział bateria artylerii, batalion piechoty, kompania jazdy, wywiadowcy z wrogiego Siouxom plemienia Riów, kilkudziesięciu traperów oraz grupa korespondentów pism wschodnio-amerykańskich. Tym razem nie doszło do wrogich wystąpień żadnej ze stron. Ekspedycja powróciła do fortu Lincoln. W dwa lata później jednak podobna ekspedycja wyruszyła na podbój ziem Siouxów. Tym razem wywiązała się walka. Trzydziestopięciotysięczny naród Siouxów pod wodzą Sitting Bulla wystąpił w obronie swych odwiecznych siedzib. Nad Little Big Horn doszło do decydującej rozprawy. Zakończyła się ona straszliwą klęską ekspedycji. Poległ sam dowódca — generał Custer. Opowiadano, iż w bitwie tej po stronie czerwonoskórych walczyło wielu białych traperów. Część zwycięzców wraz z Sitting Bullem przekroczyła później granicę Kanady. Inni pozostali. Wypierani coraz bardziej ze swych terenów łowieckich na zachód i południe, zgodzili się wreszcie na propozycje rządu, który wykupiwszy za bezcen terytoria Indian, zobowiązał się do żywienia ich pod warunkiem, iż nie będą opuszczać rezerwatów.

O tym wszystkim dowiedziałem się z ust Karola pewnego cichego wieczoru na prerii.

— Nic gorszego nie mogło ich spotkać — mówił pykając ze swej krótkiej fajeczki. — Gnuśne życie rezerwatu, życie bez polowań, bez żadnego wysiłku, jest powolną trucizną paraliżującą najżywotniejsze tkanki tego wspaniałego narodu. Tu, po kanadyjskiej stronie, plemiona indiańskie żyją jeszcze swobodnie. Masz szczęście, Janie. Zobaczysz jeszcze wodzów i ludzi, i to jakich! Ach — westchnął wytrząsając popiół z fajki — świat się psuje. Wszystko się komplikuje w jakiś paskudny sposób.

Zapatrzył się w ogień, a ja milczałem. — Nie wyobrażasz sobie, jak to wyglądało.

— Co?

— Bój nad Little Big Horn. To nazwa takiej małej rzeczki. Strzelcy indiańscy zawsze mają przewagę nad zwartymi oddziałami. Za przeciwnika mieli kawalerię amerykańską: siódmy pułk pod dowództwem Custera. Wykruszali tę kawalerię przez długie godziny walki, a potem nastąpiła szarża czerwonoskórych. Konie gnały przez prerię z rozwianymi grzywami. Kurz wstawał powoli, aż przesłonił całe pole bitwy. Kiedy opadł, nie było już żołnierza ani konia, który by się trzymał na nogach. Ocalał jeden tylko wierzchowiec, „Komancz". Custer poległ, padło dwustu siedemdziesięciu żołnierzy i oficerów. Sześćdziesięciu było rannych. To stało się 26 czerwca 1876 roku.

— Skąd wiesz o tym tak dokładnie?

— Skąd? Ach, opowiadano mi niejeden raz. Żyją przecież ci, którzy własnymi oczami oglądali tę bitwę.

— Czerwonoskórzy?

— Nie tylko. Mówiłem ci przecież, że wielu traperów, a nawet nieliczni osadnicy, którzy potrafili współżyć z Indianami, brali udział w walce w szeregach Sitting Bulla.

— To już zakrawa na zdradę.

— Jesteś niesprawiedliwy, Janie. Nie ty jeden zresztą. Kogóż to zdradzali ci traperzy ze wschodu, walczący ramię w ramię z Indianami? Zwycięstwo Sitting Bulla w niczym nie zagrażało wschodnim stanom, co najwyżej umacniało istniejący stan rzeczy, dodajmy, gwarantowany układem rządu waszyngtońskiego ze szczepami indiańskimi.

Słuchałem tych słów, leżąc przy tlącym się ognisku, wsparty na jukach zdjętych z grzbietu konia. Z prawej strony dostrzegałem ciemną, coraz ciemniejszą, w miarę jak mrok zapadał, kępę krzewów. Z lewej — otwartą przestrzeń prerii, za którą gdzieś w oddali chyliło się ku horyzontowi słońce, czerwone i wielkie. Wiatr ustał i nic nie mąciło ciszy zasypiającego dnia. Karol raz jeszcze nabił fajeczkę i zapalił ją wyjętym z żaru, czerwonym jak rubin węgielkiem. Milczeliśmy obaj. Jak długo trwało to milczenie, trudno mi określić — sekundy czy minuty? Nagle ciszę przerwał donośny jak grzmot strzał karabinowy.

Karol przechylił się gwałtownie do tyłu i runął na wznak. Wyciągnął dłoń i schwycił mnie za rękaw.

— Kładź się.

Posłuchałem natychmiast, ale karabin odezwał się już po raz drugi. Ze środka ogniska trysnęła płomienista iskra.

— W tył, w tył! — wyszeptał Karol. — Czołgaj się.

Niżej głowę, niżej...

Wycofaliśmy się poza zasięg blasku.

— To z tych krzaków. Ach, łajdak! Trzeba go nastraszyć. Strzelaj w tamtą kępę!

Trzykrotnie nacisnąłem spust. Po grzmotach strzałów znowu nastała cisza. Nic się nie poruszyło w kępie krzaków.

— I co teraz? — zapytałem szeptem.

— Leż spokojnie, nie ruszaj się. Nie wolno teraz strzelać, rozumiesz? Nie wolno, chyba, że zawołam.

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Karol dosłownie zapadł się wśród traw. Leżałem nieruchomo, pełen posępnych myśli. I trudno się temu dziwić. Wybierając się z Karolem na prerię do jego czerwonoskórych przyjaciół, ani przez chwilę nie przypuszczałem, że już w pierwszych dniach wędrówki natknę się na dwa morderstwa, że stanę się obiektem „polowania" nieznanego łotra. Jakże miło jest czytać o polowaniach na bizony, o niesamowitych przygodach na prerii, o bohaterskich czynach dokonywanych „pod gradem kul". Ale spróbujcie, jak to wygląda w praktyce, kiedy przeciwnikiem jest nie urojony w fantazji powieściopisarza człowiek, ale rzeczywisty, groźny, „polujący" na ciebie wróg. Wróg, którego twarzy nawet nie widziałeś. Gorzej, bo nawet nie wiesz, dlaczego jest twoim wrogiem!

Rozmyślałem o tym wszystkim i przyznać muszę, iż gdzieś na dnie tych rozważań kryła się chęć natychmiastowego powrotu do Milwaukee.

Coś lekko szarpnęło mnie za rękaw koszuli. Odwróciłem głowę. Obok mnie leżał Karol.

— Zwiał — powiedział. — Sprytna bestia...

— I co teraz?

— Dwie możliwości: albo popędzić konie tak, abyśmy wreszcie zgubili naszego „towarzysza", albo poczekać do rana.

— Iw nocy nas tu powystrzela.

— Równie łatwo dostać kulę w plecy, kiedy się siedzi na koniu. W takim wypadku nocna jazda to jeszcze gorsza

rzecz niż nocny postój. Myślę, że powinniśmy tu zostać. Będziemy się zmieniać, ale czuwający będzie siedział tam — wskazał ręką — za tamtą kępą krzaków.

— Czego on właściwie od nas chce? — zapytałem rozdrażniony.

— „Właściwie" — przedrzeźniał Karol — to bardzo łatwo odgadnąć. Jesteśmy dlań niewygodnymi świadkami. Prawdopodobnie podglądał nas i musiał widzieć, jak wyciągaliśmy z wody pomordowanych. Poza tym chce może swą stadninę powiększyć jeszcze o nasze dwa konie.

— A niech to!...

— Nie denerwuj się. W tej chwili nic nam nie grozi. Badałem ślady. Odjechał.

— Mała pociecha... Może przecież wrócić.

Każdy z osobna obeszliśmy nasze obozowisko w dużym promieniu. Ledwo widoczne odciski stóp ludzkich biegły ku północy, ginęły za niezbyt wysokim pagórkiem. Tam odkryliśmy ślad po ogniu i tropy końskie. Karol natychmiast je policzył: pięć koni. Nie ulegało już wątpliwości, iż napastnik był ciągle ten sam.

— Pięć koni... — rozumowałem głośno. — Przecież on nie może szybko się poruszać. Moglibyśmy go dogonić jeszcze tej nocy.

— Dogonić, a nawet... przegonić. Skąd wiesz, jak daleko odjechał? A może leży teraz w jakimś parowie i czeka na naszą pogoń. Nie ułatwiajmy mu sytuacji. Nie, nocny pościg to niedobry pomysł. Zostaniemy tu do rana.

Około północy niebo zaciągnęło się chmurami. Pokazały się pierwsze błyskawice, przekreślające horyzont pękami srebrnych strzał. Narastało dudnienie grzmotów, aż wreszcie zerwał się wicher i lunął deszcz. Spętaliśmy mocniej konie i rozciągnięci pod wątłą osłoną krzewów, oczekiwaliśmy końca zawieruchy. Wiatr zmienił się w prawdziwy huragan. Fale deszczu padały ukośnie, w ciągu minuty przemokłem do nitki. Jak żyję, nie widziałem jeszcze takiej burzy. Niebo bez przerwy rozpalało się ogniem, wiatr zapierał dech w piersiach. Pioruny biły w ziemię w tak niebezpiecznej bliskości, iż — co tu ukrywać — miałem potężnego stracha.

Jak długo trwała ta nawałnica, nie wiem. Powoli grzmoty cichły, coraz rzadziej biły pioruny. Na niebie znów ukazały się gwiazdy, nie na długo jednak. Poczęły blednąc. Nadchodził świt.

Wstaliśmy ze swych przymusowych legowisk zziębnięci, mokrzy, niewyspani. W rannej szarości, człapiąc namokły-mi butami po namokłej łące, szukaliśmy koni. Na szczęście nie odbiegły zbyt daleko. Jeden kłopot spadł z głowy. Drugi chwilowo nie dał się zlikwidować — nie mogliśmy rozpalić ognia. Po paru bezskutecznych próbach Karol machnął ręką i orzekł, iż trzeba czekać do południa. Jak słońce przygrzeje i podsuszy chrust, wtedy znowu się spróbuje.

Łatwo to powiedzieć, ale kiedy ma się na grzbiecie mokrą koszulę, na nogach mokre spodnie, a w butach pełno wody, perspektywa kilkugodzinnego oczekiwania nie wygląda przyjemnie.

Zdesperowany usiadłem pod krzakiem, ale Karol kazał mi się natychmiast rozbierać i sam dał tego przykład.

— A cóż ja na siebie włożę? — zaprotestowałem. — Nie mam zapasowego ubrania.

— Ja też nie mam. Może bielizna w jukach nie zamokła? W przeciwnym razie po prostu będziemy biegać.

— Nago?

— Nago. Lepsze to niż choroba. Nikt nas tu nie zobaczy. Ściągaj łachy.

Druga zmiana bielizny rzeczywiście jakimś cudem nie zamokła. Jak dwa białe duchy biegaliśmy więc truchtem wokół kępy krzaków, szczękając zębami. Usiąść nie było na czym — wszystko mokre. Stopniowo robiło mi się coraz cieplej, ale z tym większą siłą wystąpiło zmęczenie.

Przeklinałem w duchu burzę i całą wyprawę, zerkając ciągle na wschodnią stronę nieba w oczekiwaniu zbawczego słońca. Wreszcie ukazał się złocisty rąbek. Dzień zapowiadał się pogodnie. Stopniowo ocieplało się. Minęła jeszcze godzina i Karol rozpalił wątły ogieniek. Więcej dymił, niż grzał, ale śniadanie jako tako upitrasiliśmy.

Potem, owinięty w derkę, położyłem się spać. Nie podniósłbym się nawet wówczas, gdyby nadciągnęła cała horda bandytów uzbrojonych w szybkostrzelne karabiny. Dobrze po południu zbudził mnie Karol. — Wstawaj, ubranie suche jak pieprz. Możesz je włożyć. Daleko dziś już nie zajedziemy, ale zawsze trochę... Pozbieraliśmy manatki, zadusili resztki ognia i wskoczyli na konie. Słońce grzało mocno, ale powietrze było rześwe i czyste. Szmaragdowy step połyskiwał jeszcze wilgocią, mienił się kolorami tęczy, pachniał mocno i przyjemnie. Pierzchły nocne strachy i wątpliwości. Czułem się zdrowo, silnie i pewnie. Bez porównania lepiej niż kiedykolwiek w Milwaukee. Śmieszne, nieuzasadnione wydawały się teraz pomysły powrotu do miasta, a nawet groźba polującego na nas myśliwego była w świetle słonecznego dnia mniej realna.

Szarzało już, kiedy przybyliśmy nad brzeg szeroko rozlanej rzeki.

— Rzeka Mleczna — powiedział Karol. — Jesteśmy już na terenach Czarnych Stóp. Na południe mamy fort Ben-ton nad Missouri, na północy — południowy Saskatchewan, dalej — północny Saskatchewan. Tam to już tereny plemienia Cree. Na wschodzie rozciągają się tereny Assiniboinów, na zachodzie, w górach — Kutenajów. Teraz wiesz już wszystko.

— Jednego jeszcze nie wiem: jak tutaj trafiliśmy?

— To nie sztuka. Byłem tu setki razy, zresztą, jak pobędziesz trochę w prerii, nauczysz się dobrej i szybkiej orientacji w terenie. No, a teraz — z koni!

Zdjęliśmy juki, puścili spętane wierzchowce do wody, a potem na trawę. Z rozpaleniem ognia kłopot był większy niż kiedykolwiek do tej pory. Po prostu zabrakło paliwa. Prawie do zmierzchu włóczyliśmy się nad brzegami wody, zbierając mokre lub zbutwiałe patyki, kawałki kory. Paliło się to potem od siedmiu boleści. Ale się paliło.

Późną już nocą wyciągnąłem się na derce, z siodłem pod głową. Spoglądałem w gwiazdy, paliłem fajkę, a Karol opowiadał mi o swych znajomościach wśród indiańskich plemion.

— Czarne Stopy — mówił — są najbardziej wojowniczy. Siedzą tu na swojej prerii, lecz zapuszczają się na północ, w lasy plemienia Cree, z którym są trochę na bakier. Ale rzadko się to zdarza.

— Skalpują? — mruknąłem na pół sennie.

— Niekiedy. Nauczyli się od białych.

— Co?! Karolu, nie opowiadaj mi bajek!

— To nie bajka. Skalpowanie stosowały tylko plemiona zachodnie, znad brzegów Atlantyku. Kiedy przyszli biali, przyjęli ten sposób zdobywania trofeów. Przyjęli i rozpowszechnili w centrum i na wschodzie kraju. Powiem ci jeszcze więcej: najlepsze noże do skalpowania produkują wytwórnie w Sheffield i Connecticut...

— I sprzedają czerwonoskórym?

— Jeszcze jak! Nie tylko noże, ale i tomahawki, i broń palną...

— Z której tamci strzelali do nas nad Little Big Horn.

— Zgadłeś. Podobno nawet mieli nowiutkie karabiny, prosto z fabryki.

— Wierzyć się nie chce.

— Uwierzysz jeszcze w niejedno.

— A Sitting Buli?

— Co?

— Żyje jeszcze?

— Żyje. Jest gdzieś na terenie Kanady.

— U Czarnych Stóp?

— Nie. Tu go nie spotkałem. Pewnie gdzieś w górach. To ciekawy człowiek. Powiadają, że jest pół krwi Indianinem, że urodził się wcale nie w tipi, ale w forcie Garry, na terenie Winnipegu.

— Widziałeś go?

— Wiele razy. Niegłupi facet, ale jednej rzeczy nie może zrozumieć. Indianie nie mają szans na wygraną. Mogą zwyciężyć w stu potyczkach, ale w końcu zawsze przegrają.

— Dlaczego?

— Wojna nie sprzyja polowaniu. Nie ma polowania — nie ma jedzenia. Nie ma jedzenia — nie ma sił do walki. Ale to jeszcze nie wszystko. Przecież czerwonoskórzy nie wyrabiają ani broni palnej, ani amunicji.

— Więc jak się to wszystko skończy?

— Mój Janku, nie jestem jasnowidzem... — Karol był wyraźnie śpiący.

— No to śpij. Obudzę cię za cztery godziny.

— Dobrze.

Nie obudziłem go jednak za cztery godziny. Długo, długo patrzałem w gwiazdy i słuchałem cichych szmerów traw. Potem gwiazdy stawały się coraz mniej wyraźne, powieki opadały mi na oczy. Postanowiłem wstać, ale odkładałem to z sekundy na sekundę i... zasnąłem. Zapadłem w pustkę i ciemność — w sen bez marzeń. Jak długo to trwało, trudno mi powiedzieć. Zbudziłem się nagle, pozornie całkiem bez powodu. Kiedy później opowiadałem o tym Karolowi, zauważył:

— Działa już w tobie instynkt traperski. Budzisz się automatycznie, reagując w ten sposób na zbliżanie się czegokolwiek, człowieka czy zwierzęcia.

— A dlaczego tyś się wtedy nie obudził?

— Obudziłem się, tylko że było już za późno...

Istotnie, było za późno. Nie zdążyłem bowiem zerwać się z derki, kiedy otrzymałem gdzieś z tyłu straszliwy cios w głowę. Nie odczułem nawet bólu. Ciemna zasłona spadła na oczy. Straciłem przytomność.

W obozie Czarnych Stóp

Przebudzenie było przykre, bardzo przykre. Od skroni, od wierzchu czaszki promieniował ostry, rwący ból. Bolały ręce i nogi, bolał krzyż. Otworzyłem oczy. Dojrzałem tylko przesuwającą się wysoką trawę prerii. Trawa kołysała się — z niewiadomej przyczyny — przed oczami. Dziwnie podrygiwały jej źdźbła. Chciałem unieść głowę ku górze. Nie mogłem. Nie wiedziałem, dlaczego leżę na brzuchu. Próbowałem przewrócić się na bok. Nie mogłem. Coś mnie więziło w tej niewygodnej pozycji. Dlaczego trawa się ruszała? Czy jechałem? A może to wszystko sen? Nic nie rozumiałem. Nie potrafiłem skupić myśli. Na czym ja leżę? Co to rusza się pode mną? Koń? Tak, to chyba koń. Dlaczego leżę na koniu? Jestem ranny? Kto mnie wiezie? Karol?

Znowu mgła opadła na oczy. Przestałem widzieć, przestałem czuć. Nowy przebłysk świadomości odsłonił przede mną niebo rozświetlone różowym blaskiem zachodu. Zbliżał się wieczór. Głowa bolała nadal. Podniosłem się. Siedziałem na ziemi. Przed oczyma wszystko zawirowało. Chciałem przycisnąć dłońmi bolące skronie. Nie mogłem. Ręce miałem mocno skrępowane, prawdopodobnie rzemieniem. Nogi również. Przewróciłem się na wznak. Pierwsza logiczna myśl, która przyszła mi do głowy, była taka: „Złapał nas ten drań. Złapał i dokądś wiezie". Moje czoło i plecy pokryły się potem.

Leżałem długo, bardzo długo. Na koniec wyczułem, że ktoś zbliża się do mnie. Uniosłem głowę. Nie, to nie był biały człowiek. Czyżby nasz napastnik był czerwonoskórym?

Wojownik nie odezwał się do mnie słowem. Schylił się. Jednym ruchem ręki rozciął mi pęta u nóg, drugim — u rąk. Wstałem. Przed sobą miałem ubitą, wydeptaną w krąg trawę. Z prawej i z lewej strony sterczały stożkowato rozpięte na tykach, spłowiałe skóry. Ze środka wolnej przestrzeni wznosił się ku niebu cieniutki wężyk siwego dymu. Dostrzegłem plecy siedzących wokół ogniska ludzi. Zrozumiałem wszystko: byłem w indiańskim obozie!

W tej chwili od ognia podniósł się jakiś mężczyzna i począł zbliżać się ku mnie.

— Karolu! — krzyknąłem.

— Sza! Nie wrzeszcz. Jak się czujesz? — Troskliwie obmacał mi głowę. — Guz, ale chyba nic poza tym. Udało się.

— A ty?

— Mam podobnego guza.

— Gdzie jesteśmy?

— W obozie Czarnych Stóp.

— U twoich przyjaciół?

Nie odpowiedział, tylko przymrużył oczy.

— Ładnie nas urządzili, niech ich!...

— Pomyłka, Janie. Po prostu pomyłka. A wiesz, komu ją zawdzięczamy?

— Temu samemu łobuzowi, który na nas polował.

Od ognia zbliżały się ku nam dwie postacie.

— Spójrz — powiedział Karol.

Podeszli właśnie. Znajome, jakże znajome twarze. Pamiętałem je dobrze.

— Gdyby nie oni, leżelibyśmy w więzach — szepnął Karol.

Czerwonoskórzy wojownicy zatrzymali się tuż przede mną. Tak, to oni: Długi Niedźwiedź i Czerwona Chmura. Jeszcze raz stanął mi przed oczyma jakże realny obraz ich wizyty w szpitalu, a potem wszystkie jej konsekwencje. Ale się zaplątałem! Cóż ja tu właściwie robię? Z bolącą głową, z czerwonymi śladami od rzemienia na przegubach rąk — ale umieją wiązać! — zły jak chrzan, spoglądałem ponuro na Indian. Karol trafnie wyczuł, co się ze mną dzieje, bo poklepał mnie po ramieniu: „Nie złość się, nic się przecież nie stało". Ledwo dostrzegalny wątły cień uśmiechu przemknął po twarzach czerwonoskórych. Uroczyście podprowadzono nas do ogniska. Nikt nie wstał, ale siedzący posunęli się nieco, robiąc wolne miejsce. Siedliśmy. Płomień smużył ku niebu. Wszyscy milczeli. Na koniec podniósł się Czerwona Chmura. W ręku trzymał glinianą fajkę z drewnianym cybuchem. Schylił się, wyjął z ogniska żarzący się patyczek, przytknął go do fajki. Zaciągnął się głęboko, aż mu policzki zapadły. Potem, zadzierając głowę, wypuścił dym ku niebu. Zaciągnął się znowu i obracając się w cztery strony świata, czterokrotnie wydmuchiwał dym. Wreszcie powiedział kilka słów w niezrozumiałym dla mnie języku, wręczył fajkę Karolowi i usiadł. Ceremonia powtórzyła się, z tą tylko różnicą, iż Karol przemówił na początku. Skończywszy dmuchanie, siadł z miną śmiertelnie poważną i wetknął mi cybuch w rękę.

— Rób to samo. Nie potrzebujesz nic mówić. Gadałem za nas obu.

Kątem oka zerknąłem na ośliniony cybuch. Brrr... Powstrzymałem się od obtarcia go rękawem kurtki w obawie, że może to być przyjęte jako akt nieszczerości, i robiąc dobrą minę do złej gry, kropka w kropkę powtórzyłem wszystkie gesty Karola. W ten sposób fajka obiegła krąg siedzących przy ognisku, aż wreszcie trafiła z powrotem do rąk Czerwonej Chmury, który wyczyścił ją dokładnie i schował do skórzanego woreczka zwisającego u pasa.

— Tak oto — po raz pierwszy w życiu — wypaliłem fajkę pokoju, gwarantującą uczestnikowi tego obrzędu gościnność i bezpieczeństwo w obozowisku gospodarzy. Być może, rozpisałem się na ten temat zbyt obszernie, ale było to dla mnie niezapomniane przeżycie. Wiele wypaliłem później fajek pokoju. Nie potrafię ich zliczyć ani przypomnieć sobie, w jakich odbywało się to warunkach.

Pierwsza fajka pokoju na zawsze jednak utkwiła mi w pamięci.

Powoli ściemniało się. Jeszcze na krańcach nieba drżały różowe blaski zachodu, a środek nabrał już stalowoszarego odcienia; zamigotały pierwsze gwiazdy. Czerwona Chmura skinął na Karola. Bez słowa wstaliśmy od ognia. Czarownik poprowadził nas wzdłuż rzędu stożkowatych tipi krytych skórami — tym właśnie różnią się od wigwamów, krytych przeważnie korą — zatrzymał się przed którymś z kolei i odsunął koc zawieszony u wejścia. Potem zniknął bezszelestnie, jakby się zapadł w ziemię. Dwa posłania z niedźwiedzich skór i coś w rodzaju kolorowego dywanika, zajmującego środek wolnej przestrzeni, to było całe umeblowanie. Z przyjemnością wyciągnąłem się na skórach. Karol przysiadł obok.

— No i co? — zagadnąłem.

— Poczekaj, zaraz przyniosą nam coś do zjedzenia. Potem ci opowiem.

Nie mylił się. Dwie squaw we wzorzystych spódnicach, o włosach tak czarnych, iż wydawały się granatowe, obstawiły nas miskami, w których dymiło mięso polane gęstym brunatnym sosem. Na chwilę zapomniałem o łupiącym bólu głowy. Za to przypomniałem sobie głód. Przecież nie jadłem cały dzień! Karol już dziobał scyzorykiem w misce.

— Doskonałe! — mruczał. — Potrawka z jelenia. Spróbuj.

Widelców oczywiście nie było, a jedzenie nożem nie wydało mi się wygodne. Dano nam jednak wystrugane z drzewa łyżki. Tak, to była doskonała potrawa. Uporałem się z nią szybko, zagryzając płaskimi, okrągłymi plackami, przypominającymi nasze podpłomyki. Popiłem to wszystko jakimś płynem o zapachu malin i orzeźwiającym, lekko kwaśnym smaku. Nagle poczułem się zupełnie nieźle.

— A teraz opowiadaj.

— Wyobraź sobie — zaczął Karol — że ten drań nasłał na nas Czarne Stopy. Spotkał mały oddziałek wojowników poszukujących śladów bizonów. Nałgał, że nań napadło jakichś dwóch włóczęgów, pokazywał ranę na ręce. Młodzi wojownicy przyjęli tę opowieść bezkrytycznie. Zamiast za bizonami, ruszyli za nami. Daliśmy się schwytać jak barany. Wstyd! Trzeba to będzie jakoś naprawić. Inaczej nasza reputacja licha będzie warta.

— No dobrze, ale co się z nim stało? Schwytali?

— Żeby tam... Zatrzymał się tutaj tylko kilka minut. Jeszcze mu Czerwona Chmura opatrzył ranę. Potem pognał dalej, jakoby do głównego obozu Czarnych Stóp. Całe szczęście, że spotkałem tu znajomych. Leżelibyśmy w więzach nie wiadomo jak długo.

— Trzeba go gonić!

— Wysłali za nim trzech chłopaków, ale... szukaj wiatru w polu!

Byłem tak zmęczony, że tylko jednym uchem słuchałem dalszych rozważań Karola. Rozciągnąłem się na skórach i zasnąłem.

Różowy świt zaglądał do wnętrza tipi, gdy otworzyłem oczy. Karol, jak zwykle, spał bardzo czujnie. Kiedy siadłem na posłaniu — zdawałoby się, bezszelestnie — natychmiast się obudził.

— Musimy jechać — powiedział prostując się.

— Dokąd?

— Dalej, za tym typem. Trzeba go schwytać, zanim znów kogoś uśmierci. Może to pozwoli nam jakoś się zrehabilitować.

— Nie przesadzasz, Karolu? Ostatecznie każdemu może się zdarzyć...

— Każdemu, nie każdemu — przerwał mi w połowie zdania. — Mnie nie zdarzyło się od lat, muszę to jakoś naprawić.

Nie rozmawialiśmy dłużej na ten temat. Zimna woda, chlustana wprost ze źródełka na barki i głowę, wypłoszyła ze mnie resztki snu. Polędwica z jelenia świetnie smakowała, mimo iż czuć ją było dymem. Przyprowadzono nam nasze konie. Przyprowadzono jeszcze trzeciego, bez siodła, przykrytego jedynie kolorową derką.

Spojrzałem pytająco na Karola.

— Czerwona Chmura jedzie z nami.

Wskoczyliśmy na konie. Ruszyliśmy gęsiego, indiańskim

zwyczajem. Pierwszy jechał Czerwona Chmura, drugi Karol, na końcu ja. Posuwaliśmy się po śladach uciekiniera. Gdy niknęły, sytuację ratował fakt, iż obok nich — a nie po nich, jakże to mądry zwyczaj! — biegły tropy trzech jeźdźców indiańskich, wysłanych w pościg już poprzedniego dnia. Jechaliśmy więc stosunkowo szybko. Na popas zatrzymaliśmy się dopiero wówczas, kiedy słońce znalazło się u szczytu nieba. Błotnisty strumyczek sączył się leniwie poprzez zieloną płaszczyznę traw. Daleko na wschodzie majaczyły jakieś wzniesienia. Karol swym nożem myśliwskim wykroił wielkie koło na murawie, po czym i mnie zagnał do roboty. Z miejsca przyszłego ogniska trzeba było usunąć wszelki materiał

palny — inaczej pożar prerii murowany! Ognisko nie bardzo nam się zresztą udało. Nie było czym palić. Płaty polędwicy bardziej były okopcone dymem niż upieczone. Zjadłem na pół surowe mięso, którego bym za skarby świata nie ugryzł w Milwaukee. Nie było czasu na poobiedni odpoczynek. Wskoczyliśmy na konie.

Ślady trzech koni indiańskich i pięciu koni nieznajomego biegły teraz obok siebie. Ponieważ jechaliśmy tak, aby nie zadeptywać tej „ścieżki", ktoś, kto posuwałby się za nami, mógłby sądzić, że przejechała tędy cała kawalkada jeźdźców. Powiedziałem o tym Karolowi. Uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową.

— Tak mógłby sądzić tylko ktoś bardzo zielony,..

— Zielony?

— Nie gniewaj się, tak nazywamy nowicjuszów na prerii. Przecież widać po śladach, że jedna grupa jeźdźców przejeżdżała tędy wcześniej, druga później, a trzecia jeszcze później.

— Wcale tego nie widzę.

— Nie szkodzi. Nauczysz się. Jedno mnie tylko martwi, że Indianie jechali tak wolno.

— Kto ci to powiedział?

— Trawa...

— Trawa?

— Wcale nie żartuję. Przydeptane łodyżki trawy nie podniosły się ani o cal.

W rok później doskonałe orientowałem się w tym „zegarze traw", ale wówczas mądrość Karola napełniła mnie zdumieniem. Tym bardziej iż wkrótce okazało się, że miał rację.

Po godzinie dostrzegliśmy wśród prerii grupę jeźdźców.

Szturchnąłem Karola.

— Indianie! Pokręcił głową.

— Coś ich za dużo.

Jadący na czele Czerwona Chmura wstrzymał konia. Wyciągnął rękę ku horyzontowi.

— Czerwone kurtki — powiedział.

— Śpieszmy się! — odkrzyknął Karol.

Z kłusa przeszliśmy w galop. Dostrzegłem, jak od grupy jeźdźców oderwały się trzy sylwetki i pognały naprzeciw nam. Czerwone kurtki to popularna nazwa kanadyjskiej konnej policji. Widoczni byli wśród traw jak czerwone maki. Spotkanie nastąpiło bardzo szybko. Konie zaryły się kopytami, wyrzucając grudy ziemi.

Policjanci trzymali w ręku karabiny, wsparte kolbami o uda. Z szerokich rond okrągłych kapeluszy padał cień na twarze spalone słońcem, na oczy przyglądające się nam badawczo. Milczenie trwało sekundę, bo oto nagle jeden z nich potrząsnął karabinem.

— Do stu tysięcy fur... Karol! Skąd się tu wziąłeś, chłopie?... Patrzcie — zwrócił się do swych towarzyszy — to jest Wielki Bóbr!,

Podnieśli lewe dłonie do kapeluszy gestem pozdrowienia. A ja?... Ja osłupiałem. Karol Gordon to Wielki Bóbr! Świat się wali!

Wielki Bóbr! To imię nie było mi obce. Nosił je słynny traper, przyjaciel Indian, jeden z najlepszych znawców życia czerwonoskórych, człowiek, któremu przypisywano ukończenie amerykańskiego uniwersytetu. Opowiadano sobie, iż Wielki Bóbr brał udział w bitwie nad Little Big Horn, że uratował życie samemu Sitting Bullowi, że nie splamił się niczyją krwią w tej walce, niosąc pomoc rannym po obu stronach. Wielki Bóbr miał otrzymać swe imię od

Indian nie tylko dlatego, że wysoko cenili jego mądrość, ale również dlatego, iż — w przeciwieństwie do innych traperów — nigdy nie polował na bobry.

Nie spotkałem nikogo, kto by widział Wielkiego Bobra. Nikt nie mógł określić, jak wygląda. Niektórzy twierdzili, że jest to Indianin, inni, że mieszaniec, jeszcze inni, że czystej krwi biały. A teraz okazało się, że Wielki Bóbr to Karol Gordon!

Nie miałem jednak czasu zastanawiać się nad tym nie-oczekiwanym odkryciem. Na życzenie Karola pozwolono indiańskiemu patrolowi jechać dalej, a my pozostaliśmy jeszcze chwilę. Gary Mitchell — sierżant konnej policji kanadyjskiej, znajomy Karola — w paru słowach opowiedział wszystko. Oto spotkali jakiegoś mężczyznę z pięcioma końmi, który skarżył się, iż napadło nań dwóch włóczęgo, tak że ledwo z życiem uciekł. Ci włóczędzy, jak utrzymywał, zabili z zasadzki dwóch jego towarzyszy-geologów, z którymi wybrał się w te strony na poszukiwanie minerałów...

— A to łotr! — nie wytrzymałem.

Karol tylko mrugnął na mnie.

— Mów dalej — zachęcił sierżanta.

— Twierdził — ciągnął Mitchell — że włóczędzy są w zmowie z Indianami, że go ścigają...

— I uwierzyliście?

Mitchell wyraźnie się zakłopotał.

— Stało się głupstwo, ale wyglądał przyzwoicie...

— Niech piorun strzeli takich przyzwoitych facetów! Gary, gdzie ty miałeś oczy?! Wypuściłeś mordercę!

Opalenizna na twarzy sierżanta stała się jeszcze bardziej czerwona.

— Jak to?

— Bo w tym, co on mówił, jest połowa prawdy. Dwóch ludzi zabitych! Zastrzelił ich... nad Jeziorem Jelenia. Zastrzelił i utopił!

Karol w kilku słowach opowiedział całą historię. Mitchell wyglądał na zupełnie oklapniętego.

— Wyfrycował mnie — powiedział — ale ja go jeszcze...

— Co myślisz teraz robić? — Jadę nad Jezioro Jelenia.

— Po co?

— Jak to się mówi w policji: zidentyfikować zamordowanych.

— Dobrze ich obszukałem. Nic nie znajdziesz.

— A jednak muszę jechać. Muszę obejrzeć zwłoki. To dowód rzeczowy.

— A przez ten czas... Mitchell podniósł rękę.

— Stop, zaczekaj. Nad Jezioro Jelenia pojedziemy we trzech. Druga trójka odwiedzi wszystkie najbliższe posterunki konnej policji i faktorie Hudson.

— Rysopis?

— W przybliżeniu: wysoki jak tyczka, blondyn, oczy niebieskie, szczęka wystająca, widoczna szrama na lewym policzku. Nie golił się chyba z tydzień.

— Podawał nazwisko?

— A, coś tam mruknął. Ale to nieważne. No, czas na nas.

Rozjechaliśmy się w trzy strony świata. Mitchell ż dwoma policjantami ku Jezioru Jelenia — to nie jest nazwa geograficzna, jak wyjaśnił mi Karol, ale znają ją wszyscy w tych stronach

— my śladem indiańskich zwiadowców, trzej pozostali policjanci ku najbliższemu posterunkowi.

Trop indiańskich zwiadowców nieznacznie skręcał na zachód.

Czerwona Chmura odwrócił się w siodle.

— Oden-na-ka-inne-he-kaj! — powiedział swym niskim, melodyjnym głosem.

— Co on mówi?

— Ukryte Miasto — odparł Karol. — Ślad prowadzi w kierunku Ukrytego Miasta. — Co to znaczy?

— To znaczy, że morderca jedzie wprost do wielkiego obozu Czarnych Stóp. Wydaje się zbyt pewny siebie...

Oden-na-ka-inne-he-kaj

Pierwszy raz w życiu znalazłem się w indiańskim Ukrytym Mieście. Była to po prostu wioska pełna stożkowatych tipi, pełna ludzi i... psów. Te ostatnie rzuciły się na nas z gromkim ujadaniem. Mój koń dostał jakichś nerwowych drgawek i nie wiem, jak by się to skończyło, gdyby nie malutki i zwinny chłopak, który wyskoczył jak spod ziemi i kawałkiem patyka — dosłownie: patyka! — porozpędzał krwiożercze, podobne do wilków bestie.

Nikt nie wyszedł nam na powitanie, nikt nie przerwał codziennych zajęć. To normalne we wszystkich indiańskich osiedlach zjawisko wówczas wydało mi się czymś zdumiewającym.

Położenie ukrytych miast — osiedli Indian północno-amerykańskich — znane jest tylko wtajemniczonym. Indianin za żadną cenę nie wskaże obcemu miejsca, w którym na dłuższy czas rozbiło swe namioty jakieś plemię. Natręci nie są tu mile widziani.

Zeskoczyliśmy z koni. Jakże bolały mnie wszystkie kości! Jakże marzyłem, aby rozciągnąć się na miękkiej, pachnącej trawie gdzieś w cieniu potężnych kanadyjskich sosen. Nie brakło ich tutaj. Ukryte Miasto rozbiło swe namioty w lekko falistej okolicy. Na zachodzie, na horyzoncie majaczyły siwe wierzchołki wysokich gór. W słonecznym blasku szumiała i błyszczała pienista rzeczka. Na krańcu prerii, za ostatnimi tipi, dźwigał się ku niebu dziewiczy bór. Nieco w dole rzeczki drzewa o rudo płomiennych pniach dochodziły do samego brzegu. Ciepły wiatr wydmuchiwał z lasu zapach igliwia. I cisza — psy przestały szczekać — wielka cisza pierwotnej przyrody. Szliśmy dziwną ulicą tego dziwnego miasta. Wiódł nas Czerwona Chmura. Uchylił się kolorowy pled zasłaniający wejście do tipi. Wewnątrz — przyjemny półmrok i zapach jałowcowego dymu. Usiedliśmy. Czerwona Chmura wyszedł na chwilę. Spojrzałem na Karola. Wydawał się czymś bardzo rozbawiony.

— Czego się tak cieszysz? Ja siedzę tu jak na szpilkach i żebym nie był tak śmiertelnie zmęczony...

— Cierpliwości. Śmieję się właśnie z ciebie.

W tej chwili uchyliła się zasłona u wejścia i stanął w nim czarownik. Powiedział kilka niezrozumiałych dla mnie słów. Karol skinął głową, a potem zwrócił się do mnie:

— Złapali go.

Zerwałem się, ale natychmiast znów usiadłem wstydząc się swej niecierpliwości. Dwie indiańskie dziewczyny wniosły tymczasem dwie parujące miski. Westchnąłem cicho i zabrałem się do jedzenia. Czerwona Chmura siadł w kącie, nieruchomy jak kamienny posąg.

Karol pierwszy uporał się z miską, wyciągnął fajkę i woreczek z tytoniem. Garść pachnącego ziela podał Czerwonej Chmurze. Wszystko to trwało straszliwie długo. Potem zaczęli ze sobą rozmawiać. Co dwa zdania dwie minuty milczenia. Myślałem, że ze skóry wyskoczę. Nareszcie Karol przestał pykać z fajki.

— Wszystko w porządku — powiedział po angielsku. — Wieczorem zobaczysz go, a teraz chodźmy się przejść. A może wolisz się położyć?

— Wolę, ale nie tu, raczej gdzieś w lesie.

— No to chodźmy.

Wyszliśmy z tipi wydeptaną wśród traw drogą, między

rzędami stożkowatych domków, na szeroką płaszczyznę prerii.

— Góry Skaliste — powiedział Karol wyciągając dłoń ku zamglonej linii wzniesień. — To wszystko ojczyzna Czarnych Stóp. Jak długo nią jeszcze będzie?

— Co masz na myśli?

— Napór białych. Przerażające zmniejszanie się ilości zwierzyny, zwłaszcza bizonów. Bez bizonów Indianie nie wyżyją.

— Więc cóż ich czeka?

— Osadzenie w rezerwatach. Za cenę lichego wyżywienia na koszt rządu — bezczynne, gnuśne życie na obszarze, którego przekraczać nie wolno. Na obszarze pilnowanym. Coś jak więzienie, tylko bez dachu nad głową.

— I nie ma na to żadnej rady?

— Jest, ale niewykonalna.

— Jaka?...

— Zmienić radykalnie warunki egzystencji. Indianie powinni przerzucić się z myślistwa na hodowlę. Hodowlę bydła na przykład, hodowlę koni... Ale nikt ich nie potrafi przekonać. Będą głodować, wymierać i nie porzucą swej myśliwskiej podstawy bytu. Zresztą może się mylę, ale jak dotychczas, o przyszłości swego plemienia poważnie myślą tylko Czerwona Chmura i Wysoki Orzeł.

— Kto to jest?

— Pierwszy z wodzów. Poznasz go zapewne.

Wysokie łodygi traw chlastały mnie po nogach. Skręciliśmy w cień pierwszych drzew lasu. Położyłem się na skraju. Uff, cóż za ulga! Karol oparł się plecami o pień sąsiedniego drzewa. Milczeliśmy.

Po wysokim błękitnym niebie płynęły wolno puchowe obłoczki. Wierzchołki sosen kołysały się łagodnie. Na jednym przemknął rudy płomień wiewiórczego ogona. W ciemnej głębi załopotał skrzydłami nieznany ptak.

Błogosławione godziny leśnego odpoczynku! Gdzież się podział „mój" szpital? Gdzież jest Milwaukee? Rozpłynęło się, znikło, nigdy chyba nie istniało! A przecież od tak niedawna dopiero tutaj jestem.

— Karolu — powiedziałem — kto to jest Wielki Bóbr?

Nastała chwila ciszy. Nie widziałem twarzy Karola, spoglądałem w niebo, ale mogę przysiąc, że patrzał na mnie.

— Wielki Bóbr? O co ci chodzi? Takie imię nadali Indianie jednemu z traperów.

— Karolu, nie kręć. Przecież Wielki Bóbr — to ty! Znowu chwila ciszy.

— Tak, to ja — rzekł swym beznamiętnym, informacyjnym tonem.

— Ukrywałeś to przede mną. Dlaczego?

— Nie ukrywałem, ale jakoś się... nie zgadało. Widzisz, Janku, wszystko jest sprawą zaufania.

Podniosłem się raptownie z trawy.

— Więc nie masz do mnie zaufania?

— Tego nie powiedziałem. Miałem wszelkie powody nie mieć do ciebie zaufania tam, w szpitalu, a potem... no cóż... potem było mi jakoś niezręcznie. Po prostu nie chciałem, żebyś wyruszał w prerię dlatego, że wybierasz się z Wielkim Bobrem, chodziło przecież tylko o prerię, rozumiesz?

— Rozumiem. Aaa... — ziewnąłem.

Przewróciłem się na bok i zasnąłem. Wspaniale śpi się przy wtórze łagodnego szumu drzew. Obudziłem się nagle. Wielkie cienie padały od strony lasu, a na zachodzie różowe blaski znaczyły drogę uciekającego słońca. Karol stał tuż obok.

— Masz czujny sen — pochwalił mnie — to dobre przyzwyczajenie. Chodź. Ognisko płonie.

Przeciągnąłem się, aż zatrzeszczało w kościach.

— Dokąd?

— Na maleńkie przedstawienie. Ujrzysz „naszego" bandytę. Będzie to coś w rodzaju sądowego przesłuchania...

Wróciliśmy do wioski. Otoczone ciemnymi sylwetkami siedzących, ognisko płonęło pośrodku udeptanego placu. W połowie drogi spotkaliśmy Czerwoną Chmurę. Zatrzymał Karola. Znów rozmowa w niezrozumiałym dla mnie języku. Wreszcie Czerwona Chmura wrócił do ogniska, a Karol wziął mnie pod rękę i dziwnie klucząc, poprowadził za jedną z chat.

— Nie siądziemy przy ognisku — powiedział. — Tu będziemy czekać. Czerwona Chmura wpadł na wspaniały pomysł.

— Co takiego?

— Ty zobaczysz bandytę, ale on ciebie widzieć nie będzie. O to właśnie chodzi.

— Nie rozumiem.

— Naucz się cierpliwości. Słuchaj, patrz i nie ruszaj się z miejsca, dopóki nie dam ci znaku.

Sterczeliśmy więc za ścianą tipi. Z tego stanowiska widziałem dokładnie i całe ognisko, i wszystkich siedzących wokół niego. W pewnej chwili z mroku nadciągającej nocy wyszły trzy postacie: dwóch Indian i jakiś biały.

— To on — szepnął Karol.

Mitchell określił go zupełnie dobrze. Wysoki, chudy jak tyczka, włosy jasne. Widziałem, jak rozcięto mu więzy i wskazano miejsce przy ogniu. Nie siadł jednak. Stał przez chwilę w milczeniu, a potem zaczął mówić ochrypłym, gardłowym głosem. Głos miał charakterystyczny, trudny do zapomnienia. Wyrzucał z siebie zdania w sposób gwałtowny, niepohamowany.

— Dlaczego mnie zatrzymano? Co to znaczy?! Poskarżę się Białemu Ojcu w Waszyngtonie. Niechaj Czarne Stopy oddadzą mi konie i broń. Czekam.

Usiadł przy ognisku. Znowu milczenie. Wreszcie inny głos, jakże różny od tamtego! Dźwięczny, melodyjny i wyraźny. Ku mej radości zrozumiałem, że ów człowiek mówi po angielsku.

— Kto to?

— Wysoki Orzeł — szepnął Karol.

— Jak świetnie włada angielskim! Nigdy bym nie przy-puszczał...

— Cicho bądź i słuchaj.

— Biały Ojciec z Waszyngtonu nie ma władzy na tych ziemiach — mówił Wysoki Orzeł — ale Białemu Ojcu z Waszyngtonu nie może się podobać to, co tu uczyniłeś.

— Czarne Stopy nie będą mnie sądzić, ale jeśli mają coś do zarzucenia, niechże powiedzą...

— Gdzie są twoi towarzysze, gdzie te dwie blade twarze, z którymi jechałeś?

— Dziwi mnie to pytanie. Czarne Stopy dobrze wiedzą, że zostałem napadnięty przez dwóch włóczęgów. Moich towarzyszy zabito, sam ledwie uciekłem...

— Mylisz się, dwie blade twarze żyją! Staną tu i powiedzą, kto chciał je zabić. — I zwracając się w naszym kierunku Wysoki Orzeł zawołał: — Harry Smoth, Joe Lawson, zbliżcie się do nas!

Karol pociągnął mnie za rękaw.

— Idź za mną, powoli i głośno — szepnął.

W głębokiej ciszy, wolno, tupiąc nogami zbliżaliśmy się do ognia. Morderca poderwał się. Widziałem, jak uporczywie spoglądał w naszą stronę.

— To... to... niemożliwe! — wykrzyknął, odwrócił się i skoczył w ciemność. Tupot, trzask łamanych gałązek, ktoś krzyknął i znowu nastała cisza.

— Złapali go — powiedział Karol. — Ale teraz możemy już usiąść przy ogniu. Zrozumiałeś wszystko?

— Doskonała inscenizacja — wyraziłem swoje uznanie. — Ale skąd Wysoki Orzeł zna nazwiska zamordowanych?

— Wiele się wyjaśniło. Chodź. Wzywa nas Czerwona Chmura.

Czarownik czekał już na nas. Gdy podeszliśmy, położył ręce na naszych ramionach i coś powiedział do siedzących. Karol skinął na mnie. Rozsunął się krąg wojowników. Usiedliśmy. Wówczas podniósł się znowu Wysoki Orzeł.

— Witam naszych braci — powiedział po angielsku. — Czarne Stopy od dawna czekały na Wielkiego Bobra. Dzień, w którym przybył, jest dniem naszego święta.

Podano mu fajkę. Zapalił ją węgielkiem. Dmuchnął kłębem dymu ku niebu, a potem w cztery strony świata. Fajka powędrowała kołem. Wysoki Orzeł usiadł. Czerwony blask ognia padł na jego twarz. Mogłem mu się dobrze przypatrzeć. Na oko dałbym mu czterdzieści lat. Myliłem się: Wysoki Orzeł miał wówczas dokładnie pięćdziesiąt jeden lat, ale żywe ruchy, błyszczące oczy, brak zmarszczek na twarzy, prosta, smukła sylwetka — wszystko to mogło wprowadzić w błąd najlepszego nawet obserwatora. Siedział niedaleko mnie, z odkrytym wysokim czołem, z zaczesanymi ku górze czarnymi włosami, które spadały mu na ramiona pękami drobnych warkoczyków. Odziany był w jasną bluzę z cienkiej skóry. Na tej bluzie nosił niby serdak z jakiegoś biało-czerwonego materiału, tkanego grubą nicią. Spodnie miał z jasnej skóry jeleniej, pokrytej krótką sierścią, z czerwonymi wypustkami na szwach. Stroju dopełniały czarne mokasyny wyszywane kolorowymi paciorkami. Jak się później

dowiedziałem, ubiór Wysokiego Orła był jednym z pięknych wytworów sztuki ludowej, u Czarnych Stóp bardziej rozwiniętej niż wśród innych plemion.

Kiedy przerwano milczenie, dowiedziałem się szczegółów pochwycenia mordercy. Były bardzo lakoniczne. Przybył do wsi na kilka zaledwie godzin przed przyjazdem ścigających go wywiadowców. Bezczelność nie opuściła go do końca. Opowiedział o rzekomym napadzie na niego, podał dość dokładny rysopis Karola i mój. Był bardzo zmęczony. Zjadł coś pośpiesznie, wskazano mu wolne tipi. Otulił się w pledy i zasnął. Tak. go znaleźli wywiadowcy. Schwytany i skrępowany, głośno oburzał się na napaść. Wysoki Orzeł zbadał zawartość juków na jego koniach. Było tam sporo narzędzi: kilofy górnicze, jakieś świdry, przyrządy pomiarowe, łopaty i metalowe sita. Poza tym zwykłe wyposażenie na dłuższą wędrówkę po pustkowiach: płachty namiotowe, przenośna kuchenka, parę garnków, nieco mąki, kaszy, tytoniu itp. Przy zatrzymanym znaleziono dwa rewolwery bębenkowe, trzy sztucery marki Winchester oraz plik zapisanych papierów, które Wysoki Orzeł pobieżnie tylko przejrzał. Nawet ten pobieżny przegląd pozwolił jednak na stwierdzenie, iż towarzyszami schwytanego byli: Harry Smoth — adiunkt uniwersytetu w St. Louis oraz Joe Lawson — geolog, pracownik jednego z przedsiębiorstw wiertniczo-naftowych w tym samym mieście. To wyjaśniło obecność narzędzi górniczych. Ale czego ci dwaj chcieli szukać i jak poznali się ze swym zbrodniczym przewodnikiem? I jak on się nazywa? Tych zagadek nie zdołał rozszyfrować Wysoki Orzeł. Dla nas było to również tajemnicą. Jej zbadanie odłożyliśmy jednak do następnego dnia. Noc nie sprzyjała ani odcyfrowywaniu notatek, ani szczegółowemu przeglądaniu bagażu. Nocna narada przy ognisku zakończona została jednomyślną decyzją przekazania zbrodniarza przy najbliższej okazji kanadyjskiej policji konnej. Była to decyzja rozumna, świadcząca o dobrym zorientowaniu wodzów Czarnych Stóp w sytuacji. Biali w tym wypadku zastosowaliby najpewniej prawo Lyncha. Czerwonoskórzy woleli przekazać sprawę legalnemu wymiarowi sprawiedliwości, nie chcąc być podejrzanymi o stronniczość lub nienawiść do „bladych twarzy".

Zagadkowa mapka

Ten szatan ma piekielne szczęście. Uciekł! I znowu trup za nim pozostał. Zadusił wartownika pilnującego tipi, w którym leżał związany. Co prawda niebacznie rozluźniono mu więzy na rękach, ale w każdym razie sztuka to nie lada!

O tym wszystkim powiadomił nas rano Czerwona Chmura. Twarz miał spokojną, nieprzeniknioną, ot po prostu jak gdyby mówił o pogodzie.

Za uciekającym wysłano pogoń. Karol miał o to pretensję: sam chciał ścigać przestępcę. Czerwona Chmura pokręcił głową. Tym razem mówił po angielsku, widać pragnął być zrozumiany i przeze mnie.

— Dogonią go — powiedział. — Teraz trzeba zbadać papiery, zanim przyjadą Czerwone Koszule.

— Co mój brat ma na myśli?

— Nie każdy powinien wszystko wiedzieć. To, co jest dobre dla jednych, nie musi być dobre dla innych — odparł zagadkowo czarownik.

Karol popatrzył na niego uważnie.

— Gdzie możemy obejrzeć te papiery? — zapytał.

— Chodźcie.

Tipi, z którego uciekł złoczyńca, znajdowało się prawie w środku wioski, w połowie długiej wioskowej ulicy. Zajrzeliśmy do wnętrza, po prostu przez ciekawość, bo przebieg ucieczki został już bardzo dokładnie zbadany i wyjaśniony. Więzień miał przy sobie mały kieszonkowy scyzoryk. Nim właśnie przeciął krępujące go sznury, a potem podczołgał się do wyjścia. Strażnik widocznie się zdrzemnął. Nie obudził się już więcej. Z kolei więzień przeciął scyzorykiem tylną płachtę tipi i tamtędy wypełzł razem z bronią zabraną Indianinowi. Porwał konia z pastwiska. Ucieczkę dostrzeżono dopiero o świcie.

Sytuacja wydawała się tak oczywista, że zirytowało mnie postępowanie Karola, który wszedł do wnętrza tipi i na czworakach cal po calu badał ziemię. Wstał wreszcie, okrążył tipi od zewnątrz i zatrzymał się przed tylną ścianą. Przez kilka minut oglądał rozcięcie i miejsce wokół niego. Wreszcie wyprostował się.

— Ściana została rozcięta z zewnątrz — powiedział stanowczo. — Spójrzcie, skóra jest sztywna, wygięła się pod naciskiem noża. Wygięła się do wnętrza tipi...

Czerwona Chmura ukląkł na ziemi, badał ślady.

— Wielki Bóbr nigdy się nie myli. Czarne Stopy były ślepe.

— Co to znaczy? — wyrwało mi się.

— Co znaczy? Ano to, że złoczyńca miał... wspólnika. Spójrzcie tutaj. Te dwa dołki wygniecione w trawie i w ziemi. Ów człowiek klęczał. Musiał bardzo ostrożnie rozcinać skórę, zabrało mu to wiele czasu.

— A może to właśnie uciekający tu przyklęknął? — wtrąciłem. — Może ktoś szedł, więc chciał się przed nim ukryć?

— Zastanów się, Janie. Przecież w takim wypadku położyłby się na brzuchu, a nie klęczał. Zresztą rozcięcie skóry od zewnątrz to najlepszy dowód.

— Ale kto mógłby być tym wspólnikiem?

— Ba, z tym cały kłopot. Ślady na pewno pozadeptywano, ale spróbujemy czegoś się dowiedzieć. Wielki Bóbr nam pomoże.

Rozpoczęło się żmudne odcyfrowywanie zatartych śladów. Gdyby nie prosty fakt, że Indianie noszą mokasyny, a biali buty z obcasami, cała sprawa byłaby nie do rozwiązania. Wszystko sprowadzało się teraz do odszukania śladów dwóch par butów. A jeśli byłaby tylko jedna para? Czy oznaczałoby to, że wspólnik był czerwonoskórym, czy też, że jego ślady zostały zadeptane? Takie wątpliwości snuły mi się po głowie, kiedy obserwowałem pracę moich towarzyszy. Karol kluczył jak pies myśliwski. Wreszcie dobrnęliśmy do miejsca, gdzie pasły się konie. Stamtąd trop kopyt doprowadził, nas do rzeki. Przeprawiliśmy się na drugą stronę. I tu dopiero tajemnica została wyjaśniona.

— Trop koński — powiedział Czerwona Chmura. — Koń był podkuty.

Koń podkuty — a więc nie indiański. Morderca zaś uciekł na pierwszym lepszym koniu ze stada, pozostawiając pięć swoich wierzchowców w Ukrytym Mieście.

— Wygląda to tak: przybysz dotarł do rzeki, spętał konia — patrzcie, jak tu trawa zdeptana! — przebył wodę, uwolnił więźnia i wrócił razem z nim, po drodze zabierając konia indiańskiego. Potem obaj pojechali korytem rzeki. W którym kierunku udali się czerwoni wojownicy?

— Jeden w stronę lasu, dwaj w prerię. Ale ten z lasu już powrócił — wyjaśnił Czerwona Chmura.

— Chciałbym z nim porozmawiać.

— To Sokole Pióro. Nie ma go. Pojechał w prerię.

— Nie rozumiem — wtrąciłem. — Dlaczego Sokole Pióro zawrócił?

— Był na fałszywym tropie. Uciekający pojechali korytem rzeki. Jak tu odnaleźć ślady? Trzeba szukać w górę i w dół rzeki. Sokole Pióro nigdzie nie natrafił na ślady na brzegach, więc zawrócił.

— A gdyby tak uciekający jechali przez kilka godzin korytem rzeki?

Coś jak błysk uśmiechu zamigotało w oczach Czerwonej Chmury, ale twarz jego pozostała nieruchoma.

— Zapewniam cię, Janie, że tak nie uczynili — odezwał się Karol. — W wodzie nie można posuwać się szybko. W którymś miejscu musieli wyjść na brzeg, a więc — zostawić ślady. No, ale wracajmy. Trzeba przejrzeć te papiery.

Udaliśmy się do chaty czarownika. Było to tipi większe od innych, pomalowane w czerwono-niebiesko-czarne desenie.

Papierów była spora kupka. Po co to z sobą wozili? Więc przede wszystkim list, bez koperty, podpisany nic nie mówiącym imieniem Maria. A tekst był taki: „Drogi Adamie, otrzymałam już list od Ciebie. Skąd ten nagły wyjazd? Niepokoję się bardzo i czekam". Pod spodem data: 6 kwietnia. Roku nie podano. Papier był wygnieciony i brudny. Kiedy list został napisany: teraz czy przed rokiem i do kogo? Imię Adam nie pasowało ani do Joe Lawsona, ani do Harry Smotha.

— On ma na imię Adam — zawyrokowałem półgłosem.

— Tak sądzisz? — mruknął Karol. — Oglądajmy dalej.

Następny list, o dziwo, treść miał podobną. I w nim była wzmianka o jakimś wyjeździe adresata. Ba, ale adresat tym razem nosił imię Natan, a podpisana była jakaś Izabela.

— No więc, jak ma na imię „nasz" chłopczyk? — zapytał Karol.

Wzruszyłem ramionami i sięgnąłem po następny papier.

— Do licha! Cóż za kolekcjoner listów! Patrz, Karolu, jeszcze jeden.

— Założę się, że znowu mowa o wyjeździe — powiedział Karol zaglądając mi przez ramię.

— Zgadłeś. Ale teraz facet jest Danielem. Data 8 kwietnia, znowu bez roku. Podpisana „Twoja na zawsze Helena". Bardzo czule. Prawda?

Karol pokręcił głową.

— To jakiś lepszy numer! Ale patrzmy dalej.

Dalej był arkusik papieru z nadrukiem: „Uniwersytet w St. Louis" i z tekstem wyjaśniającym, iż Harry Smoth, adiunkt uniwersytetu, oraz Joe Lawson, pracownik Inżynieryjnej Spółki Wiertniczej w St. Louis, udają się na teren Kanady, w okolice Gór Skalistych, celem przeprowadzenia badań geologicznych. Pismo kończyło się prośbą do miejscowych władz o udzielenie pomocy wymienionym osobom w ich pracach poszukiwawczych. U dołu widniała data: 10 kwietnia.

— Jesteśmy w domu — zawyrokował Karol. — Na pewno w kwietniu wyruszyli na wyprawę. Czytajmy dalej.

Przejrzeliśmy jeszcze gruby notatnik, częściowo wypełniony adresami różnych osób i instytucji przeważnie o charakterze naukowym, częściowo usiany hieroglifami znaków chemicznych. Nietrudno było doszukać się tutaj wzorów rud żelaza, rud miedzi, jakichś związków siarki. Ostatnie kartki były niezapisane. Z kolei obejrzeliśmy aż dwa kalendarzyki kieszonkowe, fotografię kobiety z dzieckiem na ręku, dwa grube czyste zeszyty, paczkę kopert i papieru listowego, na koniec — we czworo złożony arkusz pergaminu. Karol rozwinął go i gwizdnął.

— Ho, ho... Coś ciekawego. Czy to miałeś na myśli, Czerwona Chmuro?

Czarownik skinął głową.

Na papierze pergaminowym narysowana była mapa jakichś górskich czy podgórskich terenów. Rysunek, wykonany zwykłym ołówkiem, świadczył jednak o dużej wprawie autora. Wyraźnie zaznaczone szczyty, doliny, lasy i łąki, falista linia jakiejś wody. Obok niej napis „Dolina Siodła". W łuku rzeczki czy rzeki — czarny punkt przekreślony krzyżykiem. Ani śladu południków i równoleżników, brak wszelkich danych dotyczących szerokości i długości geograficznej.

— Ta mapka równie dobrze może się odnosić do Kanady jak do... Chin — zauważyłem.

— Tak źle nie jest — odezwał się Karol nie odrywając oczu od papieru. — Ale... ale nie wiadomo, czy to jest „tu", czy sto mil dalej.

— Przede wszystkim: kiedy ta mapka została zrobiona? Przed ich wyruszeniem w podróż czy w drodze? To znaczy: czy jadąc kierowali się tą właśnie mapką, czy też dopiero trafili na coś, co wymagało utrwalenia na mapie.

— Dobrze postawiłeś sprawę, Janie. A co sądzi o tym nasz brat, Czerwona Chmura?

— Ten rysunek został zrobiony w drodze.

— Z czego tak wnioskujesz, Czerwona Chmuro?

— Dlaczego ich zabił? — odpowiedział czarownik pytaniem na pytanie.

— Żeby zabrać broń i konie. A może pieniądze?

— Właśnie — wtrąciłem. — Gdzie się podziały pieniądze? To niemożliwe, żeby ich nie mieli.

— Mieli, mieli, Janie. Tylko, że Indianie pieniędzy nie zabierają. Pieniądze musiały zostać w ubraniu tego łajdaka. Czy nie tak, Czerwona Chmuro?

— Rzekłeś. Ale on ich zabił, żeby zabrać ten rysunek... — Indianin szybko podzielił stos papierów na dwie części. — To — oznajmił — było przy koniu — i wskazał ręką na koperty, kalendarzyki, nie zapisane zeszyty. — A to... -— Spojrzałem w kierunku ruchu jego ręki: na pledzie leżał pergaminowy papier i notes, w którym natrafiliśmy na wzory chemiczne. — To miał w kieszeni koszuli.

— Wszystko to są tylko przypuszczenia — powiedziałem. — Ta mapka nie posiada żadnej wartości. Jak tu gdzieś trafić z taką mapą?

— Chyba że się i tak zna dobrze miejscowość — wtrącił Karol.

— No to po co mapa?

— Albo też... — Karol wydarł kartkę czystego papieru z zeszytu, kilkakroć przeciągnął po niej ołówkiem. Powstała siatka pionowych i poziomych linii. Przykrył ją pergaminem. W ten sposób na mapie ukazała się sieć południków i równoleżników. — O to właśnie chodzi. Dopiero dwie kartki tworzą całość. Szukajmy tej drugiej.

Jeszcze raz skrupulatnie przejrzeliśmy papiery. Niestety, kartki z siecią geograficzną nie znaleźliśmy.

— Ale czegóż ostatecznie dotyczyć ma ta mapa? — zapytałem.

— W tym cały sęk. Przypuszczam, że muszą to być jakieś cenne kopaliny.

— Ropa naftowa?

— Ach, nie. Jak mi wiadomo, trochę trudno dokopać się kilofem ropy naftowej, a przecież oni mieli tylko kilofy.

— Więc co? Rudy żelaza?

— Wątpię. Cóż by mu z tego przyszło? To musi być coś, co bez pomocy kosztownych narzędzi potrafi eksploatować jeden lub kilku ludzi.

Czerwona Chmura przymrużył oczy i pochylił się nad pergaminową mapką, jak gdyby chciał się jeszcze lepiej jej przypatrzyć. Trwał tak chwilę, wreszcie powiedział jedno tylko słowo:

— Złoto.

— Skąd to wiadomo?

— Niech moi biali bracia dobrze pomyślą. Dla złotego proszku wiele już popełniono morderstw. Dlaczego on zabił swoich towarzyszy? Przecież nie dla tych narzędzi górniczych, a pieniędzy na pewno nie mieli wiele. Żeby zabrać pieniądze, mógł ich po prostu... okraść lub obrabować. Ale chciał czegoś więcej.

— Czego?

— Zachowania tajemnicy, żeby tylko on jeden wiedział...

— To możliwe — powiedział Karol.

— To pewne — poprawił Indianin. — Czerwona Chmura nie myli się.

— I co teraz poczniemy?

— Chciałbyś już zobaczyć złote grudki, co, Janie?

— Mało mnie interesują.

— Nie kłam. Nie znam białego człowieka, dla którego złoto byłoby obojętne.

— Możesz wierzyć, Karolu, że nic a nic nie zależy mi na tym złotym piasku, na złotych grudkach.

— W to wierzę, ale nie mów, że cię nie interesują. One interesują nas wszystkich. Czerwoną Chmurę również, czy nie tak?

Indianin skinął głową.

— Tak czy owak — mówił dalej Karol —- ta mapka nie może dostać się w cudze ręce.

— Konna policja...

— Właśnie! Nic o tym nie mogą wiedzieć.

— Ale dlaczego?

— Czy wiesz, co tu by się działo, gdyby rozeszła się wiadomość o złotonośnych pokładach? Ściągnęłyby powsinogi i zabijaki z końca świata, najgorsze męty. Dziś jeszcze ta preria jest cicha i spokojna...

— Ładnie spokojna! — mruknąłem pod nosem.

— ...Ale wówczas zamieniłaby się w piekło. Byłby to koniec Czarnych Stóp i ich wolnego życia. Rozumiesz?

Powiedziałem, że rozumiem, choć w istocie rzeczy niezupełnie tak było. Dopiero dziś, teraz, widzę dokładnie pełną słuszność twierdzenia Karola. Cóż, człowiek uczy się całe życie.

— W ten sposób staniemy się wspólnikami zbrodniarza... — wysunąłem swoje wątpliwości. — Dwaj ludzie zginęli dlatego, że dokonali cennego odkrycia. Mimo wszystko oni są nadal odkrywcami, do nich czy do ich bliskich należy to, co znaleźli.

— Mylisz się. Przede wszystkim zginęło nie dwóch, ale trzech ludzi. Nie o to zresztą chodzi. Powiedz mi, Janie, do kogo należą te tereny?

— Do... no... właściwie są niczyje.

— Mylisz się znowu. Są to od wieków posiadłości Czarnych Stóp. I będą nimi dopóty, dopóki albo Czarne Stopy dobrowolnie nie zrzekną się swej własności, albo też nie zostaną do tego zmuszeni siłą. W tej chwili jeszcze to im nie grozi. I dlatego wszystko, co znajduje się na tej ziemi albo pod ziemią, jest ich własnością. Nie wiem, gdzie leży tajemnicze miejsce oznaczone na mapie. Jeśli nie na terenach łowieckich Czarnych Stóp, to na pewno na terenach Kutenajów lub Szuswapów. Nie zgodziłbyś się chyba, żeby w twoim ogródku czy na twoim polu ktoś — bez twej zgody i wiedzy — grzebał w ziemi i to, co znajdzie, uznał za swą własność? Powiadasz, że zginęło dwóch ludzi? Nie spotkałoby ich to, gdyby najpierw porozumieli się z Czarnymi Stopami. Nie, Janie, ta mapka nie może dostać się w obce ręce.

— Ba, jeśli go złapią, sam powie.

— Stawiam dolary przeciw orzechom, że nie powie.

— Nawet jeśli go skażą za morderstwo?

— Nawet. Do ostatka będzie liczył na to, że ucieknie.

Znam dobrze takie typy. On wie, że zdradzenie tajemnicy

nie zmniejszy jego winy.

— Słowa Wielkiego Bobra są pełne mądrości. Howgh! Skapitulowałem, ciągle jeszcze niezupełnie przekonany.

— A teraz — powiedział Karol — rzecz najważniejsza: gdzie „to" jest?

— Jedźmy za nim.

— Skąd wiesz, że ruszył właśnie tam?

— Nie wiem, ale może...

— Na to mamy jeszcze czas. Pojechało przecież trzech zwiadowców. Mnie w tej chwili przyszedł do głowy jeszcze jeden pomysł. — Sięgnął po mapkę i pilnie zaczął się jej

przypatrywać. — Czerwona Chmuro — rzekł po chwili — wiem, że niejeden raz jeździłeś po wąwozach Gór Skalistych. Przypomnij sobie, czy nie widziałeś kiedy wśród tych gór doliny przeciętej potokiem? Potok zatacza łuk na jakiejś łące. Z dwóch stron wznoszą się góry — jedna wyższa, pokryta aż do szczytu lasem, druga zupełnie naga. Góra wyższa, na północy, jest bardziej stroma, góra niższa — przeciwległa, na południu. Pomyśl, Czerwona Chmuro, czy nie widziałeś takiej doliny?

Czarownik zmrużył oczy i trwał w bezruchu, wpatrzony w jakiś nieokreślony punkt na ścianie tipi. Odetchnąłem głośno.

— Karolu, skąd ty to wszystko wiesz?

— Tę mapę robił fachowiec i chociaż to jest właściwie

szkic, a nie szczegółowy plan, wiele się z niego można

dowiedzieć.

— I spodziewasz się...

— Indianie mają znakomitą pamięć wzrokową. Jeśli tylko któryś z nich tam był...

— Nie wiem, ile jest dolin w Górach Skalistych. Na pewno tysiące i zapamiętać jakąś jedną...

— No, no! Nie przesadzajmy. W Górach Skalistych jest może nawet i sto tysięcy dolin, ale przecież nam nie chodzi o całe Góry Skaliste, tylko o tereny Czarnych Stóp.

— Lub przyległe...

— Lub przyległe. To niewiele zmienia sytuację.

— Wydaje mi się, że bardzo ją zmienia. Czy przypominasz sobie, Karolu, gdzie po raz pierwszy spotkaliśmy trzech jeźdźców?

— Jezioro Jelenia?

— Czy to są tereny Czarnych Stóp?

— Nie.

— O to chodzi. Gdzież więc szukać tej doliny?

— A ty co radzisz?

— Jechać, jak najszybciej jechać za uciekinierami.

— To już zostało zrobione.

Rozmowę naszą przerwał Czerwona Chmura stwierdzeniem, iż nie może sobie przypomnieć doliny opisywanej przez Karola. To umocniło mnie w moim przekonaniu.

Ale Karol był uparty.

Na jego prośbę jeszcze tego samego dnia nad wieczorem zwołano zgromadzenie wszystkich wojowników znajdujących się w Oden-na-ka-inne-he-kaj.

Nic nie zrozumiałem z całej przemowy Karola, z rzucanych pytań i odpowiedzi. Chodziło właśnie o nieznaną dolinę kryjącą nieznane skarby, o Dolinę Siodła. Jak mi Karol potem opowiedział, w tłumie czerwonoskórych wojowników nie znalazł się nikt, kto potrafiłby skojarzyć opisany przez niego krajobraz z jakimś znanym miejscem.

— Ale to jeszcze nie wiadomo — orzekł Karol — może później ktoś sobie przypomni.

— Dobranoc — mruknąłem. — Jak sobie ktoś przypomni, to mnie obudź.

Karol cisnął we mnie butem.

Nieudany pościg

Ukryte Miasto — za nami. Przed nami preria i dalekie góry. Karol, Czerwona Chmura i ja jedziemy tropami trzech czerwonoskórych zwiadowców, jedziemy śladami dwóch uciekinierów-morderców. Ostatecznie stanęło na moim. Nikt sobie nie przypomniał Doliny Siodła. Karol zły jak chrzan, ale nadrabia miną. Posuwamy się gęsiego. Czerwona Chmura na przedzie, ja zamykam pochód.

Przyjemny chłód wieje od rzeki, wzdłuż której jedziemy. Słońce powoli wtacza się na szczyt nieba, po którym wędrują drobne białe obłoczki. Kopyta końskie z szelestem rozgarniają wysoką trawę prerii. Pachną zioła, drży rozgrzane powietrze, na horyzoncie widać sine zarysy gór. Jest mi jakoś dziwnie wesoło i lekko. Mimo perspektywy niebezpiecznego spotkania jakże swobodnie oddycha się powietrzem zielonego stepu. Nie martwię się o dzień jutrzejszy, nie niepokoi mnie myśl o ciężkich operacjach chirurgicznych jak w Milwaukee. Wszystko tu jest dla mnie nowe, piękne i urzekające.

Pod wieczór równina prerii przed naszymi oczami poczęła jakby dźwigać się ku górze, przechodząc w faliste wzniesienia. Szara linia szczytów, majaczących na dalekim wschodzie,

stawała się coraz bardziej wyraźna. Próżno szukaliśmy jakiegoś dogodniejszego miejsca na rozpalenie ogniska. Trzeba było rozłożyć się na otwartej przestrzeni. Po nadejściu zmroku zerwał się przenikliwy chłodny wiatr. Ogień rozpaliliśmy przy pomocy suchego nawozu bizonów. Ich ślady często krzyżowały się z naszą drogą. Kiepskie to było ognisko, ale i tak musieliśmy je przygasić, gdyż wicher roznosił iskry daleko w prerię, grożąc pożarem. W smętnym nastroju żułem wysuszony pasek bizoniego mięsa, stwierdzając, że wcale nie jest takie złe. Otulony w koc, ułożyłem się jak najbliżej żarzącego się ogniska. Nad ranem zbudził nas ulewny deszcz. Ciężkie chmury przewalały się po niskim niebie, a chociaż potem wiatr ustał, dzień zapowiadał się pochmurnie i mglisto. Znowu ruszyliśmy gęsiego. Zła widoczność utrudniała szybkie posuwanie się. Na dobitkę nocny deszcz poprzygniatał trawę i niejeden raz ślady zwiadowców nikły nam z oczu. Trzeba było zatrzymywać się, badać dokładnie teren, schodzić z koni. Po paru godzinach tej mitręgi czułem się tak, jakbym przejechał już dziesiątki mil.

Nieco później napotkaliśmy samotną limbę. Czerwona Chmura dokładnie obejrzał jej pień. Dziwiłem się, czemu to czyni, ale sprawa natychmiast się wyjaśniła. Na pniu były ślady. Trzy świeże uderzenia toporkiem i jeszcze jakieś zygzaki, których znaczenia nie potrafiłem odgadnąć. Czerwona Chmura — jak zwykle lakonicznie — wyjaśnił, iż są to ślady pozostawione przez trzech jadących przed nami Indian. Wszyscy trzej spotkali się niedaleko tego drzewa. Trop mają wyraźny, posuwają się szybko.

Ta wiadomość podniosła nas na duchu i nawet Czerwona Chmura, chociaż trudno cokolwiek wyczytać z jego twarzy, jakoś wewnętrznie poweselał. Zwiadowcy byli tu dzień przed nami i jeśli widoczność się poprawi, dogonimy ich najpóźniej jutro.

— Co sądzi o tym Wielki Bóbr?

Karol pokręcił głową. Wskazał na niebo, wreszcie powiedział coś w języku Czarnych Stóp. Ruszyliśmy dalej, to przynaglając konie do galopu, to zmuszając je do posuwania się stępa. Po dwóch godzinach takiej jazdy widnokrąg zmniejszył się, pole widzenia ograniczyło się jeszcze bardziej. Gdzieś od przodu poczęły napływać białe, rozcapierzone macki wilgotnej mgły. Nieco później w mleczno-szarej przestrzeni mogłem już dostrzec tylko plecy jadącego przede mną Karola. Trzeba było zsiąść z koni. Mozolne odczytywanie śladów dawało coraz gorsze wyniki. Wreszcie zatrzymaliśmy się, nie wiedząc już zupełnie, w jakim kierunku się posuwać. Ten przymusowy biwak był jeszcze przykrzejszy od poprzedniego. Ognia nie było czym rozpalić, a wilgotny, przejmujący chłód dobrze dawał się we znaki. Zdjęliśmy siodła i skupiliśmy się na małej przestrzeni, jeden obok drugiego. Spętane konie biły kopytami w ziemię, strzygły uszami, chlastały długimi ogonami po zadach. Na ogół spokojne, teraz zdradzały dziwne zdenerwowanie.

— Co to znaczy? — zapytałem Karola.

— Żebym ja wiedział! Może kojoty? Ale co tu w takiej mgle można rozpoznać. Nawet głos się zmienia.

Czerwona Chmura, który bacznie przysłuchiwał się naszej rozmowie, rzekł półgłosem:

— Nie, to nie kojoty...

Umilkliśmy. Karol zajął się czyszczeniem fajeczki. Poszedłem za jego przykładem. Tak mijał czas. Wilgotne pasma mgły przepływały między nami, wlokły się, rozdrabniały na tysiące odnóg. Nagle wydało mi się, że do tupotu koni przyłączył się inny odgłos, jakby lekkie, ledwo dosłyszalne dudnienie. Trąciłem Karola.

— Słyszysz?

W tej chwili Czerwona Chmura zerwał się z ziemi.

— Niech moi biali bracia pospieszą się, musimy jechać.

— Co to może być? — zapytałem.

Nikt mi nie odpowiedział. Czerwona Chmura siadał już na konia. Karol gorączkowo zaciągnął popręgi przy siodle. Co działo się dalej, trudno mi w tej chwili dokładnie opowiedzieć.

Mój gniadosz najpierw zarżał, potem jakoś dziwnie kwiknął i nim zdążyłem wsunąć nogi w strzemiona, runął na oślep przed siebie. Schwyciłem go za grzywę, cugle wypadły mi z rąk. Że nie runąłem natychmiast na ziemię, zawdzięczam chyba tylko doskonałej szkole jazdy konnej, którą tak zamęczał mnie Karol. Mój rumak galopował we mgle. Za nami nabrzmiewał złowrogi tętent. Raczej czułem, niż widziałem, iż coś ogromnego przetacza się obok mnie, z tyłu, z przodu. W pewnej chwili poprzez woal mgły dojrzałem zakrzywione rogi i potężny łeb bizona. Jechałem chyba w samym środku stada, ogarnięty panicznym strachem, że zwisające cugle zapłaczą się o nogi konia, że lada chwila runę wprost pod kopyta cwałującego stada. Po jakimś czasie koń począł zwalniać biegu, ucichł łomot, nastała cisza. Zdołałem wsunąć stopy w strzemiona i uchwycić końce cugli. Zawróciłem. Przynajmniej tak mi się zdawało, gdyż we mgle trudno było zorientować się w kierunkach. Jechałem przez pewien czas, ale nie trafiłem na ślad towarzyszy. Czterokrotnie wystrzeliłem ze sztucera. Głos strzału rozległ się jak trzask łamanej gałęzi i umilkł bez echa. Czekałem kilka minut. Nie było odpowiedzi. I tak oto z tej przeklętej mgły zrodził się nowy kłopot. Na dobitkę mgła poczęła szarzeć, robiło się coraz ciemniej. Nadciągał wieczór. Zupełnie już zrezygnowany, zaniechałem dalszych poszukiwań. Rozsiodłałem konia, spętałem mu przednie nogi, rozciągnąłem cugle, ile się tylko dało, i końce przywiązałem do przegubu dłoni. Tak zabezpieczony przed oddaleniem się gniadosza — tego by jeszcze brakowało! — siadłem na wilgotnej trawie. Siedziałem w kucki chyba kilka godzin, aż zdrzemnąłem się. Budziłem się parokrotnie w tej niewygodnej pozycji, aż wreszcie wyciągnąłem się jak długi. Tak zastał mnie wczesny ranek dnia następnego. Zdradziecka mgła znikła. Na wschodzie różowiały smugi wstającego słońca, a na błękitnym niebie nie było nawet śladu obłoków.

Miałem teraz przed sobą otwartą przestrzeń, daleko, do granic horyzontu. Mimo iż wytężałem wzrok, nie mogłem dostrzec śladów człowieka. Wystrzeliłem jeszcze dwukrotnie ze sztucera. Milczenie.

Gdzież się podziali moi towarzysze? Dokąd zagnało mego konia rozpędzone stado bizonów? Przez cały czas jechaliśmy w niewielkiej odległości od brzegu rzeki. Teraz tej rzeki nie mogłem odnaleźć, choć kluczyłem we wszystkie strony.

Zdesperowany opuściłem cugle, dając się nieść -prosto przed siebie. Słońce powoli dźwigało się ku szczytowi nieba, robiło się coraz goręcej i zaczynało dokuczać pragnienie. Liczyłem na to, że zmyślne zwierzę odnajdzie jakieś źródło. Rachuby nie zawiodły.

Wartki strumyczek cicho szemrał wśród wysokich traw i poczerniałych gałązek niskich roślin. Tutaj krótki odpoczynek. A potem — wzdłuż strumyka, z prądem wody. Może ten strumyk doprowadzi mnie do zagubionej rzeki? Po dwóch godzinach takiej wędrówki dotarłem do jego ujścia. Czyżby to była ta sama rzeka? Nie mogłem poznać. Więc znowu — wzdłuż rzeki, tym razem pod prąd. Ku widniejącym na horyzoncie sinym pagórkom.

Pierwszy raz w życiu znalazłem się w takiej sytuacji. Sam na dalekiej północnej prerii, z minimalnym zapasem wiadomości praktycznych i z bardzo skąpym zapasem jedzenia.

Nie będę opisywał tej monotonnej wędrówki. Żywiłem się suszonym mięsem bizonim, piłem wodę z rzeczki. Następnego dnia, dobrze po południu, natrafiłem na ślady: odciski kopyt końskich w miękkiej trawie. Od razu poczułem się lepiej. Te ślady mogły przecież zostawić tylko konie mych zagubionych towarzyszy. Jednakże ani tego, ani następnego dnia nie ujrzałem na zielonej falującej płaszczyźnie sylwetek jeźdźców. Teren powoli wznosił się. Rzeczka wyraźnie zwężała koryto. Pagórki na horyzoncie rosły ku niebu, a ciemne smugi mogły tylko oznaczać bliskość wielkich skupisk drzew.

Jeszcze dwa samotne dni. Jakiś ptak, podobny do przepiórki, spożyty w stanie na pół surowym — ognisko było wątłe i wkrótce zgasło z braku paliwa, potem próba ustrzelenia innego ptaka — nieudana. Monotonna jazda wzdłuż malejącej rzeczki, którą zdążyłem znienawidzić. Wreszcie zaczęły się wąskie kotlinki, dolinki porosłe krzewami, a tu i tam ślady końskich kopyt — jedyny drogowskaz i cała moja nadzieja. Krajobraz zmieniał się teraz stale. Spod zielonej powłoki coraz częściej wynurzały się ciemne głazy, spiczaste końce skał występowały coraz gęściej na szczytach wzgórz. Rzeczka stała się strumykiem. Ale gdzie ludzie? Gdzie są ci ludzie, którzy jechali przede mną?

Strumyk wpadł w wąską gardziel wąwozu. Po obu stronach z pionowych ścian zwisały jakieś kolczaste pnącza. Zeskoczyłem z konia i prowadząc go za uzdę, wkroczyłem w półmrok. Wąwóz ciągnął się już dobre kilkaset kroków i straciłem nadzieję przebrnięcia go, gdy raptem ściany się rozstąpiły. Ukazała się spora zielona kotlinka z okrągłym jak oko jeziorkiem. Po przeciwnej jej stronie horyzont zakrywała wysoka góra z wklęśniętym wierzchołkiem.

I nagle, zanim zbliżyłem się do jeziorka, rozległ się huk wystrzału. Potem drugi. W siodle tej dziwnej góry, na tle błękitnego nieba, wyraziście i ostro zarysowała się ciemna sylwetka człowieka. Zabrzmiał jeszcze jeden strzał. Człowiek wyrzucił ręce, skręcił się niby w jakimś dziwnym tańcu i runął. Staczał się bezwładnie po łagodnym trawiastym zboczu. Gdzieś w jego połowie zahaczył o krzewy. Pozostał tam, dziwnie nieruchomy, jak dziecięca lalka porzucona w trakcie zabawy. Puściłem lejce, chwyciłem za sztucer i gwałtownymi skokami jąłem piąć się po pochyłości. Dopadłem do leżącego. Spojrzałem w twarz, ciemną, spaloną przez słońce, z rozrzuconymi kosmykami czarnych

włosów. Ze skroni wolno spływało pasemko krzepnącej krwi. Chwyciłem go za przegub ręki, potem rozerwałem zapięcie starej, mocno zniszczonej kurtki. Brudna, przepocona koszula. Przyłożyłem dłoń do piersi. Serce nie biło.

Znowu rozległ się huk wystrzału, ale tym razem nikt nie ukazał się w „siodle" góry. Pozostawiłem zabitego i zacząłem się czołgać. Powoli, centymetr po centymetrze sunąłem ku czemuś nieznanemu, co musiało znajdować się po tamtej stronie. Wreszcie dotarłem do granicy szczytu i nieba. Uniosłem ostrożnie głowę. Tyle tylko, żeby trawa nie przesłaniała oczu. Zaraz za siodłem zbocze spadało łagodnie. Kilkadziesiąt kroków w dół znajdowała się naturalna pozioma platforma, utworzona z jakichś głazów porośniętych rzadkimi krzakami. Plecami do mnie leżało na niej dwóch ludzi rozciągniętych na płask. Głowy mieli skryte w krzakach. W promieniach słońca dostrzegłem błyski wśród zieleni — lufy karabinów. Podobny błysk ujrzałem nagle w dolinie. Potem smużka dymu i huk strzału. Ktoś strzelał. Do mnie czy do tych dwóch nieznajomych?

Leżałem w trawie, zastanawiając się, co dalej robić. Wycofać się? Dać znać o sobie? I nagle przypomniała mi się „Dolina Siodła". Przecież właśnie góra, na której się znajdowałem, miała kształt siodła! Czyżbym przypadkowo dotarł do poszukiwanego miejsca? I co ma znaczyć ta strzelanina? Kim był zabity, kim są dwaj obrońcy skalnej platformy? Po chwili zorientowałem się, iż nie była to obrona platformy, raczej samoobrona. Oblężeni nie mogli się wycofać. Wymagało to przebiegnięcia pasa niczym nie osłoniętego zbocza, które znajdowało się pod obstrzałem niewidocznych przeciwników. Próbę przebiegnięcia tego zbocza przypłacił właśnie życiem jeden z nich. Pozostali dwaj znajdowali się w prawdziwej pułapce. Na co więc liczyli? Po prostu na zachód słońca. W nocy łatwo się stąd wymkną.

Po tych krótkich rozmyślaniach doszedłem do wniosku, iż należy się szybko wycofać. Odwrót był zresztą znacznie prostszy, pochyłość ułatwiała zsuwanie się. Wkrótce dotarłem do zwłok nieznajomego i wówczas... Wówczas przyszła mi do głowy genialna, zdawałoby się, myśl, aby przeszukać jego kieszenie. Byłem tak pochłonięty tą myślą, iż nawet nie zwracałem uwagi na zachowanie jakich takich środków ostrożności. Klęcząc począłem przeszukiwać kieszenie kurtki. Było ich chyba z osiem. Prawdziwie pakowna kurtka włóczęgi, który wszystko musi mieć przy sobie. Cztery kieszenie były próżne. W piątej znalazłem pognieciony papier. Był nawoskowany, przezroczysty. Coś mnie tknęło. Rozwinąłem arkusik i o mało nie krzyknąłem z wrażenia i radości. Była to brakująca część posiadanej przez nas mapki. Sieć południków i równoleżników, którą trzeba było tylko podłożyć pod mapkę! Schowałem cenny papier, jak mogłem najgłębiej, w kieszeni koszuli.

Nagle usłyszałem strzał, szelest i jakiś straszliwy grom zwalił mnie z kolan na ziemię. Poczułem przejmujący ból w tyle czaszki i ogarnęła mnie ciemność.

Gdzie jesteś, dolino?

Polowałem gdzieś na bizony. Koń rzucał się pode mną i trząsł tak silnie, iż czułem ból głowy. Potem bizony nagle zniknęły. Znalazłem się w szpitalu w Milwaukee. Otwierają się drzwi, wchodzi Czerwona Chmura. Przez drzwi wieje silny wiatr, dmucha mi prosto w twarz. Nagle... drzwi chwieją się, wypadają z zawiasów. Uderzają mnie w głowę. Czuję dotkliwy ból.

Otworzyłem oczy. Nad sobą ujrzałem ciemne niebo i jakiś blask ślizgający się po skałach.

— Ocknął się — usłyszałem czyjś głos, daleki i zamglony.

W uszach mi szumiało, w skroniach pulsowała krew. Straszliwy, tępy ból głowy nie pozwolił mi się podnieść ani spojrzeć w bok. Gdzie jestem? Co się ze mną stało? Coś ściekało mi po policzkach. Z trudem uniosłem rękę i dotknąłem czoła. Miałem na nim jakąś wilgotną szmatę. Gdzie ja jestem?

Nagle jakiś cień, czarniejszy od nieba, pochylił się nade mną. Ujrzałem twarz, ujrzałem poruszające się wargi, usłyszałem jakieś dźwięki, których nie mogłem zrozumieć. Zamknąłem oczy. I znowu zapadłem w nicość.

Kiedy się przebudziłem, niebo szarzało. Wstawał świt. Głowa bolała nadal, ale szum w uszach znacznie się zmniejszył. Znowu ktoś pochylił się nade mną. Tym razem poznałem — był to Czerwona Chmura. Ukląkł przy mnie, podsunął do ust jakieś naczynie. Płyn był gorzkawy, o zapachu mięty. Potem w polu widzenia ujrzałem drugą postać. Karol.

— Jak się czujesz? — zapytał.

— Co to było? — wyszeptałem.

— Uderzenie. Kolbą w tył głowy, ale głowa cała. Miałeś szczęście. Leż teraz i nie ruszaj się.

— Papier — wyszeptałem — papier...

— Jaki papier?

— Tu, w kieszeni...

Rozpiął kieszeń koszuli. Coś zaszeleściło. Widziałem, jak wyjął złożony w czworo arkusik. Rozłożył go, spojrzał i gwizdnął przeciągle.

— Gdzie to znalazłeś?

Poruszyłem bezdźwięcznie wargami. Mówienie przychodziło mi z trudem.

— W ubraniu... zabitego.

— Dobrze. Opowiesz potem. Teraz staraj się zasnąć.

Leżałem jeszcze przez pewien czas z otwartymi oczami. Później powieki się zamknęły. Zasnąłem.

Spałem podobno jeszcze z pół dnia. Koło południa prze-niesiono mnie w cień sąsiedniej góry. Czułem się znacznie lepiej, ale nadal nie miałem siły wstać.

Dopiero po dwóch dniach dowiedziałem się szczegółów tej przygody. Oto moi towarzyszę — podobnie jak ja — zagubili się we mgle. Kompas posiadany przez Karola oraz wspaniała orientacja Czerwonej Chmury naprowadziły ich jednak na właściwą drogę. Ostatecznym „sygnałem drogowym" stał się głos palby karabinowej. Przybyli w samą porę, aby uratować od niechybnej zagłady trzech zwiadowców indiańskich. Okazało się, iż wpadli oni w pułapkę. Ścigani szybko zorientowali się, że wysłano pogoń. Urządzili zasadzkę u stóp tej właśnie góry, do której i ja dotarłem. Kiedy sytuacja zmieniła się na korzyść napadniętych, napastnicy wycofali się na zbocze i bronili się z kamiennej platformy. Prawdopodobnie zabrakło im amunicji, bo zrezygnowali z dalszej walki. Pierwszy padł. Dwaj przedostali się na drugie zbocze i zdołali uciec.

— Więc ilu ich naprawdę jest? — zapytałem wysłuchawszy tej krótkiej opowieści. — Jeden, dwóch czy trzech?

Karol uśmiechnął się.

— Obecnie dwóch. Czy masz jakieś wątpliwości?

— Nad Jeziorem Jelenia był tylko jeden, w Ukrytym Mieście już dwóch, teraz trzech...

— Znowu dwóch — przerwał Karol — i myślę, że to jest liczba ostateczna.

— Ale skąd wzięli się ci dwaj?

— Wątpię, czy kiedykolwiek tego się dowiemy. Myślę, że zabójca znad Jeziora Jelenia miał od początku wspólnika, a ten trzeci... Ten trzeci chyba przyplątał się po drodze.

— Oglądaliście znaleziony papier?

— Tak. Pasują jak para mokasynów, tylko że to jeszcze nie rozwiązuje zagadki.

— Nic nie rozumiem. W głowie huczy mi jak w ulu. Mów wyraźniej.

— Posłuchaj: znaleziony przez ciebie papier z liniami długości i szerokości geograficznej dokładnie przylega do mapki. Sęk w tym, że nie można w tej chwili oznaczyć długości i szerokości geograficznej, na jakiej się znajdujemy. Brak instrumentów... Do szkicu, który mamy, potrzebna jest mapa okolicznych terenów. Bez tego ani rusz.

— Ale przecież góra ma kształt siodła — upierałem się słabym głosem. — I tam ich znaleźliśmy...

— Szczegóły nie zgadzają się z planem. Zbadaliśmy dokładnie. Twoja „Góra Siodła" nie ma nic wspólnego z Doliną Siodła. Na planie wyraźnie przecież napisano: „Dolina".

— Pewnie masz rację — przyznałem zrezygnowany. — Ale co teraz? Gdzie zdobędziesz konieczną mapę?

— Ba, przypuszczam, że mapy tych terenów można nabyć w każdym mieście, ale będą one w zbyt dużej skali. Nic nam po takich. Dokładniejsze posiadają na pewno czerwone kurtki. Tylko jakże do nich się zwrócić? Pod jakim pretekstem? Nie, to nie jest dobra droga. Trzeba wymyślić coś innego.

— Może zwrócić się do uniwersytetu w St. Louis?

— Nie zdajesz sobie sprawy ze skutków takiego postępowania. Przecież trzeba by wszystko wyjaśnić i najprawdopodobniej uniwersytet wysłałby nową ekspedycję. Sprawa nabrałaby rozgłosu. Wcale nam na tym nie zależy.

— A mnie się wydaje, że jeśli energicznie nie weźmiemy się do rzeczy, uprzedzą nas.

— Kto?

— No, ci dwaj, co uciekli.

— Nie martw się. Jeżeli istotnie odkryli złotonośne pokłady, nie wsadzą ich w kieszeń i nie wyniosą. Poza tym plan. Przecież mamy obie jego części. Czy bez planu potrafią sobie poradzić?

Czy potrafią? Na to pytanie nie umiałem dać odpowiedzi. Dręczyła mnie natomiast inna sprawa.

— Więc co teraz? — zapytałem. — Będziemy ich dalej ścigać, tak?

— Jak ty to sobie wyobrażasz, Janie? Czujesz się już lepiej, to prawda, ale uciążliwa jazda konna przez górskie wertepy — nie, to stanowczo teraz nie dla ciebie. Za uciekinierami pojechali trzej indiańscy zwiadowcy. To wszystko, co w tej sytuacji mogliśmy uczynić.

Karol istotnie miał rację. Kiedy następnego dnia po tej rozmowie próbowałem — ot tak, dla wprawy — wsiąść na konia, dostałem zawrotu głowy i gdyby nie Czerwona Chmura, który stał obok, runąłbym na ziemię. Znowu więc musiałem się położyć. Czarownik Czarnych Stóp nadal poił mnie odwarami z ziół, a na bolącą głowę przykładał jakąś roślinną chłodną papkę. Sprawiało mi to wyraźną ulgę.

Stan przymusowej bezczynności sprzyjał rozmyślaniom. Raz jeszcze zastanawiałem się nad dziwnym trafem, który oddał w nasze ręce drugą część planu. Niepokoił mnie fakt, że papier z wyrysowaną siecią geograficzną znalazł się w kieszeni zabitego. Dlaczego bandyta przekazał mu ten cenny dokument? A może ów człowiek po prostu ukradł podkładkę mapy?

Postanowiłem przy najbliższej okazji podzielić się swymi wątpliwościami z Karolem. Niestety, bardzo przeceniałem swój stan zdrowia. Tego samego dnia wieczorem chwyciły mnie dreszcze. W gorączce raz jeszcze przeżywałem zagmatwane wydarzenia minionych dni. Czerwona Chmura zdecydował, iż musimy wracać do Ukrytego Miasta. Tylko tam, jak twierdził, będzie mógł mi zapewnić niezbędną opiekę.

Z koców towarzysze moi sporządzili prymitywne nosze, zawieszone jak hamak pomiędzy dwoma końmi. Było to maksimum wygody, możliwe do uzyskania w tych warunkach. Na szczęście — i na nieszczęście — ciągle byłem półprzytomny, więc trudy jazdy w hamaku słabo trafiały do mej świadomości. Gdy wreszcie dotarliśmy do Oden-na-ka-inne-he-kaj, Czerwona Chmura umieścił mnie we własnym tipi. Nie wiem, jakie stosował środki lecznicze, faktem jest, iż zawdzięczam mu szybki powrót do zdrowia.

Po czterech dniach leżałem już na słońcu, ale chodzić jeszcze nie mogłem. Bóle głowy minęły, przyszło osłabienie. W następnym tygodniu próbowałem coraz dłuższych spacerów. Podczas jednego z nich zwierzyłem się Karolowi ze swych wątpliwości:

— Wytłumacz mi, bo sam do tego dojść nie mogę: dlaczego podkładka mapy znalazła się przy zabitym? Dlaczego człowiek z blizną ją oddał? Czy ciebie nie uderza dziwaczność tego faktu? Myślałem o tym jeszcze tam, w górach, ale nastąpił nawrót tej przeklętej gorączki i o wszystkim zapomniałem.

— Do licha! Masz rację, Janie. Ale o czym ja myślałem, że mi to dotychczas nie przyszło do głowy?...

— Zbyt się przejąłeś moją raną, jak mi się zdaje.

— To prawda. Gdybyś mógł siebie wówczas widzieć!... Ale teraz trzeba się zastanowić: dlaczego człowiek z blizną oddał innemu drogocenną przecież podkładkę mapy? Pomyślmy. Może została mu ukradziona?... Nie wierzę. To za wielki spryciarz!

Potrząsnąłem głową.

— Nie potrafię tego wytłumaczyć.

— Ja również... chyba... poczekaj, coś mi świta... chyba że zostały sporządzone dwa plany. Dwie mapki i dwie podkładki. W takim razie, na wszelki wypadek, mogłyby być przechowywane przez dwie osoby. Zabity był pewnie zaufanym przyjacielem człowieka z blizną. Tak. To prawdopodobne.

Zgodziłem się z tym przypuszczeniem, zwłaszcza że inne nam się nie nasuwało.

Minęły jeszcze dwa dni. Trzeciego, nad wieczorem, powrócili trzej indiańscy zwiadowcy. Bez jeńców i z zadziwiającą wieścią. Ścigani opuścili góry i udali się na prerię, wprost ku wschodowi. Wojownicy jakiś czas posuwali się ich tropem, ale stopniowo stawał się on coraz mniej wyraźny, aż wreszcie znikł całkowicie, jakby się pod ziemię zapadli.

Nie była to dla nas pomyślna wiadomość. Z drugiej znów strony fakt, iż opuścili Góry Skaliste, mógłby świadczyć, że nie mieli zamiaru szukać Doliny Siodła. Dlaczego jednak zaniechali „pogoni za złotem"?

Na próżno się nad tym zastanawialiśmy.

Osada Dziesiątej Mili

Szeroka piaszczysta droga wybiegająca ze stepu i ginąca w stepie. Wzdłuż tej drogi-ulicy dwa szeregi drewnianych domków. Najokazalsze miały po jednym piętrze. Reszta to parterówki o najdziwaczniejszych kształtach. Wśród tych wszystkich na pół domów, na pół baraków wyróżniały się rozmiarami dwa budynki: faktoria Hundson's Bay Company i dom z szeroką werandą na froncie i z wyblakłą czerwienią liter wymalowanych na gołej desce: „Gospoda Białych Koni". Nazwę tę ilustrowały dwa białe łby końskie, umieszczone na obu końcach deski. Pyski końskie wyglądały dość cudacznie. Ile razy na nie spojrzałem, odnosiłem wrażenie, że konie się śmieją.

Do takiej to osady trafiliśmy po kilkunastu dniach wędrówki. Czułem się już zupełnie dobrze, po ostatnim wypadku śladu nie zostało. Praktyka wykazała, że zabiegi i leki Czerwonej Chmury były znakomite.

Osada nie miała właściwie nazwy, mówiono o niej „Osada Dziesiątej Mili" lub „Osada nr 17". Z czego wywodziło się to pierwsze określenie, nie wiem. Nie wiedział tego również

żaden z nielicznych mieszkańców. Drugie określenie powstało po prostu od numeru siedemnastego, którym oznaczono faktorię. Osada uformowała się z biegiem lat wokół tej placówki zajmującej się skupem skór oraz handlem artykułami spożywczymi i przemysłowymi, jakie tu właśnie można było nabyć za srebrne dolary kanadyjskie i za futra.

Jeśli dodać do tego, że „Gospoda Białych Koni" nie ograniczała się do sprzedaży kiepskiego piwa — i nie mniej kiepskich, tyle że mocniejszych od niego trunków — ale była również jakimś uniwersalnym magazynem, zaopatrzonym w najrozmaitsze towary, można by przypuścić, że pomiędzy faktorią a gospodą istniała wroga rywalizacja. Tak przynajmniej sądziłem początkowo. Okazało się jednak, że obie placówki ściśle ze sobą współpracowały.

Wyroby przemysłowe wędrowały z faktorii do gospody. Futra odbywały drogę w odwrotnym kierunku. W gospodzie za futra płacono mniej niż w faktorii, a „woda ognista" była w gospodzie droższa niż w placówce Hudson's Bay Company. Mimo że oba budynki dzieliła przestrzeń nie większa niż dwieście jardów, co najmniej połowa przybyszów, jak mnie informowano, zaopatrywała się w towary w gospodzie i w niej właśnie wymieniała futra na pieniądze.

Nigdy nie mogłem pojąć intencji ludzi, którzy w ten sposób zmniejszali przecież dobrowolnie swe zarobki i powiększali wydatki. Karol twierdził, iż przyczyna tego dziwnego postępowania tkwi po prostu w przyzwyczajeniu. Przyjemniej handluje się przed ladą szynkwasu niż przed stołem agenta kompanii.

Do Osady Dziesiątej Mili doprowadziła nas poszukiwana mapa po odrzuceniu różnych koncepcji — między innymi podróży do St. Louis, Montrealu czy nawet Milwaukee. Tak dalekie wypady zajęłyby zbyt wiele czasu. Karol uważał, że przed nadejściem zimy rzekome złoto powinno być przez nas odnalezione. Na ten temat toczyliśmy długie rozmowy w Oden-na-ka-inne-he-kaj — Ukrytym Mieście Czarnych Stóp. Podczas którejś z nich z ust Czerwonej Chmury padła nieznana mi dotąd nazwa: Osada Dziesiątej Mili.

Karol Gordon klasnął dłonią po kolanie.

— Oczywiście! Że też wcześniej mi to do głowy nie przyszło! Dziesiąta Mila! Tam, tylko tam! Oni muszą mieć mapy. Znam Stevensona. Morowy chłop! Na pewno nam pomoże.

Wyruszyliśmy w drogę w początkach czerwca. Przebyliśmy ją bez żadnych przeszkód i niespodzianek. Pewnego ranka uwiązaliśmy nasze wierzchowce u słupków werandy „Białych Koni".

W słońcu ciepłego przedpołudnia osada wyglądała jak wymarła. W wielkiej sali gospody było mroczno i chłodno. Długie, zbite z krzyżaków stoły ustawiono wzdłuż dwóch ścian. Wzdłuż trzeciej ciągnął się obity błyszczącą mosiężną blachą szynkwas. Za nim — półki zastawione najrozmaitszego kształtu i barwy butelkami. Przed półkami człowiek w białym kitlu nie pierwszej świeżości. Oparty o szynkwas, pełen zadumy, dłubał — jak zdążyłem spostrzec — drewienkiem w zębach. Był tak zajęty tą czynnością, że chyba nie zauważył, jak weszliśmy. Staliśmy chwilę przed szynkwasem, zanim nas wreszcie dojrzał.

Bez słowa postawił dwie szklanki i zdjął butelkę z półki.

Karol przecząco potrząsnął głową.

— Dwa piwa.

Człowiek w kitlu automatycznym ruchem odsunął szklanki. Butelka powędrowała z powrotem na półkę. Szczęknęła rączka i z beczki począł toczyć się do podstawionego kufla złocisty, pieniący się strumień. Kufle zadzwoniły na ladzie.

Przez cały ten czas barman nie odezwał się ani słowem. Wycierał szynkwas, strzepywał kurz z półek, brzękał szklankami.

Karol przyglądał mu się spod oka, wreszcie odstawił próżny kufel.

— Czy pan Stevenson jest u siebie?

Barman spojrzał na nas oczyma bez wyrazu.

— Harry Stevenson — powtórzył Karol. — Chyba go pan zna?

— A kto by go nie znał? Macie interes, co? Pierwszy raz? Nie był pan u nas dawniej? Coś mi się zdaje, że już pana widziałem.

— A jakże, byłem... No i co ze Stevensonem? Jest czy wyjechał?

— Nie macie szczęścia. Może jeszcze po kuflu? Gorąco się robi.

— Nie, nie — wtrąciłem. — Więc Stevensona nie ma?

— A nie ma. Wyjechał do Winnipeg. Będzie temu z tydzień. Teraz martwy sezon. Ani handlu, ani pieniędzy — roześmiał się jak z dobrego dowcipu. — No co? Może jeszcze po kufelku?

Karol zniecierpliwiony machnął ręką.

— Daj pan. Więc Stevenson wyjechał. A kiedy wróci?

— Kto go tam wie! Przed zimą na pewno się zjawi. — Znowu roześmiał się nie wiadomo czemu. — Może czegoś potrzebujecie? Mam broń, kule, proch, ubrania... Zresztą sam pan wie, jak pan tu już raz był. „Białe Konie" mają wszystko, czego dusza zapragnie. Nie trzeba jeździć do miasta. Chcecie zobaczyć?

Przerwaliśmy gwałtownie tę lawinę słów, stwierdzając, że nic nam do szczęścia nie brakuje prócz Stevensona. — To faktoria zamknięta? — spytał jeszcze Karol.

— Gdzieżby! Zawsze ktoś jest. Stevenson dostał pomocnika. Czasem tu przychodzi. Ale jak chcecie coś załatwić, to może ja...

— Och, nie. Chciałem się zobaczyć ze Stevensonem. — Karol cisnął na blat szynkwasu monetę. — Chodźmy — powiedział do mnie. — Będzie można przenocować? — zwrócił się znowu do gospodarza.

— Możecie wybierać. Wszystkie pokoje wolne...

Wyszliśmy.

— Kiepska sprawa, Janie. Stevensona znam i wiem, że nie odmówiłby pomocy. A z tym jego zastępcą różnie może być. Hudson'a Bay Company rozporządza świetnymi mapami, ale bardzo zazdrośnie ich strzeże. Tak czy owak, trzeba spróbować. Chodźmy.

Faktoria Hundson's Bay Company na pierwszy rzut oka robiła wrażenie fortecy. Cały teren ogrodzono wysoką palisadą. Potężna brama była na głucho zawarta. Zamknięto również boczną wąską furtkę, ze strzelnicą zakrytą od wewnątrz grubą deską.

Karol pociągnął za metalową rączkę. Gdzieś w głębi rozległ się metaliczny dźwięk dzwonka. Czekaliśmy chwilę. Wreszcie odsłoniło się małe okienko i ukazała się czyjaś głowa. Dwoje oczu przyglądało nam się bacznie.

— Czy zastaliśmy pana Stevensona?

— Pan Stevenson wyjechał.

— A kto go zastępuje?

— Starszy księgowy, Selvyn Laughton.

— Jestem Karol Gordon, a to mój przyjaciel. Znam Stevensona. Przejechałem sto mil, żeby się z nim zobaczyć w bardzo ważnej sprawie. Proszę powiedzieć panu Laughtonowi, że muszę z nim porozmawiać.

Klap! — deska opadła na okienko, ale furtka nadal pozostała zamknięta.

— A cóż to za dziwne zwyczaje? — zauważyłem.

— Rzeczywiście dziwne — przyznał Karol. — Kiedy bawiłem tu poprzednio, każdy, kto chciał, mógł wejść. Widać, że ten księgowy nie grzeszy nadmiarem odwagi. A może dostał takie polecenie?

Staliśmy w milczeniu jeszcze kilka minut, nim zaszczękał klucz w zamku i furtka ze zgrzytem otworzyła się szeroko.

— Pan Laughton czeka. Proszę za mną. Tędy, tędy...

Teraz dopiero mogłem przyjrzeć się naszemu przewodnikowi. Ubrany był tak, jak wszyscy tutaj: spodnie obszyte skórzanymi frędzlami, kolorowa koszula. Ale na nogach, zamiast butów z ostrogami, miał mokasyny. Wystające kości policzkowe, ciemniejsza barwa skóry dopowiadały resztę. To był Indianin. Zapewne wierny i wypróbowany. Hudson's Bay Company przyjmowała pracowników bardzo ostrożnie i tylko po długim okresie próbnym.

Na rozległym placu wznosił się prostokątny budynek, zbity z potężnych sczerniałych bali drzewa. W oknach błyszczały szyby, ale okiennice, zamykane od wewnątrz żelaznymi sztabami, nasuwały myśl o blokhauzach pierwszych osadników na tej ziemi. Takie same wrażenie robiły drzwi, wąskie i od wewnątrz obite blachą.

— Tędy, panowie, tędy...

Jak na Indianina, nasz przewodnik posługiwał się znakomitą angielszczyzną.

Przez mroczną sień i drugie drzwi — nie mniej masywne od poprzednich — weszliśmy do sporej salki, przedzielonej na dwie części niską drewnianą barierą. Przed nią — trzy długie ławy ustawione po bokach i przed okazałym kamiennym kominkiem. Za barierką — dwa stoły, kilka krzeseł, szafa.

Zza stołu podniósł się na nasz widok rosły mężczyzna w kraciastej koszuli i kraciastych spodniach. U szerokiego pasa w skórzanym futerale zwisał mu potężnego kalibru kolt, ulubiona broń cowboyów na preriach zachodnich stanów. Niezbyt przydatny na duże odległości, ale niezawodny w półmrocznych salkach różnych saloonów, barów, zajazdów i w hotelikach o podejrzanej reputacji.

— Witajcie, panowie!

Otworzył drzwiczki barierki i zapraszającym gestem wskazał nam krzesła. Siedliśmy.

— Stevenson wspominał o panu — zwrócił się do Karola. — Nie przypuszczałem, że pan właśnie teraz do nas zawita. Proszę mi wybaczyć te wszystkie środki ostrożności, które musiałem przedsięwziąć. Z konieczności, z przykrej konieczności...

— Co się stało? Preria teraz spokojna...

— Nie tak bardzo, nie tak bardzo, ale... to panów zapewne nie interesuje.

— Jak to?! — wykrzyknąłem zaskoczony tym stwierdzeniem, ale Karol natychmiast mi przerwał:

— Są to sprawy dotyczące kompanii, więc istotnie nie powinny nas interesować, lecz co się tyczy prerii, jestem innego zdania. Przyjechaliśmy tu z obozowisk Czarnych Stóp. Bez przeszkód, tak gładko, jak centralną ulicą Montrealu. Ale nie o to chodzi. Wiem, że kompania posiada bardzo dokładne mapy tych terenów, czy mógłbym je obejrzeć?

Obserwowałem cały czas Laughtona. Był wylewnie gadatliwy i widać było wyraźnie, iż stara się zatrzeć przykre wrażenie, jakie musiały na nas uczynić nie spotykane dotąd w faktorii środki ostrożności. Po pytaniu Karola odczułem, iż zrobił się jakiś sztywny i zimny. Znikła nagle gadatliwość.

— Dziwne — powiedział — że tyle osób zaczyna się interesować mapami kompanii. O jaki obszar ściśle panu chodzi?

— O część terenów Czarnych Stóp przylegającą do Gór Skalistych.

— Właśnie! Pan jest drugą, a raczej trzecią osobą pytającą o to samo. Doprawdy żałuję, że nie ma Stevensona. On jest lepiej ode mnie zorientowany...

Coś mnie tknęło.

— Przepraszam, o jakich to osobach wspomniał pan
przed chwilą?

Spojrzał na mnie przenikliwie.

— Nie wątpię ani przez sekundę, że panowie jesteście tymi, za których się podajecie.

— Jeżeli o mnie chodzi, jestem doktorem medycyny z Milwaukee. Lindsey, naczelny chirurg miejscowego szpitala, mógłby to potwierdzić.

— Nie wątpię, nie wątpię — mruknął — ale do Milwaukee szmat drogi.

— Więc pan uważa...

— Dajmy temu spokój — wtrącił pojednawczo Karol. — Panie Laughton, opowiada pan same zagadki. Czyżby tu pana ktoś, hm... powiedzmy, oszukał? Przepraszam za pytanie, ale sprawa jest poważniejsza, niż to panu może się wydawać. A poza tym interesuje mnie osobiście.

— Sprawa jest na pewno poważna, jak pan sam przed chwilą zauważył, chociaż nie wiem, na jakiej właściwie... — Tu przerwał i popatrzył na nas badawczo. — Faktem jest, że nie mogę panom udostępnić żądanych map bez zgody mego szefa.

— Stevensona?

— Tak.

— Kiedy wraca?

— Najwcześniej za dwa lub trzy tygodnie.

— A gdzie obecnie przebywa?

— W Winnipeg.

— To źle, do licha! Czy jednak nie mógłby pan powiedzieć nam trochę wyraźniej, o co tutaj chodzi?

— Więc dobrze. Przed kilku dniami zgłosiło się do mnie dwóch obcych ludzi. Pragnęli zaznajomić się z mapami części terenów Gór Skalistych. Byłem nieostrożny...

Karol aż uniósł się na krześle. — i dał im pan te mapy?

— Dałem.

— I ukradli?

— Nie, nie. Tak źle nie było. Ukradli za to dwa moje konie. Później się okazało, że swoje dwie chabety zostawili „Pod Białymi Końmi". Teraz już chyba, panowie, rozumiecie, że muszę zachowywać specjalną ostrożność. Nie wiem, po co tym koniokradom potrzebne były mapy, ale nie mogę sobie darować, że byłem taki uprzejmy. Ładnie się odwdzięczyli!

— Rozumiem pana rozgoryczenie — powiedział Karol. — Czy mógłby nam pan opisać, chociażby powierzchownie, tych dwóch osobników? Jak wyglądali?

Laughton zastanawiał się chwilę.

— Mógłbym, ale na co to się przyda?

— Podejrzewam, że z jednym z nich, jeśli nie z dwoma, już się zetknęliśmy. I to w dość smutnych okolicznościach.

— Smutnych? Jak pan to rozumie?

— Szczerość za szczerość. Ma pan swoje tajemnice, my mamy swoje.

— To nie moje tajemnice —- zaprzeczył energicznie. — Proszę mnie dobrze zrozumieć. Jestem tutaj przedstawicielem kompanii. To zobowiązuje.

— Zgoda. Proszę tylko podać ich rysopis.

— Jak już mówiłem, było ich dwóch. Dwa konie. Jeden nie podkuty. Kto wie, czy nie skradziony czerwonoskórym. Nie miał siodła, tylko derkę. Pierwszy z typów był wysoki i chudy jak tyka. Blondyn, prawie biały. Cóż jeszcze? Aha, szrama na lewym policzku...

Drgnąłem. Był to rysopis identyczny z tym, który podał nam sierżant Mitchell podczas spotkania na prerii. Tak, to musiał być człowiek, którego ujrzeliśmy na chwilę przy ognisku w Oden-na-ka-inne-he-kaj.

— A ten drugi? — zapytałem niecierpliwie.

— Niski, krępy brunet. Wyglądał na Metysa. Obaj byli ubrani dość nędznie. To chyba wszystko.

— Dziękujemy — powiedział Karol. — Czy był tu ostatnio ktoś z Królewskiej Konnej?

— Nie.

— A szkoda. Wypuścił pan z rąk potrójnego mordercę i jeszcze ułatwił mu pan orientację w terenie. No, ale oczywiście to nie pana wina...

Laughton pobladł mimo opalenizny, a potem poczerwieniał.

— Ale dowód! Jakie pan ma dowody? Koniokrad nie musi być mordercą.

— Dowody posiada Królewska Konna. Gdyby jednak w ciągu najbliższych kilku dni nie pojawił się tutaj jej przedstawiciel, nie omieszkam przed odjazdem zaznajomić pana ze szczegółami tej sprawy. Po prostu dlatego, aby na przyszłość stosował pan środki ostrożności w odpowiednim czasie i wobec odpowiednich ludzi. A teraz pożegnamy pana. Chodźmy, Janie.

Aluzja była przejrzysta i Laughton z pewnością pojął jej właściwy sens; nic jednak nie odpowiedział, tylko podniósł się zza stołu i skinął głową.

— A gdyby pan nas potrzebował — dodał Karol otwierając drzwiczki barierki — zatrzymaliśmy się „Pod Białymi Końmi".

Przeszliśmy w milczeniu przez pokój i korytarz. Laughton odprowadził nas aż do drzwi, nie wiem, przez grzeczność czy przez ostrożność. Nie ulegało wątpliwości, że brał nas za kogoś zupełnie innego. Kto wie, może nawet za wspólników koniokradów?

Dozorca przekręcił klucz w zamku. Przeraźliwie zgrzytnęła furtka. Wyszliśmy na główną i jedyną ulicę Osady Dziesiątej Mili.

— Ot i kłopot — powiedział Karol. — Ale nie martw się, Janie. Jakoś z niego wybrniemy.

Spotkanie

— Po co im mapa, Karolu, jeśli nie mają kopii planu?

— Niestety, moje przypuszczenia okazują się słuszne: musiały być zrobione dwa plany. My mamy jeden, oni drugi.

— I teraz jeszcze znają mapę...

— Właśnie. Paskudna historia. Za jednym zamachem straciliśmy przewagę.

— Której nigdy nie mieliśmy.

— Nie spieraj się. Najważniejsze: jak postępować dalej?

— Czy damy radę bez mapy?

— Nie. Na pewno nie. Jeżeli jakimś cudem nie uzyskamy zezwolenia na obejrzenie map w faktorii, musimy ich szukać gdzie indziej. A to wymaga czasu.

— Który wykorzystają tamci — dokończyłem.

— Zapewne, zapewne, ale nie wpadaj w panikę. Nie zapominaj, że i Królewska Konna poszukuje mordercy. Jego rysopis zostanie albo już został rozesłany do wszystkich posterunków, osiedli i faktorii. To utrudnia mordercy poruszanie się po kraju...

Parsknąłem śmiechem.

— Właśnie, właśnie! Jak bardzo utrudnia, mieliśmy dzisiaj okazję się przekonać. Dużo jeszcze wody upłynie w kanadyjskich rzekach, zanim spełnią się twoje przewidywania.

— Przypuśćmy, że masz rację. Ale ci dwaj muszą przede wszystkim zdobyć pieniądze na zakup narzędzi i wyekwipowanie wyprawy.

— Skąd wiesz, że nie mają pieniędzy?

— Domyślam się. Kilofy i sita do płukania złotego piasku nabędziesz w każdej faktorii. Jeśli nie ma sit, wystarczy zwykła blaszana miska lub patelnia. Dlaczego tego sprzętu nie nabyli już tutaj?

— Przez ostrożność.

— Żartujesz. Nawet gdyby się tutaj ktoś domyślił, w jakim celu nabywają sprzęt, to co mu z tego przyjdzie? Nie, nie! Rabusie po prostu nie mieli za co kupić, a kraść nie było okazji. Za to nadarzyła się okazja z końmi. Przypuszczam, że są to nie byle jakie konie, skoro Laughton jest taki wściekły. Za dobre konie można osiągnąć wcale niezłą sumkę. Na pewno je sprzedadzą, jeśli w jakiś inny sposób nie zdobędą trochę dolarów. Trzeba też pamiętać, że wracając do miejsca zaznaczonego na mapce, będą musieli przejeżdżać przez tereny Czarnych Stóp. Tak ja to sobie kalkuluję.

— Może być i tak. Jednej sprawy nie potrafię zrozumieć. Jeśli morderca towarzyszył geologom, musiał wraz z nimi uczestniczyć w odkryciu. Po co mu więc mapa?

— Zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że bandyta przyłączył się do geologów wówczas, gdy już wracali. Zapewne mieli sporządzone plany i niepotrzebnie się wygadali o swym odkryciu!

Taką rozmowę prowadziliśmy półgłosem w pustej sali saloonu „Pod Białymi Końmi", męcząc się nad dwoma kawałami żylastej pieczeni. Barman i właściciel w jednej osobie krzątał się za bufetem udając, że jest bardzo zajęty. Głowę dam, że starał się usłyszeć, o czym mówimy, ale rozmawialiśmy zbyt cicho, aby mógł cokolwiek zrozumieć.

Znużeni przebytą drogą, uporawszy się wreszcie z pieczenią, poszliśmy spać. W małym pokoiku z dwoma łóżkami pościel była czysta, ale materace twarde jak głazy. Zmęczenie przezwyciężyło jednak niewygody.

Kiedy zbudziłem się nazajutrz, świt dawno już zaróżowił niebo. Przez okno, z wysokości pierwszego piętra, widać było dachy sąsiednich budynków, a za nimi morze falującej zieleni,

prerię sięgającą linii horyzontu, gdzieniegdzie porosłą kępami niskich drzew lub krzewów. Słyszałem czyjeś kroki dobiegające z głębi domu, poza tym nic nie mąciło ciszy. Spojrzałem na łóżko Karola — było puste. Po chwili ukazał się w drzwiach we własnej osobie.

— Na śniadanie będzie jajecznica — oznajmił lakonicznie. — Konie w stajni. Całe i zdrowe, a najważniejsze, że w ogóle są.

— Któż by je miał ukraść?

— W tej przeklętej dziurze wszystko jest możliwe. Chodźmy.

Pod wielką studnią na tyłach budynku umyliśmy się zlewając twarze, ręce i plecy wiadrami wody. Poczułem się znakomicie.

We wnętrzu gospody panował przyjemny chłód. Właściciel mruknął: „Dzień dobry panom, piękny dziś ranek" — po czym zniknął za drzwiami, aby po chwili pojawić się na nowo z dwiema miskami dymiącej jajecznicy. Jakże mi smakowała!

Gdy wypiliśmy po kuflu pienistego piwa, zapytałem Karola, co ma zamiar dalej robić. Jechać do Montrealu, wracać do Czarnych Stóp czy siedzieć tutaj czekając nie wiadomo na co?

— Po pierwsze nie odjedziemy stąd bez przeprowadzenia jeszcze jednej rozmowy z Laughtonem — oświadczył. — Może da się przekonać. Jeżeli nie, to wracamy do Czarnych Stóp. Razem z Czerwoną Chmurą zdecydujemy, dokąd udać się w sprawie map.

Uznałem cały ten projekt za bardzo kiepski. Zostawiał on bowiem sporo czasu dla niczym nie skrępowanej akcji ludzi, których tropiliśmy. Niestety, nic lepszego nie przychodziło mi do głowy. Popsuło mi to humor aż do chwili, w której uprzytomniłem sobie, że wszystkie te sprawy jeszcze przed dwoma miesiącami wcale dla mnie nie istniały. Przecież każdego dnia mogę pożegnać się z Karolem i wrócić do Milwaukee. Powiedziałem mu o tym. Przyjął moje oświadczenie jak najgorzej.

— Oczywiście, możesz wrócić w każdej chwili. Sądziłem, że ta sprawa interesuje cię nieco bardziej. Pomyliłem się. Nie ma o czym mówić.

Zmarkotniałem na nowo. Na koniec przyrzekłem, iż nie opuszczę prerii dopóty, dopóki sprawa domniemanego odkrycia złota nie zostanie ostatecznie wyjaśniona. To go udobruchało. Powiedział, że następnego dnia po raz drugi udamy się do faktorii. Jeśli Laughton nadal będzie trwał w uporze, natychmiast opuszczamy Osadę Dziesiątej Mili.

Zgodziłem się skwapliwie na tę decyzję. Trzy dni pobytu w osadzie to aż aa wiele. Można tu umrzeć z nudów lub rozpić się w gospodzie. W ciągu dwóch dni na ulicy spotkałem trzech mężczyzn i dwie kobiety. Jeden z nich był miejscowym cieślą, drugi rusznikarzem, trzeci kołodziejem. Właściciel saloonu poinformował mnie, że w osadzie mieszka dwadzieścia osób, ale:

— Niech pan tu przyjedzie wczesną wiosną, kiedy zaczynają topnieć pierwsze śniegi, albo zimą. Wtedy jest ruch! Zima i wczesna wiosna pokrywają z nadmiarem niedobory całorocznych obrotów handlowych. Gdyby nie to, już dawno zlikwidowano by faktorię, a w ślad za nią poszłoby osiedle. Tak, panie. Jak z wiosną zaczną tu zwozić skóry, w mojej gospodzie nie znajdziesz jednego wolnego miejsca. Tu ściągają cale obozy czerwonoskórych. Specjalne patrole czerwonych kurtek pilnują porządku, ale i tak zdarzają się wypadki. Pan rozumie... z czupryn się kurzy. A znowu odmawiać tej bandzie alkoholu? Budę by mi roznieśli albo podpalili. Tylko czerwonoskórym — nic z tych rzeczy. Najwyżej słabe piwo.

Już chciałem przyklasnąć cennej inicjatywie tego wyjątkowego chyba właściciela zajazdu, gdy następne słowa ujawniły prawdziwego autora zakazu:

— Pan się pewnie dziwi. To Stevenson tak zarządził.

Poczułem sympatię dla kierownika faktorii. Jakże się różnił od olbrzymiej większości pracowników kompanii, rozpijających tubylców, wymieniających bezpośrednio na wódkę futra przynoszone przez Indian na sprzedaż!

W straszliwej nudzie upłynął drugi dzień naszego pobytu w Osadzie Dziesiątej Mili. Karol chodził zamyślony, posępny jak zimowa noc. Podejrzewałem, iż miał nadzieję, że Laughton zmięknie i przyśle po nas gońca z zaproszeniem. Nadzieja okazała się płonna.

Wieczorem w ponurym nastroju siedzieliśmy znowu nad żylastą pieczenia i kuflami piwa. W pewnej chwili usłyszałem odgłos przypominający uderzenia końskich kopyt na nie wybrukowanej polnej drodze. Odgłos ucichł, ale wkrótce powtórzył się, zupełnie już zmieniony. Teraz było to ciężkie stąpanie obutych nóg po deskach werandy. Karol zerknął w kierunku szeroko otwartych drzwi. W różowym blasku zachodzącego słońca ukazał się najpierw cień w szerokoskrzydłym kapeluszu, a dopiero potem człowiek w mundurze.

Zaskoczenie było obustronne. Brzęcząc ostrogami, wkroczył do izby sierżant Gary Mitchell.

Zatrzymał się i patrzył na nas przez chwilę.

— No chodźże, chodź! — Karol potrząsnął w powietrzu kuflem od piwa.

Sierżant odmruknął coś niezrozumiale, uścisnął nasze dłonie i zdjął kapelusz.

— Uff, wciąż gorąco. Piwo dla wszystkich! — zwrócił się do barmana, który na widok nowego gościa natychmiast podszedł do stołu. — Zimne i nie za dużo piany. Nie lubię! — A kiedy barman oddalił się: — Prędzej bym się spodziewał spotkać stado bizonów. Co was tu sprowadziło?

— Chęć ujrzenia pewnego sierżanta z Królewskiej Konnej.

— Nie opowiadaj bajek, ale naprawdę...

— Naprawdę to mam przy sobie coś bardzo ciekawego.

Pełne kufle przywędrowały na stół i Mitchell pogrążył
się w kontemplacji nad ich zawartością. Kiedy upił połowę, odsapnął.

— No, więc co takiego?

— Ano to, przejrzyj.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki Karol wydobył plik złożonych papierów i podał sierżantowi. Mitchell przejrzał je pobieżnie, a potem zaczął uważnie i wolno czytać. Karol mrugnął do mnie.

— Chodź obejrzeć konie. Nie będziemy przeszkadzać
sierżantowi.

Mitchell podniósł głowę.

— Dokąd?

— Zaraz wrócimy. Podejrzewam, że moja szkapa naderwała sobie ścięgno.

Zaledwie znaleźliśmy się na werandzie, Karol pociągnął mnie za rękaw.

— Chodź szybciej.

— Kiedyś to zauważył?

— Co?

— No, ścięgno.

Roześmiał się półgłosem.

— Jakie tam ścięgno! To tylko pretekst. Ale do stajni musimy iść. Tylko szybko, bo Mitchell zaraz będzie nas szukał.

Przy żłobach, w półmroku stajni Karol wziął mnie pod ramię.

— Słuchaj pilnie, Janie, to bardzo ważne. Mitchell nie powinien dowiedzieć się o naszym odkryciu. Nie dlatego, żebym coś miał przeciwko niemu, to dobry chłop, z kościami. Tylko że głowę ma nabitą różnymi przepisami. Gdyby się dowiedział o złotym piasku, zaraz by się zastanawiał, czy z punktu widzenia prawa wszystko jest w porządku...

— No, chyba jest?

— I tak, i nie. Mitchell najprawdopodobniej zawiadomiłby kanadyjski urząd do spraw kopalnictwa. Wiadomo, co by z tego wynikło. Najazd rozmaitych włóczykijów na tereny Czarnych Stóp, a może i Assiniboinów, w zależności od miejsca, gdzie znajduje się złoto. Znam ten typ ludzi i wiem, czego można po nich się spodziewać. Więc, Janie, cokolwiek będę mówił, nie zaprzeczaj. Zgoda? No, czemu milczysz?

— Ale mi zabiłeś klina w głowę! Do licha z tym całym odkryciem! Komu jest potrzebny złoty piasek?

— Brawo, Janie! Twoje pytanie jest nieco naiwne, bo każdemu z nas przydałoby się trochę tego piaseczku, ale cieszę się, że nie przywiązujesz do niego zbyt wielkiej wagi. Odpowiem krótko: złoto potrzebne jest przede wszystkim Czarnym Stopom. No więc?

— Zgoda, będę milczał jak grób.

Wróciliśmy w samą porę. Mitchell właśnie skończył wertować papiery i zapatrzył się w sufit, jakby tam mógł znaleźć odpowiedź na dręczące go pytania.

— No i co z koniem? — spytał.

— Nieźle. Ścięgno w porządku.

— Cieszy mnie to. Chcę wam coś zaproponować, ale przede wszystkim gdzie znalazłeś te papiery?

Karol opowiedział pokrótce historię schwytania i ucieczki mordercy, dzieje naszego pościgu, walki zakończonej śmiercią jednego i zniknięciem dwóch pozostałych włóczęgo. O znalezionej mapce nie wspomniał ani słowem.

— W porządku — skwitował jego relację Mitchell. — Papiery prześlę do centrali. Niech sobie załatwiają ze St. Louis. Ale kim, u licha, byli tamci dwaj? Skąd się tu Wzięli?

Karol wzruszył ramionami.

— Mówisz tak, jak gdybyś dopiero wczoraj przywędrował w te strony. Mało to różnych typków włóczy się po prerii?

— To prawda. Ale jakie jest rzeczywiste nazwisko mordercy?

— Ma ich zapewne kilka. Jeżeli cię interesuje, jakie przybrał ostatnio, zapytaj Laughtona, może mu się przedstawił.

— Co? Jak to?

— Byli tutaj przed kilku dniami.

— Niemożliwe!

— Możliwe. Sprawdź w faktorii.

— Sprawdzę na pewno, ale proszę was, opowiedzcie, jak było.

— Dobrze, ale pod pewnym warunkiem.

Mitchell poruszył się niespokojnie.

— Byle jego spełnienie nie przekraczało moich uprawnień.

— O, bynajmniej. Musisz nam wystawić świadectwo tożsamości.

— Nie rozumiem.

— Zaświadczysz, że jesteśmy tymi, za których się podajemy.

— Ale po co?

— Laughton nam nie dowierza. Bierze nas za kogoś innego, może nawet za wspólników złodziei.

— Dobrze, zaświadczę. Ale dlaczego cię obchodzi, co Laughton o tobie myśli?

— Nie to mnie obchodzi, ale mapy kompanii. Chciałbym je przejrzeć, a Laughton nie chce pokazać. Tak go zdenerwowała kradzież koni. Nawet mu się nie dziwię.

— Człowieku! O czym ty mówisz? Jakie konie?

— Przepraszam. Opowiem dokładnie. Jeżeli coś opuszczę, przypomnij mi, Janie.

— Chwileczkę — przerwałem. — Jeszcze tylko pytanie: byliście, sierżancie, nad Jeziorem Jelenia?

— Byłem.

— No i co?

Westchnął ciężko.

— Paskudna robota i bez rezultatu. Nic nowego nie dowiedziałem się o zabitych. Bandyta dobrze się o to postarał. Ani papierów, ani dokumentów. Nic, dosłownie nic. Jak to dobrze, że was spotkałem!

Skinąłem głową.

— Teraz opowiadaj, Karolu...

Na północ!

Wkrótce znalazłem się powtórnie w budynku faktorii. Tym razem już nie w niezbyt miłej salce na parterze, ale na piętrze. Z pokoju, którego ściany zdobiły futra skalnych niedźwiedzi, a podłogę zaścielały wilcze skóry, widać było falujące trawy rozległej prerii. Siedzieliśmy we czwórkę w głębokich fotelach. Laughton wrócił do swej pierwszej roli. Był gadatliwy, wylewny i uprzedzająco grzeczny. Tej przemiany dokonało samo pojawienie się sierżanta Gary Mitchella z Królewskiej Konnej. Sierżant był również zadowolony. Informacje udzielone mu przez Karola posuwały sprawę mocno naprzód. Relacja Laughtona była cennym dopełnieniem jego wiedzy o poszukiwanym mordercy. Sądzę, że w głowie sierżanta snuły się marzenia o rychłym schwytaniu przestępcy, o pochwałach, kto wie, może o awansie do oficerskiego stopnia. Myślałem o tym, słuchając jego pytań. Były rzeczowe i — co tu dużo mówić — inteligentne. Jak się zresztą później przekonałem, Mitchell był, ogólnie biorąc, zdecydowanie dodatnim typem człowieka. Na pewno mógł uchodzić za wzór podoficera tej jedynej na świecie służby policyjnej, w której działalności elementy współczesnej kryminologii ciągle jeszcze łączą się z pierwiastkami romantyzmu dawnych „courreurs du bois", cowboyów zachodnich prerii i amerykańskich westmenów.

— A więc — zaczął splatając palce u rąk — jakie to konie panu skradziono?

— Ach — westchnął Laughton — nigdy sobie tego nie daruję. To były dwa mustangi. Może już ostatnie w tym kraju! Wspaniałe rumaki o niecodziennej maści. Jeden prawie czarny, drugi biały.

— To świetnie! — sierżant aż klasnął w dłonie.

Laughton spojrzał nań ponurym wzrokiem.

— Nie wiem, co pan dostrzega w tym świetnego? Kompania poniosła stratę i pewnie będę musiał ją pokryć z własnej kieszeni.

— Och, nie o to chodzi, nie o to chodzi... Widzi pan, białe konie należą do rzadkości. Na ogół nie łapie się białych mustangów — kto, u licha, tego łapał? — zbytnio się odznaczają, zwracają uwagę. Ci dwaj naprawdę musieli się bardzo spieszyć, jeśli zdecydowali się na kradzież białego konia.

— Nie mieli wyboru — mruknął Laughton. — Tylko te dwa stały na podwórzu. Łajdaki! Brama była otwarta...

— Bez siodeł? — wtrąciłem pytanie.

— Konie były osiodłane, sam je siodłałem — powiedział z nutą żalu w głosie.

Sierżant parsknął śmiechem.

— Innymi słowy, sam pan dopomógł złodziejom. Ale znajdziemy te konie.

— Jeśli ich przedtem nie sprzedadzą.

— Nie tak łatwo sprzedać białego konia w tych stronach. No, a teraz niech pan pokaże panu Gordonowi mapy, na których tak mu zależy, ja tymczasem obejrzę te — jak pan powiada — chabety, które zostawili.

Tym razem kierownik faktorii nawet okiem nie mrugnął.

— Ależ oczywiście, oczywiście. Wszystkie mapy, jakie tylko posiadamy. Są doskonałe, nikt takich nie ma prócz naszej kompanii. Proszę bardzo, proszę bardzo, pan pozwoli ze mną.

Podszedłem za sierżantem na podwórze. Tak jak przewidywaliśmy, jednym z pozostawionych koni był indiański mustang z bardzo prymitywną uprzężą i derką zamiast siodła. Drugi — podkuty gniadosz.

— Gdyby tak konie umiały mówić! — westchnął sierżant. — Są doszczętnie zmarnowane. Ciekaw jestem, skąd i dokąd tak je gnali?

Wyszliśmy ze stajni.

— Mam kłopot — zwierzył mi się Mitchell. — Wszystkich moich ludzi rozesłałem po osadach i faktoriach, tymczasem tutaj byliby najbardziej potrzebni. Wracać nie mogę, bo tamci zwieją na amen. A ścigać w pojedynkę to nie zawsze daje dobre wyniki.

Czułem, do czego zmierza ta przemowa, ale udałem, że nie rozumiem.

— Taki Gordon... to szczęściarz! — dorzucił sierżant.— Powinien wstąpić do nas na służbę. Zrobiłby karierę.

— Ani mu to w głowie.

— Wiem, wiem. Proponowano mu już ze trzy razy. Za każdym odmawiał. Ale myślę, że teraz może by się dał namówić na małą wycieczkę. Co pan o tym sądzi?

Pokręciłem głową. Pomysł Mitchella raczej krzyżował nasze plany. Po zapoznaniu się z mapą należało wracać do Czarnych Stóp i natychmiast rozpocząć poszukiwania.

— Co pan o tym sądzi? — powtórzył sierżant.

— Nasze plany — zacząłem ostrożnie — są nieco inne. Karol chciał mi pokazać prerię.

— Pan po raz pierwszy w tych stronach?

— A tak.

— No to jak pan poznał Wielkiego Bobra?

— W szpitalu.

— Pan chorował?

— Wprost przeciwnie. Leczyłem.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, myśląc, że żartuję.

— Jestem lekarzem.

— Ho, ho! I cóż pana przygnało w te strony?

— Sierżancie — powiedziałem trochę ubawiony, a trochę zirytowany tą serią pytań — gdyby pan się nawet przebrał w inny strój, i tak każdy by pana poznał.

Wydawał się być zaskoczony tym stwierdzeniem.

— Dlaczego?

— Dlatego, że zadaje pan zbyt wiele pytań.

Mitchell zaczerwienił się.

— Przepraszam. Pytałem ot tak sobie. Nie z zawodowej ciekawości. Ale wracając do sprawy: wędrować prerią tu czy tam — to na jedno wychodzi, a moglibyście mi bardzo pomóc.

Pomyślałem, że w tym oświadczeniu jest tylko połowa prawdy. Pomóc mógł Karol, na mnie sierżant z pewnością nie liczył.

— Oczywiście, oczywiście — wybąkałem. — Niech pan o tym pomówi z Gordonem.

Skinął głową i odszedł. Już po chwili rozmawiał z Indianinem. Pewnie raz jeszcze wypytywał o szczegóły przybycia włóczęgów. Potem obaj zniknęli w stajni i wreszcie, przechadzając się po podwórzu, długo nad czymś dyskutowali. Cóż teraz miałem robić? Zaniepokojony propozycją Mitchella, postanowiłem czym prędzej dać znać Karolowi.

Spotkałem go na schodach. Klepnął mnie po ramieniu i zniżając głos powiedział:

— Wszystko w porządku, Janie. Możemy wracać.

— Ba — westchnąłem. — To nie takie łatwe.

— Co masz na myśli?

Powtórzyłem mu rozmowę z sierżantem.

— Do licha! Rzeczywiście... Jeśli będzie bardzo nalegał, trzeba z nim jechać. Nie ma rady. I powiem ci, że jakoś nie wypada odmawiać pomocy. Mitchell to dobry chłop. I niegłupi. Ostatecznie mamy przecież wspólny interes. Nam również zależy na unieszkodliwieniu tego łotra.

— Żeby tylko z tego nie wynikły nie przewidziane komplikacje... — zacząłem, ale właśnie w jasnym prostokącie drzwi ukazała się czerwona kurtka.

— Halo! Jesteście tu? Zebrałem już wszystkie informacje, jakie można było zdobyć w tej przeklętej dziurze, i jestem gotów do drogi.

Wyszliśmy na dwór.

— Wielki Bobrze, czy nie moglibyśmy dalej jechać razem? — Tu sierżant powtórzył argumenty przemawiające za tą propozycją. — Zresztą — dodał — zaczęliście tę sprawę i wypada, żebyście dotrwali do końca.

Karol zastanawiał się tylko przez chwilę.

— Dobrze — powiedział — byle to nie trwało zbyt długo. Będzie to właściwie wyprawa na ślepo. Ani tropów, ani śladów...

— Z wyjątkiem ognisk — wtrąciłem.

— Z wyjątkiem ognisk — zgodził się Mitchell. — Musimy wędrować od faktorii do faktorii, od osiedla do osiedla... Do licha, nie ma ich zbyt wiele w tych stronach! A prawda na

końcu języka, jak powiada przysłowie. Będziemy pytać, kogo napotkamy. To także sposób na znalezienie śladów. Moich chłopców rozesłałem w cztery strony świata. Mają wracać tu, do Dziesiątej Mili. Ale czekać na nich to byłby nonsens... Jak mnie nie zastaną, powinni się skierować do fortu Garry. Mam taki fort — swego imiennika — zaśmiał się. — Zabawne, co? Tam będą czekać. No, chodźmy do saloonu.

Pożegnaliśmy się z Laughtonem, nadal wylewnym i niesłychanie grzecznym. Bardzo przepraszał mnie i Karola:

— Rozumiecie, panowie, że jeśli się ktoś sparzy...

Ściskał nam dłonie, obiecywał, że o wszystkim opowie Stevensonowi — niech się chłop ubawi! — i deklarował, iż faktoria zawsze odtąd będzie stać dla nas otworem. Po tej straszliwie długiej gadaninie nareszcie wyszliśmy. Uff! Okazało się wkrótce, iż „zaraz" w praktyce sierżanta Mitchella oznacza niezupełnie to samo, co w mojej. Wyjazd „zaraz" rozpoczął się od przeglądu kopyt wszystkich trzech naszych koni. Z tego przeglądu wynikł wniosek, że wszystkie trzy należy podkuć na nowo. Powlekliśmy się do kowala.

— No — powiedziałem korzystając z chwili, kiedy sierżant nieco się oddalił — jeżeli on z taką energią bierze się do każdej sprawy, to szczęśliwi przestępcy, których ściga!

— Mylisz się, Janie. Sierżant ma swoje metody. Hołduje zasadzie „spiesz się powoli", stara się eliminować nie przewidziane wypadki... przewidując je.

— Na przykład zgubienie podkowy.

— Właśnie.

— Szkoda wobec tego, że nie skierował nas jeszcze do rymarza, aby zamówić nowe siodła. W starych mogą popękać popręgi i co wtedy?

— Pogalopujemy na oklep. Nie bądź złośliwy!

Kowal akurat spał. Była to prawdopodobnie, poza piwem i wódką, jedyna forma rozrywki w Osadzie Dziesiątej Mili. Gdy na nasze energiczne żądanie zbudziła go żona, zobaczyłem wielkoluda o obliczu, którego za skarby świata nie chciałbym ujrzeć na pustkowiu. Na pół śpiący, niechętnie wysłuchał dyspozycji Karola. Zmiękł nieco, dostrzegłszy czerwoną kurtkę sierżanta, mimo to wcale się nie spieszył. Trzeba było rozpalić wygasły ogień. Trwało to wieki. Potem zaczęło się poszukiwanie chłopaka do pomocy. Kiedy wreszcie sztabki żelaza zostały włożone do żaru, było już dobrze ciemno. Uformowanie dwunastu podków przeciągnęło się na dalsze godziny. W końcu opuściliśmy kuźnię około północy. Wyjazd teraz nie miałby żadnego sensu. Była to dość poważna strata czasu, ale Mitchell jakoś niewiele się tym przejmował.

Poszliśmy do gospody, gdzie budzenie właściciela zajęło kilkanaście minut, a przygotowanie kolacji dwa razy tyle. I znowu siedzieliśmy nad twardą jak rzemień pieczenia.

Przypuszczam, że była ona jedyną potrawą w tym saloonie, upieczoną na wiele dni naprzód, w ilościach, które mogły starczyć do nakarmienia setki osób. Pocieszałem się myślą, że jem ją po raz ostatni.

Następnego ranka Karol ściągnął mnie z łóżka, gdy pierwsze zorze poczęły różowieć na horyzoncie. Nie potrzebuję dodawać, że byłem bardzo śpiący.

— Karolu, Karolu — mruczałem — po co my z nim jedziemy? Przecież to nie ma sensu.

— To ma sens — odpowiedział z naciskiem. — Nie pamiętasz, co sam mówiłeś? Jeżeli uciekinier ma przy sobie kopię planów, lepiej, abyśmy byli przy jego schwytaniu.

— Dużo to pomoże! Ciekaw jestem, co wówczas zrobisz?

— To zależy od okoliczności. Nie trzeba się martwić na zapas. A poza tym, jak ci już wspomniałem, warto pomóc sierżantowi. On o tym nie zapomni. To się nam może przydać. Nigdy nic nie wiadomo...

— Już dobrze — stękałem wciągając z trudem buty. — To wszystko nie bardzo mi się podoba, ale jeżeli uważasz...

— Uważam, uważam. Przestań zrzędzić i pospiesz się.

Kiedy zeszliśmy na dół, Mitchell siedział już przy stole. Z ulgą stwierdziłem, że zamiast pieczeni dymi jajecznica. To mi poprawiło humor.

Śniadanie trwało nieskończenie długo. Mitchell twierdził, że nie wiadomo, kiedy znowu będziemy mieli okazję siedzieć przy stole, więc trzeba ten fakt wykorzystać. Tak też czynił, zjadając olbrzymie ilości jajecznicy i chleba.

Właściciel saloonu nisko się nam kłaniał polecając na przyszłość swe usługi. Co do mnie, przysięgałem sobie w duchu, że więcej noga moja tu nie postoi.

Chłopak stajenny przyprowadził pod werandę konie. Biły kopytami w piach drogi, niecierpliwiąc się. Karol rzucił chłopcu kilka drobnych monet. Wskoczyliśmy na siodła. Głucho zadudniły kopyta.

— Dokąd? — zapytał Karol.

Mitchell wskazał ręką ku północnemu wschodowi.

— Tam!

Przebyliśmy truchtem zakurzony trakt, który kurczył się, zwężał z każdym jardem, aż wreszcie rozpłynął się wśród traw prerii. Mitchell wysforował się naprzód, ja za nim, Karol zamykał kawalkadę. Ruszyliśmy kłusem.

Konie parskały, szczękała broń, pachnący wiatr owiewał nam twarze. W podmuchach tego wiatru migotliwe fale sunęły poprzez trawy sięgające po brzuchy koniom. Różowy talerz słońca stawał się coraz! bardziej złoty, w miarę jak wznosił się nad horyzontem. Zapowiadał się prawdziwy upał.

Jak okiem sięgnąć, rozciągała się preria, milcząca i pozornie pusta. Gdzieś u szczytu błękitniejącego nieba wisiał, niby czarny punkt, jakiś skrzydlaty drapieżnik.

Płomień na prerii

Kilka rozłożystych krzaków, kilka niskich drzew, których nasiona przed kilkudziesięciu laty przyniósł wiatr z puszczy odległej o setki mil — to prawdziwa oaza w sercu prerii. Jeśli na dodatek u stóp tych drzew płynie strumyk, cóż jeszcze potrzeba znużonemu wędrowcowi, aby rozkulbaczył konia, spętał mu przednie nogi i z suchych gałązek rozpalił ognisko?

Takie oazy trafiają się co pewien czas, jeśli wędrować od Gór Skalistych poprzez wielką równinę kanadyjską ku wschodowi.

Zanim rozpaliliśmy ogień, noże nasze oczyściły z trawy wielki krąg ziemi. Niebezpieczeństwo pożaru jest tutaj tak groźne, że roztropny i doświadczony wędrowiec zawsze uczyni wszystko, co nakazuje ostrożność, aby do niego nie dopuścić.

Niebo pociemniało, zabłysły pierwsze gwiazdy. Płomień cicho trzaskał, a Mitchell piekł ziemniaki zabrane z Osady Dziesiątej Mili. Kiedy wyraziłem zdziwienie, że chciało mu się wieźć tak mało pożyteczny bagaż, oświadczył, iż przepada za ziemniakami, które nie wiadomo kiedy znowu będzie jadł, bo na prerii przecież nie rosną.

Jedliśmy więc pieczone ziemniaki, przegryzając podpłomykami z pszennej mąki. Przygotowując je, dodaje się nieco proszku, który sprawia, iż zagniecione ciasto pęcznieje i podpłomyki nie są twarde jak deski. Można również takie ciasto umieścić w blaszanej formie. Postawione na ogniu, upiecze się szybko. Wspaniały wynalazek dla ludzi, którzy miesiącami nie oglądają piekarń!

Księżyc wzszedł, kiedy otuleni w pledy, z głowami wspartymi o siodła, ułożyliśmy się do snu. Jakże krótko trwał! Zdawało mi się, że ledwie zamknąłem oczy, a już ktoś szarpnął mnie za ramię. Czerwone zorze wstawały nad horyzontem. Świtało. Chłodny wiatr szeleścił w gałęziach drzew, a nad rozpalonym na nowo ogniskiem wiła się smużka dymu. To Mitchell piekł resztki ziemniaków i gotował wodę na kawę. W kociołku bulgotało, a podpłomyki pachniały coraz przyjemniej. Strząsnąłem z siebie resztki snu, myjąc się w lodowato zimnej wodzie ze strumienia. Śniadanie zjedliśmy błyskawicznie. Ziemniaki wygrzebane z popiołu parzyły palce. Teraz już widać było, że Mitchellowi zależy na pośpiechu. Tylko czy przypadkiem nie ścigaliśmy... wiatru w polu? Zadałem to pytanie, gdy zapalone zostały ostatnie przed odjazdem fajki.

Mitchell wypuścił dym w niebo.

— Rozmawiałem z pracownikiem Laughtona. Z tym czerwonoskórym. Przypadkowo słyszał urywek ich rozmowy. Dlatego właśnie wybrałem ten kierunek.

— Jeżeli czerwonoskóry wiedział, dokąd jadą, dlaczego natychmiast nie puścił się w pogoń?

— Po pierwsze dlatego, że kradzież została wykryta dopiero po godzinie. Po drugie, nie było na czym ich ścigać. Faktoria rozporządza tylko dwoma końmi, właśnie tymi, które skradziono. Konie pozostawione przez złodziei nie nadawały się do dalszej jazdy. Po trzecie, Laughton nie mógł opuścić faktorii na cały dzień, a tyle czasu co najmniej trwałby pościg. Faktorię obsługują teraz przecież tylko dwie osoby. Jasne?

Chciałem jeszcze zapytać, co powiedział sierżantowi Indianin, ale ugryzłem się w język. Karol milczał. Uznałem, ze trzeba go naśladować. Fajki zostały wypalone, ognisko zgaszone i zadeptane. Sierżant zalał ciepły jeszcze popiół kilkoma kubkami wody. Ruszyliśmy.

Według czego orientował się w terenie Mitchell, pozostanie dla mnie nieodgadniona tajemnicą.

— Oni mają specjalny instynkt — powiedział mi w kilka tygodni później Karol. — Wyrabiają go sobie podczas służby na tych bezdrożach. A kto go sobie w porę nie wyrobi, może się pożegnać z Królewską Konną! Gdyby chcieli i umieli pisać, powstałaby ciekawa literatura. Cały ocean obserwacji ludzi, zwierząt, przyrody...

Koło południa pierwszy postój. Nieco po szóstej — drugi. Na prerii dzień trwa długo. Słońca nie zasłaniają żadne wzniesienia.

Trzeciego dnia zaczął nam dokuczać upał. Przedłużyliśmy południowy odpoczynek. Skłonił nas do tego nie tylko żar lejący się z nieba, ale i mały stawek, leżący w nieco większej dolince, porosłej niskimi krzewami.

Najpierw zaczerpnęliśmy wody do naczyń, potem sami wskoczyliśmy do jeziorka mimo uwag Karola na temat kanadyjskich pijawek. Obiad był skromny. Nikomu jeść się nie chciało. Przyrządziliśmy kawę i zagryźli ją pozostałymi z rannego posiłku podpłomykami. Potem rozłożyliśmy się w skąpym cieniu krzewów.

Jak długo trwał ten odpoczynek, nie pamiętam. W pewnej chwili, na poły drzemiącego, zbudziło mnie rżenie koni. Uniosłem się na łokciu. Sierżant i Karol spali jak dwa susły.

Spojrzałem w kierunku koni. Strzygły uszami, rozglądały się niespokojnie i biły kopytami w ziemię. Wyszedłem z dolinki na równinę.

Preria po horyzont jarzyła się szmaragdową zielenią, aż oczy bolały. Od północy dął suchy gorący wiatr. Po kilku minutach miałem koszulę mokrą od potu.

Zauważyłem, iż w północnej stronie nieba podnosiła się od ziemi siwa, drgająca mgiełka. Pierwszy raz w tych stronach ujrzałem takie zjawisko. Przypuszczałem, że nadciąga burza. A skoro burza, lepiej ją przeczekać w tej kotlince niż na otwartej przestrzeni. Nie było więc po co budzić Karola i sierżanta. Zacząłem się zastanawiać, czy wobec tego nie skorzystać raz jeszcze z kąpieli. Prawdopodobnie pluskałbym się beztrosko w jeziorku, gdyby uwagi mojej nie zwróciła ciemna plamka poruszająca się na horyzoncie. Zbiegłem nad jeziorko, chwyciłem lornetkę i po chwili byłem znów na górze. Przyłożyłem szkła do oczu. Ciemna plama nie tworzyła jednolitej całości. To szereg punktów poruszał się szybko i zbliżał w naszą stronę. Jeźdźcy? Stado bizonów? Nie wiedziałem, nie próbowałem nawet odgadnąć. Obudziłem Karola, zaciągnąłem rozespanego na górę. Wetknąłem mu lornetkę w ręce.

Patrzył przez chwilę.

— Bizony albo mustangi — mruczał do siebie — bo na pewno nie jeźdźcy.

Gorący wiatr dmuchnął nam żarem w twarze i jednocześnie do uszu moich dotarł jak gdyby przytłumiony odgłos nadciągającej burzy. Karol raz jeszcze przytknął lornetkę do oczu, ale oddał mi ją natychmiast.

— Nie mamy sekundy do stracenia — powiedział swym spokojnym głosem. — Preria płonie...

Poczułem, jak koszula lepi mi się do pleców. Po prostu z gorąca czy raczej z emocji?

— Janie, pędź do koni, bo zerwą pęta i uciekną. Natychmiast je osiodłaj i trzymaj za cugle. Gnają na nas mustangi, a za nimi ogień!

Zrobiłem, co polecił, i muszę się pochwalić — w błyskawicznym tempie. Wieszając się całym ciężarem ciała u uzd przysiadających na zadach i stających dęba koni, kątem oka wciąż spoglądałem ku północy, skąd nadciągało nie-bezpieczeństwo. Tymczasem Karol i sierżant w odległości kilku jardów od dolinki ścinali trawę tuż przy ziemi myśliwskimi nożami. Krąg oczyszczonej przestrzeni zwiększał się w miarę, jak narastał głuchy tętent nadbiegającego stada. Nie ulegało wątpliwości, że mustangi gnały z wiatrem i nie mogły nas zauważyć.

W pewnej chwili Karol zbiegł w dół, porwał za sztucer i począł strzelać w powietrze.

— Janie — wrzasnął ku mnie — wprowadź konie do jeziorka! Tylko szybko! — i pognał na górę.

Łatwo powiedzieć „szybko". Myślałem, że mi ręce odpadną. Konie waliły kopytami i kwiczały, uszy kładły po sobie. Największy niepokój okazywał gniadosz sierżanta, prawdziwy szatan, który potrafił nie tylko kopać, ale i gryźć. Kiedy wreszcie uporałem się z końmi, wskoczyłem na siodło. Zobaczyłem sierżanta, który zgarniał pęki ściętych traw i wyrzucał je poza obręb skoszonego półkola. Karol, ze sztucerem uniesionym ku górze, raz po raz strzelał i ładował magazynek.

Tętent wzmagał się z sekundy na sekundę. Pojedyncze sztuki rozróżniałem już gołym okiem. Na czele, wysforowany o kilka długości, galopował śnieżnobiały mustang z rozwianą

grzywą i falującym ogonem. Za nim stado, jakieś pięćdziesiąt sztuk. Liczba zupełnie wystarczająca do wdeptania nas w ziemię.

Teraz już i Mitchell przerwał swe sianokosy. Stanąwszy obok Karola, walił w powietrze z obydwóch koltów.

Mimo tej kanonady mustangi rwały przed siebie, wprost na dolinkę i jeziorko. Musiały być naprawdę przerażone, jeśli do tej pory nie zwrócił ich uwagi nieustający huk wystrzałów.

Koń, na którym siedziałem, kręcił się i stawał dęba. Dopiero teraz doceniłem wartość wszystkich tajemnic jazdy konnej, jakich uczył mnie przez długie miesiące Karol.

Zajęty uspokajaniem zwierząt, nawet nie zauważyłem, że strzały ucichły. Podniosłem głowę. Biały mustang skręcił nagle w lewo, za nim pognała reszta. Łomot oddalał się, a w gorącym powietrzu zawisł tuman kurzu. Sierżant i Karol zbiegli do dolinki. Teraz dopiero rozpętaliśmy konie. Cały nasz bagaż został przytroczony do siodeł, konie wprowadzone w środek oczyszczonego z traw koła. Wówczas to Karol podpalił trawę. Ogień z początku pełzł nisko, pozostawiając ciemnobrązowy ślad. Dwoma ramionami ogarnął dolinkę i wreszcie, pędzony podmuchami wiatru, pognał ku południowi.

Tymczasem od północy rósł i gęstniał zwał dymu. Huk i trzask potężniały. Rozróżniałem już jaskrawe języki ognia, który przerzucał się po czubkach traw. Fontanny iskier strzelały ku górze, ściana żaru przybliżała się ku nam z szybkością pociągu pospiesznego. Na szczęście oddzielała nas od niej spora przestrzeń wypalonej już prerii. Wreszcie znaleźliśmy się w ognistym kręgu.

Mimo dużej odległości owionęło nas przez chwilę tak gorące powietrze, że z trudem mogłem oddychać. Ogień pognał dalej, ale preria dokoła dymiła jak rozgrzany piec. Przeczekaliśmy kilkanaście minut, a potem wróciliśmy nad jeziorko. Dziwnym trafem wokół niego ocalało nieco trawy i prawie wszystkie krzewy. Był to bardzo pomyślny zbieg okoliczności — można było nakarmić konie przed dalszą podróżą. Postanowiliśmy przeczekać godzinę, aby rozgrzany step ostygł.

— No, Janie — powiedział Karol — miałeś szczęście.

— Wszyscy mieliśmy szczęście.

— Nie o tym myślałem, ale o mustangach. Rzadko się dziś trafia ujrzeć takie ładne stadko... pewnie jedno z ostatnich.

W drogę ruszyliśmy pod wieczór. Znikła zielona preria. Jak okiem sięgnąć, rozciągała się brunatno czarna płaszczyzna. Podczas jazdy natrafiliśmy na kilka zwęglonych kojotów.

Kiedy się ściemniło — a noc nadciągała czarna, bez jednej gwiazdy na niebie — zatrzymaliśmy się w szczerym pustkowiu. Dokoła ani krzaczka, ani gałązki do rozpalenia ognia. Najbardziej trapił nas brak wody, ale już wkrótce mieliśmy jej nadmiar. Około północy zerwała się gwałtowna burza. Przez godzinę zlewały nas strumienie wody, ogniste zygzaki błyskawic biły w ziemię, uderzał grzmot po grzmocie. Nagle oziębiło się i kiedy ulewa pognała dalej, całkowicie przemoknięci szczękaliśmy zębami. Na szczęście, przygotowany na wszystko Mitchell miał przy sobie sporą blaszaną manierkę szkockiej whisky. To nas postawiło na nogi i pozwoliło dotrwać do wczesnego świtu. O śniadaniu oczywiście nawet mowy być nie mogło.

Dosiedliśmy koni. Przed nami ciągle jeszcze ścieliła się spalona preria. Zapytałem Karola, jaka mogła być przyczyna pożaru. Samozapalenie czy ludzka nieostrożność?

— Samozapalenie się stepu może nastąpić tylko w wypadku porzucenia przez człowieka szkła, które odgrywa wtedy rolę soczewki skupiającej promienie słoneczne. Ale któż by w tych stronach pozostawiał szklane butelki! To zbyt cenne naczynie. Pożar spowodowało raczej ludzkie niedbalstwo — nie zgaszone ognisko.

Znowu jechaliśmy do południa, nie trafiwszy na ani jedną kępkę zielonej trawy, ani jeden krzaczek. Do picia mieliśmy tylko deszczówkę, przezornie nałapaną w miseczki i zlaną do flaszek. Była letnia i paskudna. Południowy postój okazał się chyba jeszcze bardziej męczący od jazdy. Konie na próżno szukały źdźiebka świeżej trawy. Po raz pierwszy zacząłem ponaglać do dalszej wędrówki. Moi towarzysze nie wyrażali sprzeciwu. Któż bowiem mógł odgadnąć, jak daleko jeszcze ciągnie się przestrzeń spalonej prerii. Może dzień, może dwa dni... Konie stracą siły i wreszcie padną. Perspektywy dalszej jazdy przedstawiały się dość ponuro. Jedyna na to rada — jechać szybciej, skrócić postoje. Tak też uczyniliśmy.

Następny dzień był równie monotonny jak poprzedni. Spalony step, żar z nieba, ani kropli wody. Deszczówka już nam się wyczerpała, konie wyraźnie zwolniły biegu. Usta

miałem wysuszone, język stwardniały. Mówienie sprawiało mi trudność. Zapewne to samo odczuwać musieli moi towarzysze, bo milczeliśmy przynaglając tylko wierzchowce do 'biegu. Minęły dwie, może trzy godziny, gdy naraz uczułem, jak mój koń poderwał się. Inne zarżały krótko i wyciągnęły szyje.

— Czują wodę — odezwał się ochrypłym głosem Mitchell. — Naprzód!

Rozglądałem się dokoła, ale nic nie zwiastowało nawet śladu wilgoci. A konie teraz gnały. I oto niespodziewanie gładka równina prerii obniżyła się, oczom moim ukazał się wąwóz o łagodnie pochylonych zboczach. W dole, wzdłuż piaszczystych plaż, płynęła rzeczka. Po drugiej stronie wody zielone krzewy i wysokie trawy kołysały się w powiewach lekkiego wiatru. Pożar nie przekroczył koryta rzeki.

Ściągałem koniowi cugle, bo rwał jak szalony i bałem się, że na zboczu przekoziołkuję razem z nim. Na szczęście Karol był szybszy. Zagrodził mi drogę i zmusił do wolniejszej jazdy.

— Ostrożnie, Janie, ostrożnie. Konie są zgrzane. Muszą chwilkę odpocząć. Rzuć mi uzdę i zsiadaj!

Zatrzymaliśmy się na skraju piaszczystej plaży. Jak rozkosznie było odetchnąć chłodnym, wilgotnym powietrzem! Wpędziliśmy konie w koryto rzeczki i wolniutko przeprowadzili na drugą stronę. Dopiero tam, pozbawione uprzęży, poszły się napić. Tymczasem Karol lustrował lornetką okolicę, ale nie dostrzegł nic godnego uwagi.

Napojone konie pasły się teraz na zielonym zboczu. Kąpaliśmy się na zmianę. Zawsze któryś z nas stał pośród krzewów, na szczycie zbocza, tak że tylko głowa mu wystawała ponad wysokie źdźbła traw. Stamtąd, niepostrzeżenie, mógł obserwować teren po obu stronach rzeki. Kiedy warta przypadła sierżantowi, musieliśmy nagle przerwać kąpiel. Po kilku zaledwie minutach Mitchell przybiegł nad brzeg.

— Jeźdźcy — powiedział krótko. — Przeprawiamy się na drugą stronę. Licho wie, kto to może być. Lepiej przegrodzić się rzeką.

Tak jak staliśmy w wodzie, nie tracąc czasu na ubieranie się i siodłanie koni, powróciliśmy na spaloną stronę. Dopiero tu mogliśmy założyć uprząż i wciągnąć spodnie. Na resztą zabrakło już czasu. Sierżant zasygnalizował:

— Zbliżają się!

Położyliśmy się na brzuchach tuż nad zboczem. Koń sierżanta na kilkakrotne cmoknięcie swego pana — ku memu podziwowi — legł obok nas. Pozostałych ani rusz nie można było skłonić do pójścia w jego ślady. Stanowiły wyśmienity cel.

Sierżant, z karabinem w ręku, zrzędził:

— Jak można było brać w drogę takie chabety?

Karol nie zareagował na to wydziwianie. W milczeniu obserwował przeciwległy brzeg.

— Jest ich pięciu — zauważył. — Jeżeli się nie mylę, to Assiniboinowie. Zaraz nas dostrzegą i... znikną.

Jego słowa spełniły się z całkowitą dokładnością. Zobaczyłem galopujących jeźdźców, potem jeźdźcy znikli i wśród falujących traw posuwały się tylko końskie łby. W pewnej chwili znikły i konie.

— Uwaga! — ostrzegł sierżant. — Patrzcie na szczyt zbocza.

Na szczycie zbocza nic się jednak nie działo. Indianie jakby zapadli się w ziemię.

— To mi się nie podoba — szepnąłem. — Przecież gdyby mieli uczciwe zamiary, nie kryliby się.

— Biorą nas za kogoś innego — mruknął Karol.

— Ale za kogo?

— Żebym to ja wiedział!

— Trzeba się z nimi porozumieć.

— Twoja uwaga jest niezwykle cenna, Janie. Tylko że na razie nie ma z kim rozmawiać.

Już po chwili jednak, kiedy przypadkowo spojrzałem za siebie, dostrzegłem trzech czerwonoskórych. Spryciarze! Część oddziału przeprawiła się przez rzeczkę i zaszła nas od tyłu.

— Masz z kim rozmawiać, Karolu — powiedziałem siląc się na spokój. — Obejrzyj się tylko.

— Uff, do licha! Assiniboinowie. Pozwól, sierżancie, że do nich zagadam, a tymczasem włóż swą czerwoną kurtkę, żeby wiedzieli, z kim mają do czynienia.

Podniósł się niedbale i coś zawołał. Czerwonoskórzy zatrzymali się. Z kolei podniósł się sierżant i teraz rozpoczął się całkowicie niezrozumiały dla mnie dialog. W rezultacie czerwonoskórzy opuścili broń i podeszli do nas. Porozmawiali z sierżantem, skierowali się ku rzece i wolniutko przeszli sięgającą im po pas wodę. Na drugim brzegu ukazało się teraz jeszcze dwóch wojowników prowadzących konie.

— Sierżant ma nosa — powiedział Karol naciągając bluzę.

— Co się stało?

— Jedziemy znakomitym tropem. Assiniboinowie poszukują dwóch białych, którzy skradli im konie.

Roześmiałem się.

— Niesłychanie uprzejmi są ci nasi uciekinierzy. Kiedy gubimy ślad, kradną konie, żeby dać znać o sobie. Skąd jednak pewność, że i tym razem to byli oni?

— Koń, biały koń skradziony z faktorii...

— I co teraz?

— Jedziemy z czerwonoskórymi do ich obozu. Mitchell chce zbadać sprawę dokładnie.

Pojechaliśmy. Tym razem droga była krótka. Przybyliśmy na miejsce, wyprzedzeni już przez jednego z wojowników. Przyjęto nas, tradycyjnym zwyczajem, przy ognisku. Po

parominutowym milczeniu rozpoczęła się rozmowa. Krótkie zdania przegradzane dłuższymi pauzami. Nic z tego nie rozumiałem. Zauważyłem tylko, że Assiniboinowie ze specjalnym szacunkiem traktują Karola. Mitchell był dla nich na drugim miejscu, na mnie w ogóle nie zwracali uwagi. Ten Karol naprawdę musi mieć wielkie wzięcie u czerwonoskórych! Przyjemnie było mi to stwierdzić. Okazuje się, iż nie z byle kim „zwiedzam" prerię i nie byle kto jest moim nauczycielem!

Sytuacja, w jakiej się znalazłem, bardzo mi odpowiadała. Mogłem obserwować wszystko i wszystkich. Czyniłem to jednak bardzo ostrożnie, żeby nie wzbudzić podejrzeń gospodarzy.

Już na pierwszy rzut oka stwierdziłem, Że było to jakieś tymczasowe obozowisko, z garstką tylko ludzi. Pięć czy sześć tipi dokoła ogniska, stadko koni pasących się w pobliżu i kilku wartowników bacznie przepatrujących horyzont.

Przyglądałem się twarzom siedzących. Wszystkie były poważne. Niektóre szlachetne w rysach, inne okrutne, złowrogo błyskające oczami. Z tymi nie chciałbym się spotkać sam na sam. A przecież, w gruncie rzeczy, przeciętny poziom uczciwości tych ludzi był znacznie wyższy od naszego. Sprzyjało temu niezwykle surowe wychowanie młodzieży. W granicach plemienia, w ramach indiańskiej wioski nie mógł utrzymać się złodziej, oszust czy podstępny morderca. Społeczność indiańska nie tolerowałaby długo takiego osobnika. Po prostu przepędzono by go. Stąd niekiedy — ale dość rzadko — spotyka się tak zwanych „samotnych Indian", nie przynależnych do żadnego plemienia. Żyją oni w pojedynkę, wędrując po niezmierzonych i jeszcze nie zamieszkałych przestrzeniach puszcz lub stepów.

Te osobniki, wyrzucone poza nawias własnej społeczności, niejednokrotnie podejmowały się — jakże często na zlecenie białych! — najohydniejszych przedsięwzięć. Bezpieczniej było trzymać się od nich z daleka. Karol wielokrotnie przestrzegał mnie przed samotnymi wojownikami.

— Jeżeli spotkasz na bezludziu wojownika z jego squaw, wiej, bracie, gdzie pieprz rośnie!

— Co ma do tego squaw?

— Bardzo wiele. Stanowi niezbity dowód, że jej małżonek to „samotny Indianin". Wlecze z sobą żonę, bo nie ma gdzie jej zostawić. Nie ma swego tipi, swej wioski, swego plemienia. To przepędzony Indianin. Wypędek, jak to się u nas mówi. Ci są najgorsi. Pamiętaj o tym, Janie.

Sierżant w tarapatach

Wizyta „naszych" uciekinierów w obozie Assiniboinów trwała trzy dni.

— Gdyby Indianie pilnowali lepiej swoich koni — zawyrokował Mitchell — mielibyśmy ptaszków w ręku.

— Ale po co im te konie? — zapytałem.

— Ba, albo to zwykła złodziejska pasja, albo coś ich skłoniło do wzięcia zapasowych rumaków. Co — nie wiadomo — odrzekł Karol.

— Teraz mają cztery konie. To na pewno utrudni im ucieczkę.

— Słusznie — powiedział sierżant. — To dowód, że nie zanadto obawiają się pościgu.

— Ale dla... — tu przerwałem w połowie pytania. Przyszło mi do głowy, że świetnym sposobem opóźnienia ewentualnego pościgu mogło być... podpalenie prerii. Czyn przestępczy, ale cóż mieli do stracenia ludzie, nad którymi ciążyły tak ciężkie zbrodnie?

Sprawcą morderstw był co prawda tylko jeden z uciekających, ale jego kompan na pewno jest nie lepszy.

Podzieliłem się swoim przypuszczeniem z towarzyszami. Przyznali, że mogę mieć rację. Wiatr był północny, zresztą sama rzeczka stanowiła wystarczającą przeszkodę dla ognia. Uciekinierzy — podpaliwszy prerię — przeszli na drugi brzeg rzeki, odgradzając się od pościgu morzem płomieni. To wyglądało bardzo prawdopodobnie.

O tym wszystkim rozmawialiśmy jadąc przez prerię. Assiniboinowie złodziei nie schwytali. Obiecali co prawda nadal patrolować prerię, ale — jak mówił sierżant — teraz to się psu na budę zdało.

Jechaliśmy zupełnie na ślepo. Początkowo spotykaliśmy tylko ślady pościgu indiańskiego.

— To cwaniaki! — stwierdził Karol. — Na pewno poobwiązywali szmatami końskie kopyta. Stary sposób, aż dziwne, że o tym nie pomyśleli czerwonoskórzy. Ślady gdzieś tam być muszą, bo trudno w taki sposób posuwać się szybko. I cóż wy na to, sierżancie?

— Kropka w kropkę myślałem to samo. Ślady gdzieś być muszą. Tylko pytanie: przed nami czy za nami?

— Jak to za nami?

— Co czyni lis, gdy go ścigają? Zatacza wielkie koło, aby znaleźć się za ścigającymi, i tam się przyczaja. Niemądrzy ludzie szukają go przed sobą, nie za swymi plecami...

Karol wstrzymał konia.

— Więc przypuszczacie...

— Przypuszczam, że obwiązawszy swym koniom kopyta, ruszyli szerokim łukiem, aż znaleźli się na tyłach ścigających.

— Ale przecież Indianie porozsyłali wywiadowców na wszystkie strony!

— Za to na pewno nie badali najbliższego sąsiedztwa swego obozowiska. Terenu dobrze nie znają, bo to obóz tymczasowy, a tu gdzieś niedaleko może się znajdować świetna kryjówka.

— Na prerii? Niby jaka?

— Ba, żebym to ja wiedział! W górach myślałbym o jaskini... Tutaj może istnieć jakaś rozpadlina, wąwóz, załamanie gruntu. Przy tak wysokich trawach trudno coś dostrzec nawet z niewielkiej odległości.

— Bardzo to mądre — zawyrokował Karol — tylko dlaczego sierżant Mitchell z Królewskiej Konnej dopiero teraz o tym mówi, kiedy przebyliśmy już taki szmat drogi, co?

— Dlatego, że sierżant Mitchell z Królewskiej Konnej — odparł sierżant naśladując głos Karola — dopiero teraz wpadł na ten pomysł. Ale dlaczego na ten sam pomysł nie wpadł wcześniej sławny traper i tropiciel śladów, szeroko znany Wielki Bóbr?

— Poddaję się. Ale co teraz robić?

— Teraz przede wszystkim zsiądźmy na chwilę z koni. Za bardzo jesteśmy widoczni.

Posłuchaliśmy tej rady. Sierżant wyłożył swój plan. Jego zdaniem, jakichkolwiek śladów należało szukać wokół obozowiska Assiniboinów.

— Możemy również skorzystać z pomocy czerwonoskórych — wtrąciłem.

— Nigdy! — krzyknęli prawie jednocześnie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że im mniejszy szum wokół tej sprawy, tym lepiej. Trzeba uśpić czujność ściganych. Powinni jak najdłużej być przekonani, że ich nikt nie szuka. No, a teraz jazda!

To nie był powrót w ścisłym znaczeniu tego słowa. Kluczyliśmy jak myśliwskie psy po tropach zwierzyny. Trwało to cały dzień z krótkimi przerwami. Dnia następnego posuwaliśmy się nadal po obwodzie wielkiego koła, którego środek miał stanowić obóz Assiniboinów. To Karol, to Mitchell na przemian lustrowali lornetkami horyzont. Prócz oddziału czerwonoskórych nie zauważyli nic szczególnego. Grupa Assiniboinów udawała się prawdopodobnie na myśliwską wyprawę. Wkrótce znikli nam z horyzontu.

Dopiekła mi już do żywego ta wędrówka, której końca nie widziałem. Wściekły wlokłem się z tyłu. Mijały godziny. Wreszcie na znak Mitchella zatrzymaliśmy konie.

— Uwaga — powiedział ściszając głos — nastawcie uszu. Albo ja się mylę, albo to jest...

— Szum — przerwał Karol — szum spadającej wody! — Wodospad?! — zawołałem. — Tu? Na prerii?

— Nie krzycz. Taki odgłos może wydawać tylko spadająca woda. Sierżant się nie myli. Szukajmy.

Kierując się tym tajemniczym dla mnie odgłosem, jechaliśmy jeszcze jakieś piętnaście minut i oto nagle zielona płaszczyzna runęła w dół stromym urwiskiem. Ledwie zdążyliśmy zatrzymać konie. Wąwóz w samym sercu prerii. Niewidoczny już z odległości paru jardów. Jakże łatwo można tu skręcić kark! Zwłaszcza w nocy. >

— No i co teraz powiesz, Janie?

Po dnie wąwozu płynęła rzeczka pieniąc się i tłukąc o głazy wystające z dna. Na prawo biała ściana wody z łoskotem spadała ze skalistego progu. Patrzałem oczarowany tą wspaniałą niespodzianką.

— Sierżancie, Karolu, to przecież ta sama rzeka, którą już raz przebywaliśmy!

— To bardzo prawdopodobne...

— To pewne — upierałem się. — Ale powiem wam więcej: uciekający posuwali się w dół rzeki, dotarli aż tutaj, znaleźli dogodną kryjówkę i dopiero stąd pojechali do obozowiska czerwonoskórych. Gotów jestem się założyć, że w górze rzeki, tuż nad wodą, znajdziemy ich ślady.

Sierżant spojrzał na mnie wzrokiem wyrażającym zdumienie zmieszane z podziwem, a Karol z rozmachem palnął mnie dłonią po plecach.

— Janie, jesteś genialny! Wkrótce będziesz zadziwiał najstarszych traperów.

— Dobrze, dobrze. Możesz kpić ze mnie, ile ci się podoba, ale przekonasz się...

— Wcale nie kpię, bo twoje twierdzenie może być prawdziwe. Strzeż się jednak zarozumiałości. Ona powoduje pomyłki, których nie sposób naprawić. No, a teraz z koni!

Jednakże zejście okazało się tutaj niebezpieczne. Udaliśmy się więc w górę rzeki, za wodospad. Koryto znajdowało się tu prawie na poziomie prerii, ale zejście do wąwozu utrudniał próg skalny rozciągający się na całą szerokość dolinki. Przeprawiliśmy się na drugi brzeg. Z tej strony zbocze wąwozu spadało łagodniej. Konie zostały sprowadzone, a sierżant począł się rozglądać za jakimś zacisznym i mało widocznym zakątkiem.

— Z góry można by nas pięknie powystrzelać — wyjaśnił, gdy zapytałem, po co zadaje sobie tyle trudu.

U stóp ścian wąwozu ciągnęły się dwa pasma żwiru, gdzieniegdzie pokrytego piaskiem, gdzieniegdzie porosłego trawą i niskimi krzakami. Tu właśnie Mitchell znalazł płytką jaskinię, wymytą przez wody podczas ich wysokiego stanu. O wprowadzeniu tutaj koni mowy być nie mogło, ale trzem ludziom zapewniała jakie-takie schronienie, przynajmniej przed

deszczem. Następnie sierżant poszedł dalej, w dół rzeczki, a Karol w górę, poza wodospad. Zostałem sam, bacznie obserwując pasące się konie. Uwagę zwracałem przede wszystkim na konia policyjnego, który przeszedł odpowiednią tresurę. Jego zachowanie mogło być sygnałem ostrzegawczym. Zwierzęta nie wykazywały jednak oznak zaniepokojenia.

Tak minęła godzina. Moi towarzysze nie wracali. Monotonny szum wody zaczynał działać na mnie jak dobry środek nasenny. Aby się nie zdrzemnąć, wstałem i zacząłem powoli, zakosami podchodzić ku górze. Jeśli ścigani przez nas ludzie ukryli się tutaj, musieli, tak jak i my, właśnie tędy przedostawać się ku rzece. Moja znajomość śladów końskich kopyt nie była widać wystarczająca. Nie odnalazłem nic. A może po prostu zbyt wiele już dni minęło, przydeptane źdźbła traw dawno się wyprostowały, a odciski kopyt na piasku zawiał wiatr?

Zrezygnowany zszedłem ku wodzie i tu właśnie, w wilgotnym mule, znalazłem wyraźne wklęsłe wgłębienie. Taki kształt mogła mieć tylko podkowa!

To odkrycie napełniło mnie dumą. Oznaczyłem miejsce zerwaną gałązką i szukałem dalej. Ani się spostrzegłem, jak zrobiło się ciemno. Wróciłem przed jaskinię mocno zaniepokojony tak długą nieobecnością towarzyszy. Gdyby im się coś przytrafiło, pozostałbym sam w sercu prerii. Ta perspektywa wydała mi się tak ponura, że aby przestać myśleć o niej, zacząłem zbierać chrust na ognisko. Przy tej robocie zastał mnie Karol.

— Miałeś rację — powiedział. — Oni szli wzdłuż rzeki. Tam, gdzie mogli, posuwali się korytem. Dlatego tyle czasu zabrało mi znalezienie tropu.

Teraz ja pochwaliłem się swoim odkryciem. Karol przyjął je dość obojętnie:

— Sprawdzimy jutro, dziś już za ciemno. A gdzie Mitchell? Jeszcze nie wrócił?

Zaproponowałem, żebyśmy poszli go szukać.

— Nie, to nie ma sensu. Po pierwsze jest zbyt ciemno, po drugie możemy się minąć.

— W wąwozie?

— Skąd wiesz, że sierżant nie będzie wracał górą? Wygodniej przecież.

— A jak mu się coś stało?

— Bądź spokojny, to stary wyga. Lepiej rozpalmy ognisko. Nie, nie tutaj. W jaskini. Zbyt wielki blask ognia mógłby ściągnąć Assiniboinów, a to wcale niepotrzebne.

Kolacja wypadła dość skromnie i upłynęła w smętnym nastroju. Byłem mocno zaniepokojony przedłużającą się nieobecnością Mitchella. Wyczuwałem, że Karol również zaczyna się denerwować.

— A może by jednak spróbować go odszukać? Jak myślisz, Karolu?

Potrząsnął przecząco głową.

— Już ci mówiłem, że to nie ma sensu. Popatrz tylko, jak ciemno.

Rzeczywiście, noc była bezksiężycowa. Po niebie ciągnęły pewnie chmury, bo wszystkie gwiazdy poznikały.

— A jak mu się coś stało? — wróciłem do swych obaw.

Karol uderzył się dłonią po kolanie.

— Ot i kłopot — powiedział. — Nie ma nic gorszego jak takie oczekiwanie, ale co nam innego pozostaje?...

Czekaliśmy więc, na wpół drzemiąc, na wpół czuwając, przez całą noc. Mitchell nie wrócił.

Było jeszcze szaro, na dnie wąwozu leżały głębokie cienie, gdy osiodłaliśmy konie. Przodem ruszył Karol starając się wybierać piaszczyste lub porosłe trawą miejsca.

Posuwaliśmy się wolno, bacznie rozglądając się dokoła. Po pół godzinie takiej wędrówki Karol zatrzymał się, zeskoczył z konia.

— Co takiego? — zapytałem.

Wskazał końcem lufy sztucera. Na płaszczyźnie złocistego piasku czerniał wielki krąg. Popiół, niedopalone resztki gałęzi, wiele śladów kopyt.

Karol badał to wszystko bardzo dokładnie, pochylony nad ziemią. Wreszcie wyprostował się.

— To stara historia, sprzed dwóch lub trzech dni.

— Czy Mitchell był tutaj?

— Chyba tak, ale tyle tu odcisków stóp, że trudno się zorientować. Jedno jest pewne — ani śladu mokasynów. Obozowali tu sami biali. Spójrz, odciski kopyt końskich. Dwa konie podkute, dwa inne to indiańskie mustangi. Widzisz?

Przytaknąłem.

— Ale gdzie sierżant?

— Musiał pójść dalej. Ruszajmy.

Powlekliśmy się noga za nogą. Szum wodospadu powoli zacichał. Ściany wąwozu rozstąpiły się nieco, a ponieważ niebo zaczęło się właśnie przecierać, dokoła nas pojaśniało. Teraz już można było posuwać się szybciej. I tak minęło następne pół godziny.

Rozdzieliliśmy się. Karol jechał prawym, ja lewym brzegiem rzeczki. Natrafiłem na świeże ślady kopyt. Trawa była wydeptana, a w środku tej wydeptanej płaszczyzny znowu czernił się wypalony krąg. Gestem przywołałem Karola. Zeskoczył z konia i klęcząc począł pilnie badać teren. Poszedłem za jego przykładem. Zwróciłem uwagę na czarny otwór widniejący w zboczu wąwozu, na wysokości około dwóch jardów od dna. Wspiąłem się i zajrzałem do wnętrza. Było tam zupełnie ciemno. W pewnej chwili wydało mi się, że w głębi tej naturalnej jaskini coś szeleści. Potem usłyszałem odgłos przypominający mruczenie. Ostrożnie zszedłem starając się nie strącić ani jednego kamyczka.

— Karolu — powiedziałem półgłosem — tam kryje się jakieś zwierzę. Może niedźwiedź?

— Niedźwiedź? Niemożliwe. Ale trzeba to zbadać.

Naprędce rozniecilismy mały ogień. Przygotowałem dwie prymitywne pochodnie. Stanęliśmy z obu stron otworu jaskini. Jedną z pochodni cisnąłem w głąb. Zaraz zgasła.

— Masz rację — szepnął Karol — tam coś jest. Zaczekaj.

Ześliznął się na dół. Nasłuchując obserwowałem jednocześnie, jak osmala i zwęgla drugą gałąź. Wreszcie buchnęła jaskrawym płomieniem. Karol wrócił.

— Trzymaj. Ja wejdę pierwszy, ty za mną. Stań z lewej strony i podnieś pochodnię, jak możesz najwyżej. No, uwaga!

Wsunęliśmy się do wnętrza. Uczyniłem tak, jak mi polecił. Migotliwy płomień drgał wśród głazów wystających ze ścian i sklepienia. Pod nogami chrzęścił żwir. Natężyłem wzrok, ale w zasięgu płomienia nic nie dostrzegłem.

Dalej blask rozpraszał się, ginął w ciemnościach. Okazało się, że jaskinia jest dłuższa, niż można się było spodziewać. Karol stał z karabinem przy ramieniu, choć przed nami nie ukazał się żaden cel. A jednak... Tak, bez wątpienia, z wnętrza ciemności dobiegł do nas cichy dźwięk, niby jakiś szelest. Wolno, wolniutko, krok za krokiem zaczęliśmy posuwać się

dalej. Chrzęszczący żwir, kostropate ściany, nic poza tym. Tak dotarliśmy do litej skały, zamykającej jaskinię. Nikogo tutaj nie było. A przecież... Szmer znowu się powtórzył.

— Patrz po ścianach. Może jest jakieś odgałęzienie.

Patrzałem uważnie. Wracając, w połowie drogi rzeczywiście natrafiliśmy na boczny otwór. Był dość szeroki, ale niski. Schyleni wsunęliśmy się do tej dziury. Podniosłem palący się konar. Dość duża skalna komnata miała formę prostokąta. W jednym z jego rogów coś się ruszało. Stamtąd właśnie dochodził szelest. Podeszliśmy bliżej.

W blasku płomienia dostrzegłem kształt ludzki. Karol opuścił karabin. Przybliżyłem pochodnię. Dwa kroki od nas leżał, mocno czymś skrępowany, sierżant Gordon Mitchell z Królewskiej Konnej.

Karol wyciągnął nóż myśliwski i dwoma cięciami oswobodził nogi leżącego. Dwa następne cięcia zwolniły jego ręce. Wielki kłąb gałganów, tkwiący w ustach, Mitchell wyciągnął już sam. Odetchnął głęboko, dźwignął się z trudem i stał tak chwilę w milczeniu.

Żaden z nas nie odezwał się słowem. Jakoś nie mogłem uwierzyć, że to właśnie sierżant Mitchell, od lat przemierzający prerię i mający na swym koncie parę setek schwytanych przestępców, przed chwilą leżał na ziemi, skrępowany jak niemowlę.

Sądzę, że musiał czuć się w tej roli bardzo głupio. Wyszliśmy wreszcie na światło dzienne. Sierżant począł rozcierać sobie ręce i nogi, potem siadł na zboczu wąwozu i pogrążył się w głębokiej zadumie. Trwała ona zbyt długo jak na cierpliwość Karola. W pewnej chwili podszedł do siedzącego, klepnął go po ramieniu i powiedział:

— Chłopie, co z tobą? Nie przejmuj się. Złapiemy ich, jak dwa razy dwa jest cztery. No, jakże tam było?

Mitchell westchnął głęboko.

— Żeby nie wy, leżałbym tak do sądnego dnia. Tfu, do licha! Tak się dać podejść!

Jak wynikało z opowiadania, sierżant, trafiwszy wczoraj na ślad pierwszego ogniska, postanowił iść jeszcze dalej. Było wystarczająco widno i — jak twierdził — ślepy by zauważył odciski kopyt. Miał więc pewność, że znajduje się na właściwym tropie. Tak wędrując, wśród nadbrzeżnych krzewów dostrzegł wreszcie ognisko. Najpierw oczywiście poczuł dym, potem dopiero, ostrożnie pełznąc, ujrzał płomień. Przy ogniu siedział jeden tylko człowiek. Obok pasły się cztery konie. Był wśród nich biały, a jakże, własność Laughtona.

— Tak więc — opowiadał sierżant — patrzę i myślę sobie: jesteśmy w domu. Poczekam trochę na tego drugiego. Tak sobie to wszystko wyspekulowałem. Podczołgałem się, jak można było najbliżej. Facet siedział przy ogniu i coś tam pitrasił. Był na odległość mojej ręki. Zerwę się — pomyślałem — skoczę na niego. Nieraz się takie rzeczy robiło. Nawet kajdanki miałem w kieszeni... Ale potem się powstrzymałem. A nuż bandzior narobi krzyku i spłoszy tego drugiego?

— Chwileczkę — przerwał Karol. — Widziałeś go dobrze? Który to był?

— Widziałem tak świetnie, jak was teraz widzę. To nie był ten chudy blondyn ze szramą na policzku. To był brunet. Wzrostu nie określę, bo siedział. Wydawał mi się dość tęgi... leżę więc i czekam. Dawałem sobie nieraz radę z większą gromadą, dam sobie i z dwoma. Tak myślałem...

— A tymczasem — przerwał Karol — ten drugi musiał cię spostrzec i zaszedł od tyłu. Skoczył na ciebie czy dostałeś po głowie?

— Dostałem po głowie. Zamroczyło mnie. Jak się ocknąłem, byłem już pięknie związany. A oni odeszli na bok, o czymś tam gadali. Najpierw cicho, potem coraz głośniej. Leżę i słucham, w czym rzecz. Jak się okazało, ten blondyn chciał mi po prostu wpakować w głowę porcję ołowiu. A tamten powiada, że nie. Nie będzie mordował bezbronnych. Takie ma dobre serce! Ale mu tego nie zapomnę. Żeby nie on, znaleźlibyście tylko trupa...

— Niewiele do tego brakowało — mruknąłem.

— Nie przerywaj, Janie. No i co dalej?

— Więc już myślałem, że się o mnie pobiją. Ale potem jakoś się pogodzili i zaciągnęli mnie do tej jaskini. Pas zabrali, kolty zabrali. Leżałem tak, nie wiem, jak długo. Ciemno, zimno, nogi mi zdrętwiały. Zacząłem się trochę ruszać na rozgrzewkę. Słyszałem, jak odjeżdżali. Potem zdrzemnąłem się, Musiało już być nad ranem, kiedy się ocknąłem. Słuch mam dobry. Usłyszałem tupot koni. Próbowałem wypluć knebel. Nic z tego. Mogłem tylko mruczeć. Resztę wiecie...

Przerwał i uspokojony już, począł nabijać fajkę.

Przed samym południem dosiedliśmy koni.

Przy żelaznym szlaku

Trop prowadził ciągle tuż nad rzeką. Uciekający nie mieli widać czasu na zacieranie śladów. Dwa luźne konie musiały bardzo krępować ich ruchy.

— Nie rozumiem, dlaczego nie wyskoczyli na górę? — powiedziałem. — Preria równa jak stół. Mogliby gnać!

— To proste. Czują, że im depczemy po piętach, a na prerii szybko zostaliby zauważeni. Tymczasem tutaj tyle załamań, rozpadlin. Łatwiej się skryć.

Sierżant, który jechał na czele, usłyszał zakończenie naszej rozmowy i dodał:

— A łatwo, łatwo tutaj się skryć. Uważajcie, żeby nas nie zdmuchnęli z jakiejś kryjówki.

Karol zatrzymał konia.

— Jan ma rację. Preria równa jak stół. To przecież bzdura człapać po tych kamieniach. Jedźmy górą. Dopędzimy ich w kilka godzin.

— Albo przegonimy i wtedy szukaj wiatru w polu...

— Rozdzielimy się, sierżancie. Jeden pojedzie dołem...

Mitchell jednak nie chciał się na to zgodzić.

— Jeden pojedzie dołem i zostanie w tyle. I co nam z tego przyjdzie? Nie, to nie byłoby dobre. Ja się wdrapię na górę i pognam. Wy jedźcie dołem. Szybko, ale uważnie. Nie oddalę się zbytnio. W razie czego — strzelajcie.

Wyprowadził konia po zboczu, machnął nam ręką i po chwili zniknął wśród traw. Ruszyliśmy. Pognieciona murawa, rozdeptany piasek, ślady były bardzo wyraźne. Gdyby nie paskudna droga — to najeżona odłamkami skał, to zwężająca się do pasemka wilgotnego mułu — można by się posuwać znacznie szybciej. Pocieszaliśmy się tym, że i nasi przeciwnicy napotykają takie same trudności.

Odległość między ściganymi a ścigającymi nie mogła się zwiększyć. Mieli nad nami co prawda przewagę jednej nocy, ale to było do nadrobienia. Chyba... chyba, żeby „wyskoczyli" na prerię. Karol kręcił przecząco głową.

— Nie wierzę w to, ryzykowaliby zbyt wiele.

Jechaliśmy dalej jeszcze około trzech godzin. Na koniec drogę przeciął wąski strumień — dopływ rzeczki, spadający po łagodnym stoku wąwozu. Niespodziewanie, zobaczyliśmy tam Mitchella.

— Dalej ich już nie ma.

— Jak to?

— Zdążyłem sprawdzić. Wlekliście się jak ślimaki. Mówię wam: dalej nie ma śladów.

— A na prerii?

— Ani na prerii.

— Ulecieli do nieba?

— To stare wygi, ale mnie nie nabiorą. Wpędzili konie w ten strumyk. Stawiam dolary przeciw orzechom, że się nie mylę. No, jazda! Wciągajcie się na górę.

Uczyniliśmy to bez większego trudu. Strumyk wyżłobił sobie w zboczu mały wąwóz, a dalej płynął po prerii dość płytką dolinką. Trawy dokoła wyrosły jednak tak wysoko, że jeździec posuwający się korytem strumienia i lekko pochylony na siodle nie mógł być z prerii widoczny.

Woda sięgała koniom zaledwie po pęciny, ale nie można było jechać szybciej. Po pierwsze dlatego, że łożysko potoku obfitowało w nierówności; po drugie pilnie szukaliśmy jakichkolwiek śladów potwierdzających przypuszczenia sierżanta. Karol oświadczył w pewnej chwili, że jeśli w ciągu pół godziny nie ujrzy wyraźnych tropów — natychmiast zawróci.

Tymczasem prąd był dość wartki i wszelkie znaki pozostawione na piasku koryta dawno już musiały zostać spłukane. Nic więc dziwnego, że po upływie trzydziestu minut byliśmy tak samo mądrzy, jak przedtem.

Karol okazał się konsekwentny. Zatrzymał konia mówiąc, że na krok dalej się nie ruszy. Twierdził, że posuwając się w obranym kierunku, oddalamy się, a nie zbliżamy do uciekinierów. Mitchell upierał się przy swoim, a kiedy — mimo wszystko — Karol nie chciał ustąpić, sierżant oświadczył, że bierze na siebie całą odpowiedzialność za pomyłkę.

— Dojedźmy chociaż do początków strumienia. Jeśli i tam nie znajdziemy tropów, ja też gotów jestem wrócić.

— Mitchell, czy ciebie czasem nie boli głowa? Może to porażenie słoneczne? Skąd wiesz, gdzie jest początek strumienia?

— Szkoda czasu na gadanie. Byłem już w tych stronach. Strumień wypływa z jeziorka, a nad jeziorkiem... — tu sierżant pochylił się i szepnął coś do ucha Karolowi.

— Uff! — odsapnął Karol. — Rzeczywiście... Jedziemy, to dla mnie nie lada gratka.

Monotonna jazda trwała jeszcze jakąś godzinę. Strumień, zamiast maleć, stawał się coraz szerszy. Przyczyną tego dziwnego zjawiska był fakt poszerzania się dolinki. Zbocza rozstępowały się, coraz lepiej i dalej widać było prerię, aż na koniec zobaczyłem kępę drzew rosnących nad idealnie okrągłym jeziorkiem. Jak się później okazało, był to spory lasek. Jednakże nie on zwrócił moją uwagę, ale wydeptana kopytami ścieżka, wiodąca od brzegów strumienia i zataczająca łuk wokół jeziorka.

— Patrzcie... — zacząłem.

— To oni — mruknął Karol — ale gdzie jest chata?

— Tam — sierżant wskazał ręką największą gęstwinę. — A teraz szybciej na prerię!

Wyjechaliśmy wreszcie na równinę. Słońce świeciło, trawy gięły się w podmuchach wiatru. Dokoła było pusto. Sierżant i Karol wy-ciągnęli lornetki. Poszedłem za ich przykładem. Przez chwilę nie mogłem dostrzec nic interesującego. Nic prócz blasku rozsłonecznionej przestrzeni. Ale oto, przed samą linią horyzontu, zamajaczyły w szkłach lornetki niewyraźne punkciki sunące ponad morzem traw. Zachęcone przez nas konie ruszyły truchtem, potem cwałem, wreszcie przeszły do galopu. Wiatr furczał, szeleściły trawy rozgarniane końskimi piersiami. Kolba karabinku tłukła mnie po biodrze, wiatr zrywał kapelusz. Pędziliśmy tak może godzinę, potem nastąpił krótki postój.

Uciekinierzy, wyraźnie widoczni w szkłach lornetki, na pewno jeszcze nas nie zauważyli. Byliśmy od nich zbytnio oddaleni.

— Mamy ich, mamy! — sierżant nie ukrywał radości.

— Do zmierzchu powinniśmy ich mieć — uściślił Karol — jeśli tylko konie wytrzymają.

— Ich konie też muszą być zmęczone. Patrzcie — Mitchell przyłożył lornetkę do oczu — zatrzymali się. Jeżeli jechali całą noc, daleko już nie uciekną.

— Mają indiańskie mustangi. To wytrzymałe bestie.

Po pół godzinie ruszyliśmy dalej, ale już nie tym szalonym galopem, co poprzednio. Uciekinierzy nadal tkwili w tym samym punkcie. Widocznie zaplanowali sobie dłuższy postój. Dzieląca nas odległość powoli malała, aż wreszcie niewyraźne sylwetki ludzkie można już było dostrzec gołym okiem.

— Tu stajemy — zadecydował sierżant. — Konie muszą odpocząć, i to solidnie. Gdy oni nas dostrzegą, zacznie się bal, a niewiele już do tego brakuje.

Spętaliśmy konie nie zdejmując siodeł i przyrządziliśmy skromny zimny posiłek. Na rozpalenie ognia Karol nie chciał się zgodzić. Smuga dymu byłaby widoczna ze zbyt dużej odległości, a poza tym nie było czym palić. Odpoczywając, od czasu do czasu spoglądaliśmy ku obozowisku uciekinierów. Nadal nie ruszali się z miejsca. Ich postępowanie było dla mnie zagadką. Czy rzeczywiście mieli aż tak pomęczone konie, czy też na coś, a może na kogoś czekali? Kiedy głośno wyjawiłem swoje myśli, przez dobrą chwilę roztrząsaliśmy wszystkie ewentualne przyczyny ich przeciągającego się postoju, ale nie znaleźliśmy żadnego rozsądnego tłumaczenia.

— Jestem gotów przypuścić, że ich konie ponadwyrężały sobie ścięgna — powiedział niepewnie Karol.

— A ja myślę, że doktor ma rację — orzekł Mitchell, przy czym po raz pierwszy zatytułował mnie doktorem. — Coś w tym się kryje. Tylko co?... Tak czy owak, musimy ich dopędzić nocą.

Paliliśmy fajki, co pewien czas wysuwając głowy sponad traw, aby rozejrzeć się dokoła. Nigdzie chyba tak wyraźnie nie można stwierdzić kulistości naszej planety, jak na prerii, gdzie nic lub prawie nic nie zasiania widoczności, a niebo przypomina klosz nakrywający ziemię. Wodząc lornetką, w pewnej chwili zwróciłem uwagę na jakiś dziwny kształt linii horyzontu przed nami. Cóż to za licho?

— Karolu — zapytałem — co jest przed nami?

Nie od razu zrozumiał, o co mi chodzi.

— Pytam cię — powtórzyłem — co się znajduje przed nami. Nadal preria czy może już las?

— Sam nie wiem. Nigdy chyba jeszcze nie byłem w tych stronach. Co wy na to, sierżancie?

— Ho, ho! — odpowiedział Mitchell. — Do lasów jeszcze szmat drogi. Kanadyjskie lasy zaczynają się daleko stąd na północ.

— Więc co to może być?

Raz jeszcze przyłożyłem lornetkę do oczu.

— No, popatrzcie!

— Nie widzę tutaj nic nadzwyczajnego — stwierdził Karol.

— Czy nie uważasz, że ten horyzont jest jakoś za blisko? Spójrz w przeciwną stronę i porównaj.

Uczynił to i — z wahaniem — przyznał mi rację.

— Co sądzicie o tym, sierżancie? Czy to złudzenie, czy rzeczywiście coś tutaj się znajduje?

Mitchell patrzył i patrzył, jak gdyby chciał przeniknąć wzrokiem tajemnicę rozciągającej się przed nami przestrzeni. Wreszcie opuścił lornetkę.

— Nasz doktor znowu ma rację. To nie jest horyzont.

— A co?

— Linia kolejowa. Nasyp linii kolejowej. Na preriach co prawda nie układa się torów na nasypach, ale tam prawdopodobnie grunt opada i wiosenne wody zalewałyby teren. Zdaje mi się, że oni czekają na pociąg.

— Ale dlaczego? — Albo ktoś ma do nieb przyjechać, albo po prostu sami chcą się zabrać.

— Tak z prerii?

— Az prerii. Pociąg można przecież zatrzymać.

— Co robimy?

— Trzeba ruszać. W przeciwnym wypadku mogą nam uciec, i to raz na zawsze.

Roześmiałem się w duchu z przypuszczeń sierżanta. Wcale nie obawiałem się tego, że morderca zniknie nam z oczu raz na zawsze. Wręcz przeciwnie, on przecież ma plan. A dopóki ma plan, nie przestanie szukać złotodajnych terenów. Spotkanie z nim jest dla nas nieuniknione.

Ruszyliśmy najpierw kłusem, żeby nie zmęczyć koni. W pewnej chwili sytuacja uległa gwałtownej zmianie. Uciekający dostrzegli nas. Sylwetki ludzkie urosły — wskoczyli na konie. Chwilę jeszcze trwali w bezruchu, jak gdyby zastanawiając się, co czynić. Potem pognali przed siebie. Zwiększyliśmy tempo jazdy. Preria przesuwała się nam przed oczami. Głucho dudniły kopyta. Teraz widać ich było zupełnie dobrze. Uciekali wiodąc za sobą luźne konie. Półkole nasypu kolejowego rysowało się coraz wyraźniej. Był niezbyt wysoki, a ku zachodowi zniżał się do poziomu prerii. Prawdopodobnie ciągnął się tylko na niewielkim odcinku.

Po pewnym czasie spostrzegłem, że uciekający zmienili kierunek jazdy. Nie pędzili już ku nasypowi, ale właśnie tam, gdzie go nie było. W ten sposób posuwali się w stosunku do nas po linii ukośnej. Efekt tego postępowania szybko dał się odczuć. Przybliżyliśmy się do nich znacznie. Dlaczego postępują w ten sposób? Czy boją się, że na przebycie nasypu stracą zbyt wiele czasu? Dla ewentualnej obrony sam nasyp stanowił przecież znakomite miejsce na tej płaszczyźnie pozbawionej drzew, pagórków i nierówności.

Upływały minuty, malała przestrzeń dzieląca nas od żelaznego szlaku.

Mitchell, który gnał pierwszy, ściągnął już z pleców karabinek. Za nim Karol. Co się mnie tyczy, nie mogłem pójść za ich przykładem. Musiałbym zatrzymać konia, a tego nie chciałem czynić. Gnałem więc za nimi, pocieszając się myślą, że przy tak szybkiej jeździe długa broń właściwie na nic się nie przyda. Kiedy się zbliżymy, wystarczy rewolwer.

Teraz już rozróżniałem cztery konie uciekających, ich okrągłe kapelusze, a nawet kolorowe koszule. W pewnej chwili dostrzegłem nowe zjawisko. Po ciemnej linii torów, od zachodu, poruszała się jeszcze ciemniejsza i grubsza linia. "Wolno, wolniutko... Wiedziałem, że to złudzenie. Po szynach z największą szybkością gnał pociąg. Jeśli nadjedzie w odpowiednim dla nas czasie, przetnie drogę uciekającym. Jeśli spóźni się o minutę, przetnie drogę nam, bo tamci zdążą przeskoczyć na drugą stronę.

Tak samo musiał rozumować Mitchell, bo odwrócił się, wskazał ręką w kierunku pociągu, coś krzyknął i pochyliwszy się zmusił swego konia do jeszcze szybszego biegu. Poszliśmy za jego przykładem.

Z przestrachem zauważyłem, że mój koń zaczyna się pocić. Zazwyczaj sucha i lśniąca sierść była teraz wilgotna. Jeśli pościg potrwa dłużej niż kwadrans, koń ustanie albo padnie. Tymczasem uciekający byli coraz bliżej nas, ale też coraz bliżej toru i pociągu, który rósł w oczach z każdą chwilą. Dostrzegłem już ciemną smugę dymu ciągnącą się nad parowozem i zarysy wagonów. A oto nowa niespodzianka: grupa uciekających rozbiła się na dwie części. Z początku nie mogłem zrozumieć, o co tutaj chodzi. Ale już po chwili wiedziałem: puścili prowadzone luzem konie, które natychmiast pozostały w tyle. Sytuacja wyglądała teraz tak: od zachodu gnał pociąg, ku szynom galopowało dwóch jeźdźców, potem przerwa kilkuset jardów, dalej — pochylony nad karkiem końskim Mitchell, za nim Karol, znów dłuższa przerwa, na końcu ja, coraz bardziej przestraszony stanem mego konia, który zwalniał biegu w zupełnie widoczny sposób. Postanowiłem, że nie będę go dłużej męczył. Ostatecznie sierżant i Karol — na początek — dadzą sobie radę sami. Spóźnię się jedynie kilka minut.

I nagle sytuacja znów uległa zmianie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pociąg był szybszy od uciekających, mimo iż pozbywszy się zapasowych koni, posuwali się teraz znacznie prędzej. Widać już było, że nie zdążą „przeskoczyć" przed parowozem. Pędzili jednak, jak gdyby się za nimi paliła preria. Byli tuż przy torach, gdy parowóz przeciął im drogę. Sądziłem, że wstrzymają konie. Nic podobnego. Pognali na nich wzdłuż pociągu. Nagle dostrzegłem, jak jeden z jeźdźców unosi się w strzemionach. Jeszcze sekunda — i oto koń bez jeźdźca pobiegł w prerię. Szaleńczy skok! Z końskiego siodła wprost na platformę wagonu. Jakie widowisko dla pasażerów!

Drugi jeździec nadal pędził równolegle z pociągiem. Sierżant i Karol, których dzieliło od torów zaledwie kilkanaście jardów, zaczęli strzelać w górę. Nagle ujrzałem, jak koń zwinął się pod uciekinierem i runął. Po chwili podniósł się i odskoczył w bok. Ostatni wagon przetaczał się dudniąc kołami.

Widziałem, jak Mitchell zatrzymał się przy torach. Zeskoczył z konia i ukląkł. Dopadłem do nich.

— To coś dla ciebie, Janie — powiedział Karol. — Zbadaj, czy jeszcze żyje.

Z twarzą ukrytą w trawie leżał na ziemi mężczyzna w traperskim ubraniu. Kilka kroków dalej spokojnie już pasł się jego koń. Na pierwszy rzut oka wydało mi się, że leżący nie

odniósł żadnych obrażeń. Zbadałem puls i serce. Pył martwy. Nieudany skok do wagonu okazał się śmiertelny.

— No cóż — mruknął sierżant — trzeba go pochować.

Ale najpierw, pozwólcie, że mu przeszukam kieszenie. Widzieliście go może kiedy?

Karol przecząco potrząsnął głową.

— To właśnie mój obrońca... Ech, kieszenie puste.

A tamten uciekł. Widzę, że mam pecha! — Mitchell podniósł się z klęczek otrzepując spodnie.

— I co teraz myślicie robić, sierżancie? — Trzeba ruszać dalej.

— Dokąd?

Wskazał na znikające w dali pasemko dymu.

— Tam. Służba nie drużba. Muszę go ścigać, aż schwytam albo przekażę innym posterunkom. Jeżeli ukryje się w mieście, to już moja rola skończona, ale dopóki jedzie przez prerię, dopóty będę mu deptał po piętach. No tak...

Pożegnamy się. Jedna tylko prośba: połapmy konie. Będziecie chyba wracać tą samą drogą, oddajcie więc mustangi Assiniboinom i pozdrówcie Laughtona. Wyobrażam sobie, jak się ucieszy.

Opuszczona chata

Pożegnanie było krótkie. Mitchell ruszył wzdłuż torów na wschód. Jeszcze z daleka pomachał nam kapeluszem, a potem wysokie trawy zakryły jeźdźca i konia.

Po drugiej stronie toru Karol znalazł małe źródełko w cieniu kilku krzewów. Teraz nie było już powodu do pośpiechu. Wprost przeciwnie, należało dać koniom wytchnienie po tej morderczej jeździe, a koni mieliśmy obecnie aż sześć. Rozpaliliśmy ognisko i zagotowali kawę.

Cóż to była za rozkosz! Nawet suszone mięso, którym obdarowali nas Assiniboinowie, smakowało jak najwspanialsza pieczeń. O zachodzie słońca — piekielnie pomęczeni — położyliśmy się spać.

Rankiem ruszyliśmy z powrotem. Karol bez trudu odnajdywał szlak przebyty poprzedniego dnia. W ten sposób dotarliśmy do miejsca, w którym poprzednio natrafiliśmy na ślady uciekinierów, nad jeziorko otoczone kępami drzew. Tu zatrzymaliśmy konie, a raczej zatrzymał je Karol na samym skraju zarośli. Konie były zdrożone i spragnione, poczuły wodę i niecierpliwie rwały się ku niej.

— Muszą chwilę poczekać. Trzeba najpierw sprawdzić, czy jesteśmy tutaj sami — odparł Karol na moje pytające spojrzenie.

— A któż, do licha...

— Psst, nie mów tak głośno. To jeziorko ma swoją historię. — Zeskoczył na ziemię. — Stój tutaj i nie ruszaj się, nawet gdybyś usłyszał strzał.

To powiedziawszy, z karabinkiem w ręku zniknął mi z oczu wśród pni rosnących tutaj klonów. Nic z tego wszystkiego nie rozumiałem. Wydawało mi się do tej pory, że Karol nie znał tego miejsca, że ujrzał je po raz pierwszy w trakcie pościgu. Cóż więc znaczyły jego słowa o „historii jeziorka"?

Muszę podkreślić, iż od czasu naszej przygody nad Jeziorem Jelenia nie lubiłem jezior; to tutaj, choć niewielkie, wyglądało dość posępnie w cieniu drzew i nie nastrajało wędrowca pogodnie. Było to niewątpliwie ponure miejsce, ale gdyby mnie ktoś zapytał, dlaczego — nie potrafiłbym odpowiedzieć.

Po dłuższej chwili Karol ukazał się znowu wśród drzew.

— Wszystko w porządku, Janie. Prowadź konie do wody. Trzeba je rozsiodłać. Zostajemy na noc. Należy się nam wreszcie porządny odpoczynek pod dachem...

—...Z gałęzi i liści — dokończyłem. — Mylisz się, pod najprawdziwszym dachem. Cóż to, nie pamiętasz, jak pytałem sierżanta, gdzie jest chata?

— Rzeczywiście, zupełnie o tym zapomniałem.

— Pokażę ci ją, ale najpierw zajmiemy się końmi.

Gdy już nasz „tabun" został rozkulbaczony, napojony i pasł się spokojnie wśród gęstej trawy, założyliśmy siodła na plecy i objuczeni jak wielbłądy, powlekliśmy się skrajem jeziorka. Nieco na boku, w cieniu wysokich drzew, wznosił się zapowiadany przez Karola dom. Jego ściany tak zlewały się z tłem otoczenia, że można go było minąć o sto kroków, nawet nie zauważywszy.

Dom — to określenie bardzo ogólne. Ten przypominał raczej jakąś budę, zbitą z grubych bali i topornie połupanych desek. Po prostu obronny blokhauz bez drzwi, z otworami okiennymi zasłoniętymi grubymi tarcicami. Żeby się dostać do wnętrza, trzeba było wejść na płaski dach i stamtąd spuścić się po drabince. Na szczęście w ogóle do tego nie doszło. Domek był tak zniszczony, że nie nadawał się do zamieszkania. Jedna ze ścian odchyliła się od węgła, tworząc tak wielką szparę, że można się było przez nią przecisnąć. Natychmiast to uczyniliśmy. Wewnątrz było widno jak na dworze. Dach istniał tylko we fragmentach. Deski podłogi były powyrywane i potrzaskane. Czarne plamy ziemi zdążyły zarosnąć bujną trawą i jakimiś chwastami o szerokich liściach.

— Do licha z takim domem! — powiedziałem. — Nie podoba mi się to wszystko.

Karol wyraźnie zmarkotniał.

— Myślałem, że znajdziemy go w lepszym stanie... Ktoś tu sobie gospodarzył. I to pewno nieraz.

Popatrzałem na zakopcone ściany, na pajęczynę zwisającą w kącie, na widoczne dokoła przeraźliwe opuszczenie.

— Ja tu spać nie będę — oświadczyłem.

— Masz rację. Nie spodziewałem się, że to tak kiepsko wygląda.

— Przecież znasz ten budynek...

— Mylisz się. Ja tylko o nim słyszałem. Jestem tu po raz pierwszy, tak samo jak i ty. Mitchell już tu kiedyś był, ale teraz chyba tylko przypadek zaprowadził go w te strony.

— Kto zbudował tę chatę?

— O, to długa historia, ale skoro nie mamy zamiaru tu nocować, chodźmy.

Rozpaliliśmy ognisko w cieniu drzew i po raz pierwszy od wielu dni leżeliśmy, beztrosko gawędząc. Dopiero teraz miałem okazję — bez zbytecznych świadków — zapytać Karola, co dały oględziny map w faktorii. W odpowiedzi wyciągnął z kieszeni szkic, jaki tam wykonał. Było to czytelne przeniesienie zasadniczych punktów geograficznych z urzędowej, chyba bardzo dokładnej mapy Gór Skalistych i terenów z nimi sąsiadujących.

— Porównując ten szkic z mapkami człowieka z blizną — wyjaśnił mój towarzysz — będziemy mogli wreszcie ustalić, gdzie znajduje się Dolina Siodła i jaka przestrzeń dzieli ją od Ukrytego Miasta. Zrobimy to razem z Czerwoną Chmurą, po powrocie do Oden-na-ka-inne-he-kaj.

Zgodnie doszliśmy do wniosku, iż po oddaniu koni właścicielom należy wracać do obozowiska Czarnych Stóp i czas pozostały do jesieni wyzyskać na odszukanie tego, co w swych myślach określałem mianem skarbu.

— No, a teraz powiedz, Karolu, co to za historia z tą chatą?

Z namaszczeniem nabił fajkę i przyłożył do niej rozżarzony węgielek. Dmuchnął dwa razy dymem, poskrobał się za uchem i zastygł w niemej kontemplacji.

— Więc? — zapytałem nie starając się ukryć ciekawości. — Cóż z tą chatą, u licha?

Podświadomie wyczuwałem, że zwalona rudera ma jakiś związek ze ściganym przez nas bandytą. Oczekiwałem nawet, że Karol potwierdzi moje przypuszczenia.

— Namyślam się, od czego zacząć — powiedział po upływie długiej chwili. — Pierwszy raz o tej chacie usłyszałem przed kilku laty. Mówił mi o niej człowiek, który również nigdy tutaj nie był. Dlatego sądziłem, że jest to raczej jedna z tych opowieści prerii, którą przekazują sobie z ust do ust wędrowcy spotykający się przy wieczornych ogniskach. Wiadomo, że wtedy najlepiej się rozmawia, a ponieważ trudno sprawdzić, gdzie kłamstwo, a gdzie prawda — opowiadający koloryzują i dodają szczegóły wysnute z bujnej fantazji. Otóż mnie opowiedziano o trzech awanturnikach, którzy na pograniczu Gór Skalistych odkryli prawdziwą kopalnię złota. Miały się w niej znajdować grudki złota rodzimego, co istotnie zdarza się niekiedy, ale bardzo rzadko. Jak tam było, tak było, dość że trzej poszukiwacze zbyt długo zasiedzieli się w górach.

Nadeszła jesień zwiastująca rychłą zimę.

Wracali podobno obładowani woreczkami cennego kruszcu, ale za to kiepsko zaopatrzeni w żywność. Zaczęły się jesienne szarugi. Czyż możesz sobie, Janie, wyobrazić, jak przyjemnie wygląda wówczas preria? Podczas jazdy w taką szarugę pierwszy z nich po prostu zwalił się w głęboką rozpadlinę gruntu. Nic mu się zresztą nie stało, trochę tylko się potłukł, ale jego koń złamał nogę. Odtąd jechali jeszcze wolniej. Na domiar wszystkiego nie było na co polować. Kiedy dowlekli się nad to jeziorko, spadł pierwszy śnieg.

Musieli być bardzo wyczerpani, a ich konie u kresu sił, bo postanowili podobno przezimować. Pomysł na pewno nie był najlepszy. Mimo to teraz podziwiam ich. Bo to właśnie oni zbudowali tę chatę. Możesz sobie wyobrazić, ile wysiłku to kosztowało. No i jakoś przezimowali, ale kosztem dwóch pozostałych koni.

— Jak to?

— Po prostu, zjedli je. Kiedy nadeszła wiosna, ruszyli w dalszą drogę. Odtąd wszelki ślad po nich zaginął.

— I to wszystko? — zapytałem rozczarowany.

— Czego jeszcze chcesz? Assiniboinowie, którzy kręcą się po tych terenach, znają tę historię. Jeziorko i całe jego otoczenie uważają za ziemię, na której ciąży przekleństwo. Zły duch porwał trzech białych za to, że złakomili się na złoty piasek. I nigdy tu nie zaglądają, czego nie można powiedzieć o ludziach innego koloru skóry... Przypuszczano, że trzej piesi wędrowcy nie mogli zabrać z sobą całego zapasu złota. Wieźli je przecież na koniach. Część

więc musieli ukryć. Znaleźli się tacy, którzy tu trafili. Czy odkryli cokolwiek, nie wiem. Opowieść o tym milczy. Nie bardzo w nią zresztą wierzyłem, ale teraz... Chata stoi, więc coś z prawdy w tym jest. Zastanawiam się również, czy uciekający przed nami skierowali się tutaj przypadkiem, czy mieli w tym jakiś cel?

— Jaki?

— Przypuśćmy, że jeden z nich należał kiedyś do zaginionej trójki odkrywców. Rozumiesz, co by z tego wynikało?

Pomyślałem chwilę i nagle cała ta zielona, piękna preria wydała mi się potwornie wstrętna. Kraina zamieszkiwana przez mordujących się wzajemnie zbójów! Cóż tu ma do roboty zwykły uczciwy człowiek?

— Czy rozumiesz, Janie? — powtórzył Karol.

— Aż nazbyt dobrze — powiedziałem podrażnionym tonem. — Opryszek, którego ścigaliśmy, może być jednym z trzech odkrywców, ale co się stało z jego towarzyszami?

— O to samo mógłbym ciebie zapytać.

— A teraz — mówiłem dalej — jeżeli to rzeczywiście on, to Joe Lawson i Harry Smoth zginęli nie dlatego, że chciał im wydrzeć tajemnicę pokładów złota, ale dlatego, że to oni przypadkowo odkryli tajemnicę jego własną. W konsekwencji na jedno zresztą wychodzi... Pomyśl tylko: odkrycie pokładów złota pociągnęło za sobą śmierć — chyba tak? — dwóch wspólników, potem śmierć Lawsona i Smotha, potem Indianina, potem nie znanego nam osobnika w górach, a teraz jeszcze dochodzi ten, który tak nieszczęśliwie skakał do pociągu. Okropne! Gdybym przeczuwał coś podobnego, nigdy bym się z tobą, Karolu, nie wybrał na prerię. Już wolę swoje chirurgiczne operacje. "Wiem, że w ten sposób niosę komuś pomoc, ale tu?...

Umilkłem i zacząłem zgarniać węgle. Karol przez chwilę pociągał dym z fajki. Słońce chyliło się ku zachodowi i nastała ta przedwieczorna cisza, podczas której usłyszeć można szczekanie kojota odległego o dziesiątkę mil. Mój towarzysz westchnął.

— Dużo w tym prawdy, Janie. Któż by przypuszczał, że tak się sprawy potoczą? Wpadliśmy rzeczywiście w jakąś kryminalną kabałę... A początkowo uważałem, że znalezienie planów kopalni złota to jakieś cudowne zrządzenie losu. W gruncie rzeczy niewiele mnie obchodzi mniejsza czy większa kupka złota, ale to odkrycie zbiegło się z planami Czerwonej Chmury. Czarnym Stopom potrzebny jest złoty pył dla spełnienia wielkiego, naprawdę wielkiego dzieła...

— Niezupełnie cię rozumiem...

— Ba, nie mam prawa mówić więcej. Myślę, że jak teraz spotkamy się z Czerwoną Chmurą, wiele spraw stanie się dla ciebie jasne. Zrozumiesz.

— Oby! Ale nie chciałbym więcej oglądać tego mordercy.

Czarno już było, gdy posnęliśmy z głowami opartymi o siodła, nakryci derkami. Żaden z nas nie czuwał tej nocy. Nareszcie nie groziło nam niebezpieczeństwo.

Rankiem ruszyliśmy w dalszą drogę wzdłuż strumienia, który doprowadził nas do rzeczki. Tym razem nie było potrzeby posuwania się wąwozem. Spotkanie Assiniboinów było nam tylko na rękę. Do obozowiska trafiliśmy jednak dopiero następnego dnia.

Nastąpiła konieczna w takich wypadkach uroczystość powitania i — jak mnie informował Karol — szereg pochwalnych mów, których kwiecistości mogłem się tylko domyślać.

Mimo gorących zaproszeń Assiniboinów tego samego jeszcze dnia ruszyliśmy dalej. Nie oparliśmy się, aż nad rzeką, do której dotarł pożar prerii. Teraz jeden jej brzeg mienił się rozmaitymi odcieniami traw, drugi wyglądał jak przypalony placek. Wpędziliśmy konie do wody, aby się orzeźwiły przed najtrudniejszym odcinkiem podróży. Sami poszliśmy w ich ślady. Kąpiel przeciągała się, aż wygnało nas z niej słońce, czerwoną kulą staczające się ku zachodowi. Jechać na noc nie było bezpiecznie. Ruszyliśmy więc dopiero rankiem, nabrawszy wody w skórzane wory i narwawszy trawy dla koni. Na szczęście było ich już tylko cztery, ale właśnie te wory nie pozwoliły na szybszą jazdę. Więc znowu nocleg wśród spalonej prerii.

Następnego dnia odnaleźliśmy jeziorko, nad którym obozowaliśmy, gdy zaskoczył nas pożar. Teraz była to jedyna oaza zieleni.

Dalsza jazda upłynęła bez żadnych niespodzianek. Wreszcie dotarliśmy po raz drugi do Osady Dziesiątej Mili. Roześmiałem się wspomniawszy, jak przyrzekałem sobie, że noga moja więcej tu nie stanie. Teraz osada wydała mi się miejscem zupełnie miłym. Kiedy uwiązaliśmy konie u palików werandy saloonu, pierwszy wkroczyłem do mrocznego wnętrza.

Właściciel, jak zwykle stojący za szynkwasem, automatycznym ruchem przysunął szklaneczkę i sięgnął po butelkę. W tej samej chwili podszedł Karol.

— Jak się macie? — zapytał.

Gospodarz dopiero teraz nas poznał.

— O, to panowie znowu? — i tym samym automatycznym ruchem odstawił butelkę.

— Przyprowadziliśmy skradzione konie Laughtona. — Tak prędko?

— Niech pan naleje — powiedziałem. — Dwa.

Karol kiwnął głową. Po wielu dniach siedzenia w siodle nie ma nic przyjemniejszego, jak stać niedbale opartym o byle jaki szynkwas byle jakiej knajpy. Teraz pojąłem, dlaczego traperzy, policjanci z Królewskiej Konnej, włóczęgi z końca świata po tygodniach spędzonych na koniach ciągną do pierwszego lepszego saloonu jak ćmy do światła.

— Znalazły się konie? Kto by to myślał?... — dziwił się właściciel gospody. — A dla panów to mam coś lepszego — dodał nagle. — Laughton już wie? Nie? To się dopiero ucieszy!

Sięgnął na półkę i zdjął pokrytą kurzem butelkę.

— Tego tu nikt nie pija. To dla znawców. — Ostrożnie odkorkował i nalał do szklanek. — Prawdziwa „Canadian Club" Hirama Walkera. Spróbujcie.

Spróbowałem, a potem wypiłem do dna. Od razu minęło zmęczenie. Była to kanadyjska whisky, może nie tak dobra, jak jej angielskie pierwowzory, ale mimo to doskonała.

— Zostają panowie na noc?

Skinąłem głową.

— Konie zaprowadźcie do stajni, tylko dwa — dodał Karol. — Tamte zabieramy do Laughtona. Co dostaniemy do jedzenia?

— Pieczeń. Mam wspaniałą pieczeń.

Wizja znienawidzonej przedtem pieczeni wydała mi się teraz kulinarnym rajem. Jak to preria potrafi zmieniać ludzi!

Wyszliśmy obiecując rychły powrót.

Brama faktorii i tym razem była na głucho zamknięta. Na nasze pukanie odsłoniło się okienko w furtce, ukazała się znajoma twarz. Indianin poznał nas natychmiast, bo furtka uchyliła się ze zgrzytem.

— Trzeba otworzyć bramę — polecił Karol. — Mamy konie.

Indianin skinął głową. Zniknął na chwilę, a potem zachrobotały wielkie wrzeciądze. Wprowadziliśmy konie na podwórze. Czerwonoskóry przypatrzył się im w milczeniu.

— Zaraz powiadomię pana Laughtona — powiedział i odszedł.

Nie czekaliśmy długo. Tym razem Laughton nie przysłał służącego. Sam wyszedł naprzeciw. Zobaczywszy konie, dosłownie skamieniał. Spoglądał osłupiałym wzrokiem to na zwierzęta, to na nas. Nie wiem, jak długo jeszcze trwałoby to wymowne milczenie, gdyby nie przerwał go Karol.

— Poznaje pan? To pańskie rumaki.

Laughton złapał wreszcie oddech.

— Nadzwyczajne! Nie do wiary! W tak krótkim czasie!

Chodźcie, panowie, chodźcie!

Zaprowadził nas na górę, do swego prywatnego pokoju. — Trzeba to uczcić! Przepraszam na chwilę. Zniknął w sąsiedniej izbie. Kiedy znowu się pojawił, niósł tackę ze szklankami i butelką.

— Pozwólcie, to trunek dla znawców. Prawdziwa „Canadian Club" Hirama Walkera...

O mało nie parsknąłem śmiechem. Kropka w kropkę to samo powiedział nam właściciel „Białych Koni". Był widać pojętnym uczniem faktorii.

Kiedy wypiliśmy, Karol musiał opowiedzieć przebieg całego naszego pościgu za złodziejami. Podkreślił przy tym, że największa zasługa w odzyskaniu koni przypada bezspornie sierżantowi Mitchellowi.

Wkrótce pożegnaliśmy Laughtona, mimo iż starał się nas zatrzymać jak najdłużej. To było na pewno szczere. Nudził się tutaj jak mops.

Wróciliśmy do oberży, gdzie czekała na nas tradycyjna pieczeń. Szybko się z nią uwinęliśmy. Usłużny gospodarz przywołał chłopca, który zaprowadził nas na pięterko, do jednego z gościnnych pokojów. Karol natychmiast otworzył okno, za którym w niebieskim zmierzchu widać było daleką przestrzeń.

— To cud prawdziwy — zauważyłem — że ogień nie dotarł aż tutaj. Wszystkie te budy spłonęłyby jak wiązka słomy.

— Takie właśnie cuda zdarzają się na prerii. Doprawdy, trudno je niekiedy wytłumaczyć.

Istotnie, po dziś dzień nie mogę sobie wyjaśnić, dlaczego pożar nie dotarł do Dziesiątej Mili. Kiedy jechaliśmy do osady, pas spalonej prerii urwał się nagle, jak nożem uciął. Może to burza, która nas spotkała, ugasiła ogień?

Nazajutrz ruszyliśmy w dalszą drogę. Nad horyzontem powoli wznosiła się kula słońca. Rosa srebrzyła się na kiściach traw, od ziemi ciągnął jeszcze chłód nocy.

Jechaliśmy teraz ku zachodowi. Było zupełnie cicho, najmniejszy powiew nie marszczył zielonej powierzchni prerii.

Jechaliśmy obok siebie, wystawiając plecy ku pierwszym promieniom słońca.

— No, Janie — odezwał się Karol — myślę, że najgorsze mamy już za sobą...

Szykuje się nowa wyprawa

Znowu jesteśmy w Oden-na-ka-inne-he-kaj, w Ukrytym Mieście. Leżę w tipi na niedźwiedzich skórach. W drugim kącie śpi Karol. Przez otwór wejściowy widzę księżyc sunący po niebie, raz po raz przesłaniany chmurami.

Jest cicho. Wrzaskliwe psy indiańskie dawno już się uspokoiły. Przybyliśmy tutaj, po tej męczącej wędrówce, niby przez nikogo nie zauważeni, a przecież nad wieczorem uroczyście powitani przez całą starszyznę Ukrytego Miasta. Tradycyjna fajka pokoju, a potem opowieść Karola, której wszyscy wysłuchali w skupieniu. Przemawiał językiem Czarnych Stóp. Mam do niego żal, że do tej pory nie nauczył mnie chociaż kilku okolicznościowych zwrotów.

Kiedy ognisko się dopaliło, młody Indianin zaprowadził nas do tipi, w którym znaleźliśmy już uprząż naszych koni i broń. Za wcześnie było na spanie, ruszyliśmy więc spacerkiem przez całą długość „miasta". Gawędziliśmy to o tym, to o owym.

— Wiesz, Karolu — powiedziałem w pewnej chwili — bardzo bym chciał mieć kompletny strój Indianina. To byłaby ładna pamiątka. Zwłaszcza, na przykład, fajka pokoju...

Roześmiał się cicho.

— Strój może jakoś wytrzaśniemy, chociaż nie wiem, co im w zamian za to ofiarować. Oczywiście prosić można o strój zwykłego wojownika. O pióropuszu wodza nie ma co marzyć. Można by go dostać dopiero razem z... godnością. A fajkę pokoju wybij sobie z głowy.

— Dlaczego?

— Przyjrzałeś się dokładnie takiej fajce?

— Skądże! Zbyt krótko miałem ją w ręku. Główkę ma zrobioną z jakiegoś nie znanego mi kamienia.

— Istotnie, ten kamień jest mało znany wśród bladych twarzy. Czerwonoskórzy jednak świetnie się orientują, gdzie go można odszukać. Jego pokłady znajdują się w jednej tylko miejscowości, w stanie Minnesota. Jeździłem tam kiedyś. Wysiada się koło osady Pipestone, a stamtąd jeszcze kawałek drogi wzdłuż malowniczych różowych skałek. Po dziś dzień odbywają się wędrówki Indian po ten cenny i podobno niezastąpiony przy wyrobie fajek surowiec. A w ogóle cała tamta okolica jest jakimś uświęconym w mniemaniu Indian miejscem. Pierwszy z białych zwiedził tę dziwną kopalnię George Catlin. W roku 1837 zdobył kawałek różowego kamienia i nawet dokonał analizy chemicznej. Odtąd kamień fajkowy nazywa się powszechnie catlinitem.

— Na stałe nie chciałbym jednak takiej fajki. Kamienna główka może tylko pogorszyć smak tytoniu.

Karol parsknął śmiechem.

— Och, naiwniaku! Czerwonoskórzy nie palą fajek dla przyjemności. Nawet się nie zaciągają. Wiele plemion nie używa przy tym tytoniu, tylko mieszanki kilku roślin leśnych i kory drzew.

— Więc po licha palą?

— Jest to obrzęd uświęcony wielowiekową tradycją. Tradycyjne też jest używanie catlinitu, a nie innego materiału do wyrobu fajek. Musisz wiedzieć, że wypalenie fajki jest dla Indian dopełnieniem, jak gdyby przypieczętowaniem jakiegoś ważnego aktu. Fajki pali się, gdy zawierają pokój wrogie szczepy, fajki pali się, gdy czerwonoskórzy goszczą u siebie cudzoziemca. Nie jest to bynajmniej akt formalnej grzeczności, ale zobowiązanie, że

gościowi podczas pobytu u nich nawet włos z głowy nie spadnie. Jeżeli fajkę wypalisz ze zwykłym wojownikiem, możesz być pewien, że z jego strony nic ci grozić nie będzie. Jeżeli ją wypalisz z wodzem plemienia, uchroni cię to przed wszystkimi podległymi mu wojownikami. Powiem ci więcej: Indianin, który udaje się do Pipestone po surowiec do wyrobu fajek, na zasadzie umownego prawa chroniony jest przed wszelką napaścią lub krzywdą. Nie znam wypadku złamania tego prawa przez jakiegokolwiek Indianina. Myślę, że ten, który by je złamał, zostałby wyrzucony poza nawias indiańskiej społeczności.

— Rozumiem. Powiedz mi jeszcze, Karolu, co właściwie oznacza słowo „calumet"?

— Po pierwsze, nie jest to słowo z języka czerwonoskórych. Dawniej w ogóle go nie znali, obecnie przyswoiło je sobie sporo plemion. Widzisz, cybuchy wielu fajek indiańskich przyozdabiane są bardzo bogato lub nabijane cennymi kamieniami. Francuzi, kiedy tu przyszli po raz pierwszy, nazwali indiańskie fajki fujarkami, po francusku „chalumeau". Po przekręceniu tego słowa powstał „calumet", oznaczający obecnie już nie tylko fajkę, ale akt jej wypalenia. To chyba wszystko, co mogę ci powiedzieć. Wniosek: nie licz za bardzo na otrzymanie fajki pokoju i nawet nie proponuj tego żadnemu z czerwonoskórych.

Doszliśmy już do krańców Ukrytego Miasta. Dalej ciągnęła się preria, a na horyzoncie — zamazane, zasnute wieczorną mgiełką zarysy wzniesień.

— Wracajmy — zaproponował Karol.

— Chętnie się położę, czuję jeszcze w kościach drogę.

Jednakże nie sądzony mi był szybki odpoczynek. Gdy wracaliśmy, zaszedł nam drogę czarownik Czarnych Stóp. Dziś

podejrzewam, że to spotkanie ukartowane zostało z Karolem. Poczęli mnie zagadywać, aż wreszcie — sam nie wiem, jak i kiedy — znalazłem się w tipi Czerwonej Chmury. Panował tu mrok rozjaśniony małą lampką oliwną, której nikły płomień chwiał się na końcu knota zanurzonego w płynnym tłuszczu.

Usiedliśmy. Chwilę trwało milczenie, potem zaczął mówić Indianin.

— Mój biały brat — powiedział zwracając się do mnie — jeszcze nie wie, że razem z Wielkim Bobrem odkryliśmy miejsce, gdzie znajduje się złoty piasek.

Drgnąłem. Kiedyż, u licha, zdążyli to odkryć?

— Odkryliśmy to miejsce na papierach — mówił dalej Czerwona Chmura. — Wielki Bóbr obliczył, że dzieli nas od złotego piasku może sto mil. Nie jest to daleko, ale droga prowadzi przez góry i dlatego dotrzeć tam można tylko wówczas, gdy słońce jest wysoko. Od Dużej Wiosny do Małego Kasztana. -— Niewiele z tego zrozumiałem, ale później Karol wytłumaczył mi, że Duża Wiosna jest odpowiednikiem miesiąca kwietnia, a Mały Kasztan oznacza wrzesień. — Teraz mamy na to jeszcze czas. Mój biały brat na pewno dziwi się, że mnie i memu plemieniu tak bardzo zależy na złotym piasku... Mój biały brat wie również, że Indianie nie chcą uczyć się języka bladych twarzy, nie chcą ich szkół i nauczycieli. A przecież można mówić językiem Wielkiego Ojca z Ottawy i nie stracić własnej twarzy... Połączone plemiona Dakota pobiły nad Little Big Horn River wojska Custera i cóż z tego? Sitting Buli — jak wy go nazywacie, Tatanka Yotanka — jak my go nazywamy — musiał uchodzić na północ. Moi czerwoni bracia nad Little Big Horn River walczyli bronią, którą a byli od białych handlarzy... I strzelby, i kule, i proch. I cóż z tego?

Odetchnął głęboko i przerwał na chwilę. Nie mogłem jeszcze zrozumieć, do czego zmierza Czerwona Chmura. Zerknąłem na Karola, ale nie odezwał się ani słowem. Wydało mi się, jakby cień uśmiechu przemknął po jego twarzy.

— Tak — podjął przerwaną myśl Indianin — nie robimy broni, która wyrzuca pioruny. Moi czerwoni bracia umieją tylko giąć drzewo na łuki, na strzały, na oprawę do tomahawków. Czynią dziś to samo, co czynili jeszcze ojcowie naszych ojców, kiedy na tych ziemiach zamieszkiwały plemiona liczne jak ziarnka piasku, a stada bizonów często przemierzały prerię. Nie istniały wtedy kamienne wigwamy w miastach bladych twarzy.. Któż zawróci wody rzeki spływającej z gór? Kto wstrzyma słońce i nakaże powrócić dawnym dniom? Znam kamienne miasta białych, znam język, którym się porozumiewają. Jako mały chłopiec zostałem porwany i wywieziony stąd nad słone wody. Mieszkałem w kamiennym wigwamie, ale blada twarz, która mnie porwała, troszczyła się o mnie jak ojciec. To on nauczył mnie tylu mądrości nie znanych memu plemieniu. Po wielu latach wróciłem. Wróciłem, aby uczyć moje plemię innego życia. Wielki wódz Czarnych Stóp przychylił ucha mym radom i oto pracujemy razem. Trudna to sprawa. A przecież nadejdzie czas, gdy wyginą ostatnie bizony. Trzeba będzie wtedy opuścić ziemię ojców i iść na północ, do wielkich puszcz, pełnych jeszcze zwierzyny. Ale wojownicy Czarnych Stóp są synami prerii i wyginą wśród lasów. Cóż więc można uczynić, aby tu pozostać?... Myślałem długo, aż Wielki Duch objawił mi prawdę. Zanim padnie ostatni bizon na tej prerii, trzeba, aby pasło się tu łaciate bydło bladych twarzy. Czarne Stopy mogą paść na tej ziemi tysiące łaciatych krów, a mięso ich i skóry sprzedawać do kamiennych miast. Ale to jeszcze nie wszystko. Mój lud musi nauczyć się nowych prawd. Trzeba sprowadzić nauczycieli, aby swą mądrość przekazali moim braciom. Żeby to wszystko stać się mogło, potrzeba nam złotego piasku... Kiedy Wielki Bóbr i mój biały brat znaleźli papiery, na których wyrysowana jest droga do źródeł złotego piasku — było to zrządzenie Wielkiego Ducha. Wielki Bóbr zna moje myśli, więc gdy spojrzał na papiery, powiedział do mnie: „Oto jest skarb, oto stada łaciatych krów, oto nauczyciele i szkoły Czarnych Stóp, ale biada, jeśli ktoś dowie się o naszym odkryciu". Wielki Bóbr pełen jest mądrości. Rzekł to, o czym ja myślałem. Howgh!

Opuścił głowę na piersi i trwał tak w milczeniu, jak gdyby wyczerpany długą przemową. Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć i czy w ogóle trzeba odpowiadać. Byłem zaskoczony. Jakiż olbrzymi plan rozwinął przede mną czarownik Czarnych Stóp! Czy mogą się spełnić te zamierzenia? Ba, potęga złotego piasku w społeczeństwie białych jest nieograniczona. Lecz ile tutaj potrzeba wysiłku? Zamyślony milczałem.

— Nasz czerwony brat może być spokojny — odezwał się Karol. — Nikt się nie dowie, gdzie spoczywa złoty piasek. Obydwaj pomożemy Czarnym Stopom w odnalezieniu skarbu, a ja jestem gotowy do załatwienia wszystkich spraw w kamiennych miastach, jeśli tego będzie potrzeba. Czy nie tak, Janie?

Skinąłem głową.

— Musimy ustalić termin wyprawy po złoty piasek. Myślę, że ruszymy nie wcześniej jak za siedem dni. Trzeba dać wypocząć koniom. Co o tym sądzi Czerwona Chmura?

— Zgadzam się z Wielkim Bobrem.

— A teraz sprawa druga: jak liczna ma być ta wyprawa?

— Nasi wojownicy umieją milczeć, ale im mniej oczu, tym mniej ust do mówienia. Dwóch powinno wystarczyć. Razem z nami będzie pięciu. Co na to mój biały brat?

— Słusznie mówi Czerwona Chmura. Przez usta Czerwonej Chmury przemawia sama mądrość.

Wstaliśmy jednocześnie. Był to koniec narady.

Teraz rozmyślałem nad tym wszystkim, wpatrzony w srebrną smugę księżycowego blasku. Dokąd mnie zaprowadziły ścieżki życia? I dokąd powiodą dalej? Skromny lekarz z Milwaukee wtajemniczony w plany indiańskiego plemienia! To dziwne, to po prostu niesłychane!

Sam nie wiem, kiedy zasnąłem. Śniły mi się tysiące indiańskich fajek pokoju o najdziwaczniejszych kształtach. Z głowic tych fajek unosił się jednak nie dym lecz złoty pyl, który utworzył wielki obłok. Obłok mienił się metalicznym blaskiem, potem zaczął różowieć, aż wreszcie stał się purpurowy. Wtedy znikł. Na jego miejscu wyrosła postać Czerwonej Chmury. Spoglądał na mnie groźnie i przenikliwe, na koniec zdjął z włosów barwną opaskę i podał mi ją na wyciągniętej dłoni. Przebudziłem się. Była jeszcze noc.

Znowu w drodze

Tydzień minął. Wyruszyliśmy w drogę. Czerwona Chmura, dwóch indiańskich wojowników, Karol i ja jechaliśmy najpierw dokładnie tym samym śladem, którym przed tygodniami ścigaliśmy uciekinierów — brzegiem rzeki ku sinym zarysom gór. Nad wieczorem równina prerii poczęła się wznosić, przechodząc stopniowo w faliste pagórki. Zatrzymaliśmy się na nocny postój w tym samym miejscu co wówczas. Na szczęście tym razem pogoda dopisała.

Następnego dnia dotarliśmy do strumyka, tego samego, na który natrafiłem zbłąkawszy się we mgle podczas ostatniej wyprawy w te strony. Strumyk zwężał się z każdą przebytą milą, aż wreszcie znikł w zielonej podmokłej dolince. Ominęliśmy ją szerokim łukiem. Jeszcze dzień jazdy i oto rzeka, nad którą wypadł nam południowy postój.

Zarysy gór były już zupełnie wyraźne. Nad kopulastymi pagórkami sterczały wyniosłe, sięgające nieba, poszarpane szczyty.

Wojownicy indiańscy rozpalili ognisko, nic jednak nie gotowali i nie jedli. Jak stwierdziłem później, Indianie podczas podróży pożywiają się tylko dwa razy dziennie. Ich konie, niezwykle wytrzymałe, potrafią nieść jeźdźców od świtu do zmroku. Ja z Karolem piliśmy tradycyjną kawę, zagryzając podpłomykami. Czerwonoskórzy siedzieli jak posągi, nie odzywając się słowem. Po dwóch godzinach znaleźliśmy się znowu na siodłach. Posuwaliśmy się gęsiego, rozmowa była więc niemożliwa.

Nad wieczorem niebo pociemniało. Zanim zdążyliśmy zsiąść z koni, spadła gwałtowna ulewa. W ciągu sekundy, przemokłem od czubka głowy do pięt. Strumienie spływały po plecach, woda chlupotała w butach. Z szerokiego ronda kapelusza ciekło jak z parasola. Drżąca, migotliwa ściana deszczu otaczała nas ze wszystkich stron. Nagle powstały małe rzeczki i z szumem torowały sobie drogę wśród powalonych ulewą traw.

Widowisko nie trwało jednak dłużej niż kilka minut. Równie nagle dmuchnął wiatr i ulewa poczęła szybko się oddalać. Zrobiło się chłodno. Szczękając zębami, zeskoczyłem z konia. Moi towarzysze byli niemniej przemoknięci. Czerwona Chmura i dwaj jego wojownicy przyjmowali to z kamiennym spokojem, Karol pomstował podobnie jak ja. Nadciągała noc i należało szybko rozpalić ognisko. Ba, ale z czego? Nie po raz pierwszy miałem wówczas

okazję podziwiać przezorność Indian. Każdy z nich wiózł z sobą wiązkę suchych patyków. Jak je uchronili od zamoczenia, nie potrafię wytłumaczyć. Chrust został szybko ułożony w mały kopczyk. Karol sięgnął po zapałki i... I nic z tego nie wynikło. Zapałki zamokły. Wyciągnąłem z juków kilka swoich pudełek. Kroplami ściekała z nich woda. Prawdziwy pech!

Czerwona Chmura popatrzał na nasze zgnębione twarze. Zagadał do swoich wojowników. Karol nagle nabrał humoru.

— Będzie ogień — powiedział.

— Mają zapałki?

— Nie, ale zobaczysz. Uważaj teraz.

Patrzyłem więc pilnie. Młodszy z wojowników wyciągnął z worka kołek ostro zastrugany po obu końcach i płaską deseczkę. Położył ją na ziemi, postawił na niej sztorcem kołek, a jego przeciwległy koniec przycisnął płaskim ka-mieniem, o który oparł się piersiami. Teraz wokół kołka owinął kawał sznura i zaczął ciągnąć za jego końce. Kołek obracał się raz w prawo raz w lewo. Trwało to dość długo. Tak długo, aż doszedłem do wniosku, iż cała ta męcząca robota nie przyniesie żadnych rezultatów. Z czoła Indianina grubymi kroplami kapał pot. Żal mi się zrobiło chłopaka. Nagle z końca kołka świdrującego deskę poczęła się unosić smużka szarego dymu. Na ten widok przyskoczył drugi z czerwonoskórych i począł sypać wokół kołka jakiś szary proszek. Szybko buchnął płomień. Wystarczyło kilka patyczków, aby przenieść ogień na przygotowany chrust. Natychmiast pościągaliśmy z siebie mokre ubrania i buty.

— No i co na to powiesz, Janie?

— Nigdy bym nie uwierzył, gdybym nie widział.

— Ba, trzeba wiedzieć, jak się wziąć do rzeczy. Kiedyś próbowałem sam, ale nic z tego nie wyszło. Wolę krzesiwo i hubkę.

— A jaki to był proszek?

— Po prostu proch strzelniczy. Nie mieli pod ręką wysuszonego mchu ani hubki.

Ogień, stale podsycany, trzaskał wesoło. Czerwonoskórzy — nie wiem skąd — przytaszczyli gałęzie jakichś krzewów. Potem piekli mięso na patykach. Perspektywa spędzenia tu nocy nie wyglądała najgorzej, chociaż żaden z nas nie odważyłby się położyć na wilgotnej trawie. Na szczęście ubrania podeschły, a Indianie z jednej strony — tej, z której wiał wiatr — zrobili z desek, siodeł, koców i palików coś w rodzaju ściany, która chroniła plecy od chłodu. Myślę, że tylko dzięki temu uniknąłem wówczas przeziębienia.

Nazajutrz zbliżyliśmy się znacznie do gór. Przed nami rozciągały się górskie doliny, gdzie nie stąpała chyba dotąd noga człowieka. Nad nimi pięły się porosłe lasami zbocza. Nad lasami widoczne były pasma krzewów, potem łąki, a wyżej już tylko kamieniste piargi lub lita skała. Gdzieniegdzie oczom naszym ukazywały się nagie, spłukane deszczami turnie, sterczące nad doliną niby warowne baszty średniowiecznego zamku.

Pogoda dopisywała, nie brakło paszy dla zwierząt, a skalne potoki, o wodzie kryształowo czystej i zimnej jak lód, raz po raz przecinały nam drogę. Parokrotnie obserwowaliśmy orły krążące po niebie, nie dostrzegliśmy natomiast tropów żadnej zwierzyny. Zapasy zabrane z Ukrytego Miasta już się wyczerpywały, a wyżywić pięć osób to sprawa wcale niełatwa. Dlatego też, gdy zatrzymaliśmy się któregoś wieczoru w zacisznej dolince, postanowiliśmy

cały następny dzień poświęcić na polowanie. W tych stronach, według zapewnień Czerwonej Chmury, żyły niedźwiedzie, jelenie, sarny, kozły i dzikie króliki.

Rankiem ruszyliśmy we czterech, pozostawiając jednego z wojowników przy koniach. Okolica była całkowicie bezludna, więc spotkanie z człowiekiem, którego w tych stronach należało unikać, nie wydawało się prawdopodobne.

Po wdrapaniu się na szczyt najbliższego wzgórza rozdzieliliśmy się. Na odgłos strzału wszyscy mieli natychmiast ruszać w kierunku stanowiska strzelca.

Odłączywszy się od towarzyszy, obrałem kierunek na prawo od wzgórza. Za nim znajdowała się druga dolinka, bliźniaczo podobna do tej, w której rozbiliśmy obozowisko. Jej zbocza porośnięte były niskimi krzewami. W dole ciągnął się zielony kobierzec traw. Posuwałem się wolno, rozglądając się uważnie dokoła i pilnie szukając jakichkolwiek śladów. Niestety, nic nie znalazłem. Począłem więc wdrapywać się na przeciwległe zbocze, w miarę przerywanej drogi coraz bardziej strome. Wysoko nade mną sterczał poszarpany szczyt.

Pożałowałem wyboru tak uciążliwej drogi i pewnie byłbym zawrócił, gdyby nie to, że obejrzawszy się stwierdziłem, iż przewędrowałem już większość dzielącej mnie od szczytu odległości.

Odsapnąwszy chwilę, począłem wspinać się dalej. Pot zrosił mi czoło, koszula przylepiła się do pleców. Na szczęście do szczytu nie było już daleko. Znowu przystanąłem przyglądając się ostremu grzebieniowi skalnemu, zdobiącemu wierzchołek. Nagle pojawiła się nad nim smukła sylwetka. Wspaniały kozioł skalny stał bokiem do mnie, z głową odwróconą w przeciwnym kierunku. Jeszcze mnie nie zauważył. Wstrzymałem oddech. Wolno, wolniuteńko zdjąłem z ramienia sztucer. Jeszcze wolniej przyłożyłem broń do oka. Kozioł stał jak posąg. Coś pilnie obserwował. Pociągnąłem za spust. Huknął strzał i zanim przebrzmiało jego echo, wspaniałe zwierzę runęło na ziemię. Teraz nie było po co się spieszyć. Wprost przeciwnie, zgodnie z umową należało poczekać na towarzyszy. Usiadłem na chwilę, wachlując się kapeluszem — słońce prażyło coraz silniej — a potem wolno podszedłem pod sam szczyt.

Oczom moim ukazała się niewielka platforma i leżące na niej upolowane zwierzę. W tej samej chwili zdrętwiałem. Nie mogłem zrobić kroku patrząc, jak znad krawędzi przeciwległego zbocza dźwiga się ku mnie kudłaty łeb o lśniącym szaroburym pysku i sterczących uszach. W sekundę później ujrzałem łapy o przeraźliwie długich pazurach. Jeszcze chwila — i padł na mnie cień potężnego górskiego niedźwiedzia. Grizzly! Słyszałem o nim nieraz, jeszcze w Milwaukee, jako o najbardziej drapieżnym, krwiożerczym zwierzęciu Północnej Ameryki. Opowiadano, że grizzly nigdy się nie cofa, nigdy nie ucieka. Nawet ciężko ranny, powalony na ziemię, w ostatniej chwili potrafi rzucić się na myśliwego, jeśli ten podejdzie nieostrożnie.

Tak, to był grizzly, którego upolowanie stanowi rzadki sukces myśliwski i dowód nieprzeciętnej odwagi. Wojownika indiańskiego, który upolował szarego niedźwiedzia, zdobi naszyjnik z pazurów tego zwierzęcia. Do tej pory widziałem tylko dwa: u Czerwonej Chmury i u Wysokiego Orła. Wiedziałem także, iż Karol miał prawo do takiego naszyjnika. Wszyscy oni to doświadczeni myśliwi. Ale ja?

Stałem teraz z trzystrzałowym sztucerem, z którego przed chwilą wystrzeliłem jedną kulę. Pozostały jeszcze dwie.

Grizzly był chyba nie mniej zaskoczony niż ja. Dopiero teraz spostrzegł człowieka. Wpatrywał się we mnie swymi małymi oczkami, a stał tak blisko, że owiewał mnie jego ckliwy odór. W pierwszym odruchu chciałem odwrócić się, przeskoczyć skalny występ i gnać w dół na złamanie karku. Istniała jedna szansa na sto, że niedźwiedź bardziej niż mną zainteresuje się leżącym kozłem. W przeciwnym jednak wypadku dopędzi mnie w minutę. Te pozornie ociężałe zwierzęta potrafią biec znacznie szybciej od człowieka. Zwłaszcza w górach, po nierównym terenie.

Przyłożyłem sztucer do ramienia. Czy kula przedziurawi czaszkę niedźwiedzia, czy nie ześliźnie się po niej? Gdzie mierzyć? Może w oko?

Potężna paszcza otworzyła się ukazując wielkie kły. Z gardła zwierzęcia wydobył się głuchy pomruk. Strzeliłem. Niedźwiedź uniósł się na tylnych łapach i zaryczał. Cofnąłem się o krok, na samą krawędź kamiennej platformy. Za plecami miałem już tylko strome zbocze. Przed sobą — kudłatego potwora przewyższającego mnie wzrostem. Znowu ryknął i wyciągnął łapy. Jeszcze chwila, a dosięgnie mnie. Sam dobrze nie wiedząc, co czynię, rozpaczliwym wysiłkiem wtłoczyłem w rozwartą paszczę lufę mego sztucera. Potężne szczęki zatrzasnęły się ze zgrzytem na metalu. Pociągnąłem za spust i uskoczyłem w bok, pozostawiając broń w zębach zwierzęcia. Grizzly zakołysał się, otworzył paszczę i opadł na przednie łapy. Sztucer z brzękiem łupnął o kamienie. Zwierzę dźwignęło się raz jeszcze.

Wtedy, tuż nad moją głową, huknął strzał. Czyjaś ręka po-ciągnęła mnie do tyłu.

— Niech mój biały brat nie podchodzi!

Odwróciłem głowę. Przy mnie stał Czerwona Chmura

— Po takim strzale trzeba było uciekać. Już by ciebie nie dogonił...

— Mój biały brat zabił grizzly, ja go tylko dobiłem — odezwał się znowu Czerwona Chmura. — Mój biały brat będzie teraz nosił naszyjnik z pazurów.

To rzekłszy wydobył swój długi nóż i zaczął powoli nacinać skórę wokół głowy zwierzęcia. Karol pospieszył mu z pomocą. Ja mogłem tylko przyglądać się tej robocie, nie miałem o niej przecież zielonego pojęcia. W samą porę zjawił się czwarty uczestnik naszego polowania. We trzech szybko uporali się ze ściągnięciem futra. Dano mi je potem do niesienia. Czerwona Chmura obciął łapy niedźwiedzia — podobno największy przysmak. Wykroił również kilka płatów polędwicy. Więcej nie sposób było zabrać, tym bardziej że musieliśmy jeszcze dźwigać kozła. Karol gderał trochę, iż zbyt wiele mięsa pozostawiamy górskim orłom, ale sam nie mógł znaleźć na to rady.

Objuczeni jak wielbłądy wlekliśmy się z wielkim trudem. Słońce paliło, drobne kamienie usuwały się spod nóg, grożąc upadkiem. Obozowisko było niedaleko, ale kiedy tam dotarliśmy, uginały się pode mną nogi. Nie lepiej wyglądał Karol. Nawet młodemu Indianinowi pot perlił się na czole. Jeden tylko Czerwona Chmura przez cały czas stąpał lekko, jak gdyby niósł garstkę pierza, a przecież on właśnie dźwigał najwięcej.

Po powrocie napiłem się wody i ległem na murawie, niezdolny już do żadnego wysiłku. Leżąc obserwowałem krzątaninę moich towarzyszy. Kozioł został oprawiony, a część jego mięsa zawinięta w wielkie liście, przypominające kapustę. Resztę pokroili w długie paski i rozłożyli w słońcu na płaskich, rozgrzanych kamieniach. Podobnie postąpili z częścią mięsa niedźwiedziego. Miało to stanowić zapas na drogę.

Indianin, który dotąd pilnował koni, poszedł teraz na miejsce mego polowania i przytaszczył jeszcze sporo mięsa. Niedźwiedzie — żywiące się przeważnie roślinami, rzadko

kiedy mięsem — stanowią przysmak ceniony przez czerwonoskórych. Byliśmy więc aż nadto zaopatrzeni.

Potem zaczęła się ceremonia pieczenia niedźwiedzich łap na wystruganych patyczkach. Trzeba było trzymać je nad ogniem i z wolna obracać tak, aby mięso nie przypaliło się z jednej strony, a z drugiej nie pozostało surowe. Tym obrzędem zajęli się Karol i Czerwona Chmura.

Kiedy wreszcie zasiadłem przy ognisku, zapach pieczeni pobudził mój apetyt. Łapy były istotnie znakomite. Posolone, natarte jakimiś ziołami, smakowały lepiej niż najwspanialsze danie w najwytworniejszej restauracji Milwaukee. Jadłem, aż mi się uszy trzęsły, ale prawdziwy koncert jedzenia zaprezentował Karol. Nigdy nie przypuszczałem, że potrafi tyle pochłonąć. Dziwiło mnie to i z innego powodu. Takie łakomstwo wcale nie ułatwiało potem szybkiej jazdy konnej. Okazało się jednak, że nie wyruszymy wcześniej, nim paski mięsa na tyle podeschną, iż nie będzie im grozić zepsucie.

Po tej wspaniałej uczcie położyliśmy się w cieniu zbocza, beztrosko gawędząc.

— A więc, Janie, wyrobisz się na doskonałego trapera. Mieć wśród trofeów szarego niedźwiedzia nieczęsto zdarza się nawet najlepszym myśliwym.

— Tak uważasz? — zapytałem, mile połechtany pochwałą.

— Oczywiście — ciągnął Karol — nie powinieneś zanadto wbijać się w dumę. W gruncie rzeczy miałeś sporo szczęścia.

— Ba, tak naprawdę to grizzly padł od kuli Czerwonej Chmury. Jemu należy się skóra i naszyjnik z pazurów.

Czarownik, który do tej pory milczał, natychmiast zaprzeczył.

— Mój biały brat się myli. Niedźwiedź był już śmiertelnie ranny, kiedy przyszedłem.

Karol kiwnął głową.

— Czerwona Chmura mówi prawdę, a jednak uratował ci życie. Inna sprawa, że nie słyszałem dotychczas o polowaniu przy pomocy strzelby wsadzonej do gardła zwierzęcia.

— Śmiej się, śmiej! Jakbyś był wtedy w mojej skórze, wątpię, czy byłoby ci do śmiechu... Zresztą, mniejsza o to, dość że niedźwiedź został upolowany. Niechże Czerwona Chmura przyjmie chociaż jego futro.

Dostrzegłem, jak czarownikowi zabłysły oczy.

— Ile mój biały brat ma skór niedźwiedzich w swoim wigwamie?

— Ani jednej.

— Czerwona Chmura ma ich sześć. Niech więc mój biały brat weźmie futro na pamiątkę pierwszego spotkania z grizzly.

Cóż miałem odpowiedzieć? Nie wypadało spierać się dłużej. Podziękowałem i więcej na ten temat nie rozmawialiśmy.

Tymczasem dwaj młodzi wojownicy zdrapywali nożami tłuszcz i żyły z wewnętrznej strony skóry, a potem nacierali ją ciepłym jeszcze popiołem drzewnym. Miało to zapobiec twardnieniu i pękaniu skóry. Nad wieczorem poszliśmy przejść się po okolicy, ale poza orłami, które dostrzegły widać resztki niedźwiedzia, nic nie zauważyliśmy.

Nadeszła noc, cicha i chłodna, jak to bywa w górach. Owinąłem się kocem i położyłem przy ognisku. Nawet nie pamiętam, kiedy zasnąłem.

Następny dzień był dla mnie dniem wielkiego lenistwa. Moi towarzysze również nie mogli się uskarżać na nadmiar roboty. Podeschłe paski mięsa dosuszaliśmy przy ogniu, umieściwszy

je na prymitywnych rożnach. Dobrze po południu Karol wyciągnął mapki i plany naszej wędrówki.

— Tu właśnie — powiedział, kiedy we trzech pochyliliśmy się nad szeleszczącymi papierami — znajduje się Dolina Siodła. Dwadzieścia mil na południowy wschód od niej leży wśród gór jezioro bez nazwy.

— To Jezioro Srebrne — wtrącił czarownik. — Wojownicy mego plemienia znają te wody.

— Jezioro Srebrne? Skąd taka nazwa?

— Starzy ludzie powiadają, że w dawnych, bardzo dawnych czasach znajdowały się tam pokłady srebra, ale potem skała obsunęła się na drodze płynącego potoku i powstało jezioro.

— A którędy teraz odpływają jego wody?

— Wody jeziora podniosły się i utorowały sobie nową drogę przez grzbiet niewielkiego wzniesienia.

— I dokąd płyną? — pytał dalej Karol.

— Nie wiem. Tak daleko nikt z mego plemienia nie wędrował.

— Ciekawe — mruknął Karol — czy strumień w swym dalszym biegu nie przepływa przez Dolinę Siodła? No, ale o tym sami się przekonamy. Więc, jak już powiedziałem, Jezioro Srebrne leży o dwadzieścia mil od celu naszej wyprawy. Około trzydziestu mil w naszym kierunku wznosi się charakterystyczny szczyt, który na mapie Hudson's Bay Company oznaczono nazwą „Góra Igły". Nie jest ona zbyt wysoka, ale tak stroma, że trudno nań się wdrapać. W jej okolicy znajduje się obszar powalonych burzą lasów...

Wydobył z kieszeni kompas i położył go na mapie.

— Patrzcie, oto nasz kierunek. Gdybyśmy posuwali się po prerii, można by jechać prosto, jak pokazuje odchyle¬ nie strzałki. Niestety, jesteśmy w górach. Nadłożymy sporo drogi. Ale to nie jedyna trudność: musimy bardzo uważać, żeby nie zabłądzić. Czy mój czerwony brat — zwrócił się do czarownika — zna drogę wiodącą do Srebrnego Jeziora?

Czerwona Chmura zamyślił się, a potem przywołał jednego z wojowników. Coś do niego mówił pokazując ręką kierunek. Tamten tylko potrząsał głową. Siedziałem jak na tureckim kazaniu. Karol wytłumaczył mi potem, że młody wojownik istotnie bawił kiedyś nad jeziorem, ale trafił doń przypadkowo, i to wędrując najpierw prerią u podnóża Gór Skalistych, znacznie dalej na północny zachód od miejsca, w którym się znajdowaliśmy. Jego doświadczenie na razie nie mogło na nic nam się przydać.

— Trudno — zawyrokował Karol — wracać na prerię nie będziemy. Moim zdaniem trasa, którą w przybliżeniu wyznaczyłem na planie, jest najlepsza.

Jeszcze przez dwa dni suszyło się mięso. Kiedy jego kawałki stały się twarde i kruche, zwinęliśmy obóz.

Wyjechaliśmy wąską gardzielą z dolinki, aby przedostać się do następnej. Odtąd przez cały czas zbliżały się ku nam lub rozstępowały ściany górskie. Gładkie, świecące szarą, żółtą lub brązową płaszczyzną skał. Łagodnie wznoszące się ku niebu, szumiące gałęziami czerwonych buków. Na rozmaitość i wspaniałość widoków nie mogłem narzekać.

Teraz na czele jechał Karol. Gdy dolina rozwidlała się, radził się kompasu i mapy. Rada taka często bywa zwodna dla wędrowca podróżującego wśród gór. Nieraz musieliśmy zawracać wjechawszy w doliny bez wyjścia.

Gdyby tak można było przypiąć sobie skrzydła do ramion!

Dolina Siodła

Wiele skwarnych dni i chłodnych górskich nocy mieliśmy już za sobą, aż oto któregoś wieczoru, gdy słońce kryło się za granie, ujrzałem powalony las. Jakaś potworna wichura musiała przejść tędy przed laty. Buki, dęby i klony leżały potrzaskane jak zapałki. Niektóre z powyrywanymi korzeniami, niektóre przełamane w połowie, inne — tuż przy ziemi. Łagodne zbocze góry wyglądało jak jakaś potężna szczotka. Rozciągająca się u jego stóp dolina dosłownie zatarasowana została plątaniną uschłych już gałęzi, rozsypujących się w próchno pni i korzeni.

Trzeba było zsiąść z koni i torować sobie drogę. Czerwona Chmura jak zwykle zachował kamienny spokój, ale dwaj młodzi wojownicy byli wyraźnie poruszeni. Pewien jestem, że uważali kataklizm przyrody za dzieło złego ducha gór. Karol natomiast cieszył się jak dziecko. Nie zawiódł go kompas ani mapa, a przede wszystkim nie zawiódł go instynkt traperski, wyrobiony w latach włóczęgi. Zwalony las był pierwszym sygnałem prawidłowości kierunku, w którym jechaliśmy.

Wędrówka przez powalony las należała do najgorszych odcinków naszej drogi. Ponad trzy godziny mordowaliśmy się w tej pułapce. Kiedy wreszcie wyszliśmy na otwartą przestrzeń, ludzie i konie byli tak pomęczeni, że o dalszej jeździe tego samego dnia nie można było nawet marzyć, biedząc przy wieczornym ognisku, zastanawialiśmy się nad kaprysem przyrody. Tuż obok powalonego lasu rósł wysokopienny bór, w którym ani jedno drzewo nie zostało uszkodzone.

Dalsza droga okazała się raczej monotonna i uciążliwa. Doskonałej orientacji Karola zawdzięczaliśmy bezbłędne wyjście na Górę Igły. Po jakimś czasie oczom naszym ukazała się rozległa, największa chyba z dotąd spotykanych dolina. Jej zbocza pokrywał gęsty las świerkowy, z daleka wyglądający jak czarna plama. Środek doliny zajmowało jezioro o toni atramentowo czarnej i nieruchomej. Na powierzchni nie tworzyły się kręgi świadczące o istnieniu życia w głębinach. Nad brzegami nie rosły trawy. Jezioro było martwe.

Zastanowiło mnie to. Spróbowałem wody. Miała metaliczny i niemiły zapach. Poznałem natychmiast: spora zawartość siarki.

Kiedy Karol przyszedł nabrać tej wody na kawę, najspokojniej zapytałem go, czy choruje na wątrobę.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Bo widzisz, to woda lecznicza. Świetnie robi chorym cierpiącym na pewne dolegliwości, ale kawy to z niej nie będzie.

Zerknął na mnie podejrzliwie, łyknął trochę z blaszanki i natychmiast wypluł.

— Tfu, co za świństwo! Dobrze, żeś mnie ostrzegł. Szkoda byłoby kawy. Trzeba poszukać innej wody.

Innej jednak nie znalazł, bo woda strumyka wypływającego z jeziora miała taki sam smak, a strumienia zasilającego — o dziwo! — nie mogliśmy odszukać. Widocznie, zasypany, płynął teraz gdzieś pod zwałami piargów.

Tak oto — mając pod bokiem spory zbiornik wody — nie mogliśmy ugasić pragnienia. Szybko pożegnaliśmy Srebrne Jezioro. Czy rzeczywiście srebrne — nie wiem, ale na pewno siarkowe.

Przed nami ostatni etap drogi. Co czeka nas po przybyciu do celu? Czy odnajdziemy pokłady złotego piasku, czy rozpoznamy dokładnie miejsce zaznaczone na planie? Raz po raz ogarniało mnie zwątpienie.

Przebyliśmy jeszcze jedną dolinę, pełną głazów i żwiru, pozbawioną wszelkiej roślinności. Na tej kamienistej pustyni znalazłem podkowę zrudziałą od rdzy. Zwróciłem na nią uwagę tylko z powodu jej kształtu, barwą bowiem prawie nie różniła się od tła. Nic nikomu nie mówiąc i nie bardzo wierząc swoim oczom, zeskoczyłem z konia, podniosłem podkowę i podbiegłem do Karola. Spojrzał i aż gwizdnął.

— Ho, ho! Skąd to masz?

Wskazałem miejsce, gdzie ją znalazłem.

— A więc te okolice nie są tak bezludne, jak nam się wydawało. Ile miesięcy, a może lat, leży tutaj ta podkowa?

Sądząc po rdzy, chyba bardzo długo.

Czerwona Chmura zbliżył się do nas i uważnie obejrzał podkowę, ale i on nawet w przybliżeniu nie potrafił określić czasu, jaki upłynął od chwili zgubienia jej przez nieznanego jeźdźca.

— Nic tu nie wymyślimy — powiedziałem. — Podobno podkowa przynosi szczęście. Uważajmy to znalezisko za dobrą wróżbę. Zabieram ją na pamiątkę.

Któregoś z następnych wieczorów znaleźliśmy się pomiędzy dwiema kopulastymi górami o zarośniętych zboczach. Jedno z nich opływał strumień szumiący wśród głazów. Drugie zbocze częściowo osłaniał świerkowy las. Zadowoleni z bliskości wody, rozbiliśmy obozowisko. Noc upłynęła jak zwykle spokojnie, rankiem zebraliśmy się do odjazdu.

Już siedząc w siodle, uważnie rozglądałem się na wszystkie strony. Nic tutaj nie przypominało doliny odtworzonej na podstawie planu. Spiąłem konia i ruszyłem za towarzyszami. Wyjeżdżałem już z lasu, gdy uwagę moją zwróciła dziwna szara plama majacząca pośród pni.

— Karolu, poczekajcie!

— Co takiego?

— Muszę coś sprawdzić.

Zeskoczyłem z konia i puściłem się prawie biegiem. Szara plama była coraz wyraźniejsza. Na koniec stanąłem przed ścianą zbitą z wielkich drewnianych bali. Deszcze zmyły ich naturalną barwę, były teraz szare. Pobiegłem z powrotem.

— Karolu, tam stoi dom!

Teraz już wszyscy zeskoczyli z koni. Po chwili, zadyszani, gorączkowo dotykaliśmy chropowatej powierzchni ściany. Chata w dolinie, a raczej coś, co przypominało dom mieszkalny! Obeszliśmy ją dookoła. Okien w ogóle nie było, drzwi również. Zastępował je prostokątny otwór. Stanęliśmy przed nim, jak gdyby wejścia broniły widma przeszłości.

— Pamiętasz, Janie, co mówiłem o trzech poszukiwaczach złota?

Skinąłem głową.

— Nie rozumiem tylko — dodałem — dlaczego tutaj nie przezimowali, zamiast wlec się przez prerię?

— Zapewne sądzili, że zdążą przed nadejściem zimy. Ciemno tu jak w grobie. Trzeba poświecić.

Jeden z wojowników skoczył po gałąź i za chwilę z pochodnią wkroczyliśmy do chaty. Na oko nie było tu nic ciekawego. Prymitywny stół, wbity nogami w ziemię, i takaż ławka. Z boku, pod widocznym w suficie otworem, leżały trzy płaskie osmolone kamienie. Karol obszedł wszystkie kąty i wyciągnął z któregoś straszliwie zardzewiałe, półokrągłe naczynie.

— Wiesz, co to jest? Wzruszyłem ramionami.

— Jakiś garnek...

— Garnek! To sito do płukania złotego piasku! Chwilę milczałem zaskoczony.

— Ta dolina wcale nie przypomina kształtem siodła! — zauważyłem.

— Kto wie? Musimy jej się dokładnie przyjrzeć. Może trzeba wdrapać się na zbocze, żeby zobaczyć to podobieństwo?... Ja bym zresztą zaczął od strumienia. Jeżeli tu było złoto, na pewno je przepłukiwali. Tam więc musiałyby pozostać najwyraźniejsze ślady.

Karol, Czerwona Chmura i ja ruszyliśmy nad wodę. Niewielki strumień podmywał zbocze góry. Posuwać się można było tylko wzdłuż jednego brzegu, gdyż dość strome zbocze miejscami nawet pionowo spadało do wody. Postępowaliśmy krok za krokiem.

— Czy moi biali bracia widzą?

Czerwona Chmura wyciągnął rękę w kierunku przegrody dziwnego kształtu ustawionej w poprzek nurtu. Podeszliśmy bliżej. Tama ułożona z dużych kamieni tworzyła mały wodospad, powyżej którego — w wyniku spiętrzenia wody — powstało jeziorko. Nie ulegało wątpliwości, iż było to dzieło rąk ludzkich. Zielonkawy mech zdążył już porosnąć na niektórych głazach. Karol pokiwał głową.

— Gdyby te kamienie potrafiły mówić...

Uważnie przyglądałem się jeziorku. Woda w nim była przejrzysta, a pokryte żwirem dno rysowało się bardzo wyraźnie. Ukląkłem nad brzegiem. Podwinąłem rękawy koszuli i aż po ramię zagłębiłem rękę w przeraźliwie zimnej wodzie.

— Coś tam znalazł?

— Nie złoto, ale coś, co służy chyba do jego wydobywania! — Powiedziawszy to, podałem Karolowi górniczy kilof z ułamanym, poczerniałym i oślizłym trzonkiem.

— Tak, jeszcze jeden dowód ludzkiej bytności w tych stronach. Chodźmy dalej!

Przewędrowaliśmy znowu kilka jardów i oto na zboczu, kilka stóp nad łożyskiem strumienia, otworzyła się jama.

Przeskoczyłem przez strumień. Jama nie była tak głęboka, jak to się w pierwszej chwili wydawało. Kiedy wszedłem do niej, sięgała mi po pas.

— To dziwne — zauważyłem. — Jeżeli oni tu pracowali całe lato, musieli wykopać znacznie więcej ziemi.

— Jama mogła się zawalić, a poza tym spójrz wyżej! — wskazał Karol.

Dopiero teraz dostrzegłem na zboczu regularną linię ciemnych wgłębień. Tworzyły one jakby trójkąt rozszerzający się ku łożysku strumienia.

— Od razu widać, że to byli doświadczeni poszukiwacze. Zauważ, Janie, jak drobiazgowo przeprowadzali badanie terenu. Kształt trójkąta powstał dlatego, że pokłady złota ciągną się prawdopodobnie niezbyt wysoko, na dole natomiast, nad wodą, są coraz szersze, równoległe do podstawy góry. Powinniśmy naśladować naszych poprzedników, nie spieszyć się, ale pracować metodycznie. Teraz chodzi przecież tylko o zbadanie terenu. Jeśli uda się coś odnaleźć, wydobywaniem zajmiemy się na wiosnę.

— A nie obawiasz się, że ktoś nas może uprzedzić?

— Zimą? Wykluczone! Nawet ten „nasz" bandyta nie zjawi się tutaj wcześniej, jeżeli w ogóle się zjawi. No, teraz chodźmy coś przekąsić. Jestem piekielnie głodny! — Spojrzał na mnie. — Tylko nie poddawaj się, Janie, gorączce złota, bo widzę, że już się zaczynasz denerwować.

Głos Karola ostudził mnie. Przyjaciel odgadł mój nastrój. Istotnie, myślałem w tej chwili o jak najszybszym rozpoczęciu poszukiwań.

Po obfitym posiłku odpoczywaliśmy przez jakiś czas, a potem Czerwona Chmura wraz ze swymi wojownikami ruszył, aby zbadać okolicę. Na wszelki wypadek trzeba było stwierdzić, czy nikt się gdzieś tutaj nie kręci. Karol tymczasem wyciągnął zardzewiałe sito i poszliśmy nad strumień. Nabrał ziemi ze środkowej dziury i ostrożnie począł ją przepłukiwać. Prócz mułu, który szybko spłynął, nic nie znaleźliśmy.

— Musimy jednak trochę pokopać. Ten otwór pewnie kiedyś był głębszy, ale przecież lata minęły, naniosło tu piachu, a pewnie i zawaliło się.

— Lata? Przecież przed kilku miesiącami byli tutaj wysłannicy uniwersytetu?

— Myślę, że niewiele kopali. Mieli na to zbyt mało czasu.

Pobiegłem po łopatkę, którą wiózł z sobą Karol. Kopaliśmy na zmianę. Wreszcie „dziura" sięgała już do ramion.

— No, teraz spróbujmy.

Z zapartym tchem obserwowałem, jak Karol kołysał sitek, wylewając wodę pomieszaną z brudnym piachem. Jeszcze chwila — i ukazało się dno. Byłem rozczarowany.

— Popatrz, popatrz! — zawołał z cicha Karol.

— Nic nie ma!

— Nie ma? A to... a to?... — wskazywał palcem.

Dopiero teraz dostrzegłem żółto i zielonkawo połyskujące drobinki. Karol zgarnął je ręką, rozpostarł na ziemi swą wielką kraciastą chustkę i wytrząsnął na nią zawartość sita.

— Oto najprawdziwsze złoto! Teraz pytanie: ile jeszcze go jest w ziemi? Szukajmy dalej! Spróbujmy teraz nad samą wodą.

Znowu zaczęliśmy kopać. Druga próba przyniosła lepszy rezultat. Na dnie sita pozostały drobinki złota wielkości główek od szpilki. Z kolei zabraliśmy się do poszukiwań w łożysku strumienia. Woda miała temperaturę lodu, a trzeba było najpierw poodgarniać pokłady żwiru. Parokrotnie musiałem rozcierać zgrabiałe dłonie. Na koniec błysnął żółty piasek, zmieszany gdzieniegdzie ze skalnym pyłem. Nabraliśmy pełne sito. Tym razem złote punkciki poczęły się mienić, zanim jeszcze została spłukana zawiesina piasku i mułu. Wynik był doprawdy fantastyczny. Karol wydobył prawie pół garści kruszcu.

— To niesłychane! — szepnął.

— Czyżby potok płynął złotym korytem?

— Nie sądzę. To raczej woda deszczowa spływająca ze zbocza spłukuje do strumienia drobiny złota. Tutaj musi się znajdować bardzo bogate i ciągle jeszcze nie wyczerpane złoże, rozumiesz?!

Nad wieczorem pokazaliśmy Czerwonej Chmurze wynik naszych poszukiwań: wcale pękaty węzełek zrobiony z chustki.

— Tak na oko sądząc — ocenił Karol — jest tego za przeszło sto dolarów. Sto dolarów w ciągu paru godzin bardzo prymitywnych poszukiwań, prawie bez narzędzi!

— Co o tym sądzi Wielki Bóbr?

— Sądzę, że jest to jedna z najbogatszych kopalń, o jakich dotąd słyszałem. W ciągu pięciu miesięcy wiosny i lata można będzie stąd wydobyć złoto wartości paruset tysięcy dolarów. Jutro musimy pracować bardziej dokładnie. Myślę, że Czerwona Chmura nam pomoże. A co mój brat dostrzegł w okolicy?

Okazało się, że trzej Indianie zbadali spory szmat gór. Nic nie wskazywało na bliskość jakichkolwiek ludzi. Czarownik potwierdził fakt, iż widziana z góry dolina rzeczywiście przypomina kształtem siodło. Z jednej strony jest szersza i zaokrąglona, z drugiej zwęża się w szpic, którego środkiem biegnie prawie niezauważalne, gdy się po nim stąpa, wzniesienie.

Nazajutrz we trzech rozpoczęliśmy kopanie na złotym polu. Karol chyba kiedyś już zajmował się podobną pracą. Może był jednym z eksplorerów — jak ich nazywają — których znakomita większość trwoni czas na bezowocne tropienie śladów złotego pyłu? Tylko nieliczni trafiają na prawdziwe „złote żyły", a rzadziej jeszcze zdarza się, że któryś z nich umie gospodarować zgodnie z rozsądkiem zdobytymi morderczą pracą pieniędzmi.

Praca poszukiwacza złota, pełna niebezpieczeństw i pułapek zastawianych na człowieka przez pierwotną przyrodę, wymaga dużej odporności fizycznej. Tylko w legendach i bałamutnych opowieściach sprowadza się ona do faktu „cudownego" i łatwego odkrycia skarbów ziemi. Legendy te podtrzymują nieliczni „synowie szczęścia", trwoniący złoty piasek znacznie szybciej, niż go zbierali. Rzecz polega na tym, iż poszukiwaczami są przeważnie ludzie o dość niskim poziomie i prymitywnych wymaganiach. Zebranego bogactwa nie potrafią wykorzystać w sensowny sposób.

To wszystko nie dotyczyło oczywiście Karola. Znałem go zbyt dobrze. Przypuszczałem natomiast, że po prostu nie miał szczęścia.

Teraz „opukiwaliśmy" złote zbocze od połowy wysokości aż do jego podstawy. Karol nie mylił się. Im wyżej, tym bardziej nikły był złoty osad na dnie sita. Być może złota żyła kryła się tutaj głębiej pod ziemią. Schodziliśmy coraz niżej, kopiąc dołki w szachownicę, aż wreszcie, w podłużnym rowie tuż nad brzegiem strumienia, znaleźliśmy między złotymi drobinkami kilka małych ziarenek.

Następny dzień poświęciliśmy znowu grzebaniu w korycie strumienia. Teraz dopiero doświadczyłem na sobie udręk życia eksplorera! Stałem po kolana w lodowatej wodzie, co pewien czas wychodząc na brzeg, aby rozgrzać nogi. Mimo to przemarzłem tak, że szczękałem zębami. Grzbiet bolał od ciągłego schylania się, skórę na dłoniach w wielu miejscach miałem poprzecinaną ostrymi krawędziami drobnych kamieni.

Karol — chociaż się nie uskarżał — czuł się na pewno nie lepiej, zaproponował też, aby poszukiwania przerwać na jeden dzień. Czerwona Chmura nie protestował. Przerwa przedłużyła się z konieczności, nazajutrz bowiem zauważyliśmy, iż kończą nam się zapasy mięsa.

Rękopis znaleziony w starej chacie

Był to oczywiście przypadek, że tym razem nie wybrałem się na łowy. Przyznam się nawet szczerze, iż ogarnęło mnie nagłe lenistwo. A może to były skutki intensywnej pracy w ubiegłych dniach?

Przed towarzyszami tłumaczyłem się koniecznością wzmocnienia popręgów u siodła. Czy uwierzyli, nie wiem. Zostawili mnie jednak na straży obozowiska.

— Nic ci tu nie grozi — powiedział Karol, lekko się uśmiechając; bardzo mnie uraził ten uśmieszek — ale na wszelki wypadek miej broń pod ręką. No, trzymaj się, chłopie! Wrócimy najpóźniej o zmierzchu. Jak się ściemni, rozpal ognisko. I zreperuj sobie siodło!

Kiedy znikli w wąskiej gardzieli zamykającej dolinę, poczułem się jednak nieswojo. Za radą Karola położyłem obok siebie nabity sztucer. Wydobyłem nóż myśliwski i pól leżąc począłem mozolić się z przetartym popręgiem. Należało go wzmocnić wąską, ale cienką podkładką. Przeznaczyłem na ten cel kawałek skóry grizzly. Trudziłem się nad tą robotą już dobre pół godziny, gdy nagle, nie wiem czemu, ogarnął mnie lęk. Nie, to nie był lęk. Zbyt łagodne określenie. To był strach! Potworny strach, który zjeżył mi włosy na głowie, a kark i plecy pokrył strużkami potu. Wydało mi się nagle, że z któregoś zbocza obserwują mnie czyjeś czujne oczy, a ku mojej głowie kieruje się śmiercionośna lufa.

Siłą woli powstrzymałem się od ucieczki. Z wolna — ileż to wymagało nerwów! — prawie niedbale odłożyłem siodło i równie niedbale sięgnąłem po broń. Dopiero wówczas ośmieliłem się podnieść oczy. Krew łomotała mi w skroniach, a w głowie kotłowała się uparta myśl, że dla kogoś stojącego na zboczu, nade mną, byłem widoczny jak kotlet na patelni.

Powoli przesuwałem wzrok po trawach, krzakach i nagich skałach piętrzących się nad strumieniem. Nie dostrzegłem nikogo. Zarzuciłem siodło na kark i powędrowałem w cień drzew pokrywających przeciwległy stok. Siadłem za pniem potężnego świerka.

Teraz dopiero, na zimno, zastanawiałem się nad powodem mego przerażenia. Nasłuchiwałem. Prócz łagodnego poszumu lasu żaden dźwięk nie dobiegł moich uszu. Wyjąłem z torby lornetkę. Zlustrowałem metr po metrze płaszczyznę nagiego zbocza. Nie odkryłem nic podejrzanego. Uspokajałem się po trochu. Jako lekarz doszedłem do wniosku, że to po prostu dała znać o sobie forsowna praca ostatnich dni. Przeliczyłem się z siłami i teraz serce buntuje się przyspieszonym biciem. Było to jedyne logiczne wytłumaczenie stanu, w jakim przed chwilą się znajdowałem.

Zabrałem się na nowo do reperacji siodła, ale już z uszami — jak powiada Karol — nastawionymi na wiatr.

„Tutaj musisz mieć uszy nastawione na wiatr" — to było jedno z jego przykazań.

Nagle usłyszałem odgłos, jaki wydają kamienie spadające z górskiej ściany. Cisnąłem siodło, porwałem znowu za sztucer.

Smużka dymu czy kurzu przesuwała się z góry na dół po gładkim zboczu, aż wreszcie, gdy dosięgła urwiska wznoszącego się tuż nad strumieniem, plusnęła wysoko fala i coś runęło w wodę.

Zerwałem się i pobiegłem. Nurt strumienia rozdzielały teraz trzy potężne złomy skalne. Co je zepchnęło ze szczytu góry?... Niedźwiedź? Przecież tylko on mógłby przypadkiem, dzięki ciężarowi swego cielska, spowodować obsunięcie się tak wielkich kamieni. A jeżeli nie niedźwiedź? To kto?...

Wróciłem do lasu. Wśród drzew nie groziło mi niebezpieczeństwo zmiażdżenia przez spadające ze szczytu głazy. Wersja z niedźwiedziem nie wydawała mi się w pełni przekonywająca. Czyżby to było dzieło rąk człowieka? Ale skąd nagle w górach obcy człowiek i po co zwala głazy? Żeby dać znać o swej obecności?...

Po chwili zastanowienia doszedłem jednak do wniosku, że wypadek mógł być spowodowany chęcią wywabienia mnie z doliny. Gdybym tak zaintrygowany począł

wdrapywać się na szczyt, jakże łatwo byłoby zbombardować mnie kamieniami albo po prostu zastrzelić! Ale kim może być ten człowiek?...

Naprawa siodła stała się dla mnie nagle czymś tak błahym, że nawet nie próbowałem dokończyć rozpoczętej pracy. Zastanawiałem się głęboko, co powinienem teraz uczynić. Co uczyniłby na moim miejscu Karol? Jak postąpiłby Czerwona Chmura?

Uznałem wreszcie, że należy zbadać grzbiet przeciwległego zbocza, i to w taki sposób, aby nie zwrócić niczyjej uwagi. Jedynym sposobem wykonania tego planu było wejście na zalesiony stok. Stamtąd, przy pomocy lornetki, będę mógł dokładnie przyjrzeć się przeciwległemu grzbietowi.

Uzbrojony w sztucer i lornetkę, począłem wolno posuwać się między drzewami, starając się stąpać jak najciszej i bacznie nasłuchując. Jakże piękny to był dzień! Na zawsze utkwił mi w pamięci. Wiatr chwiał czubami świerków, smugi słońca rzucały drżące desenie na podszycie z mchu i paproci. Kiedy mijałem opuszczoną chatę, w pewnej chwili uległem złudzeniu, że w ciemnym otworze wiodącym do wnętrza widnieje jeszcze ciemniejszy cień ludzkiej postaci. Niewiele brakowało, a złożyłbym się ze sztucera i wypalił do urojonego wroga. Zatrzymałem się na chwilę i głęboko odetchnąłem. W wejściu nie było nikogo. Po prostu słońce, padając poprzez gałęzie, rzucało na belki chaty ruchome smugi. To one sprawiały wrażenie, że w otworze wejściowym ktoś stoi.

Po przebyciu następnych stu jardów łagodna dotąd pochyłość zaczęła stawać się coraz bardziej spadzista. Chwytając się zwisających gałęzi, krok po kroku dźwigałem się ku górze. Dziwiło mnie, że na takiej pochyłości mógł wyróść wysokopienny las i że nie powaliły go wiatry.

Nie wiem, jak długo trwała moja wędrówka. Kiedy dotarłem do szczytu, okazało się, że i on jest gęsto porośnięty drzewami. Na próżno szukałem miejsca, z którego mógłbym dokładnie obserwować przeciwległe zbocze. Stale coś zasłaniało widoczność. Zwiedziłem więc tylko część kopulastego grzbietu, stwierdzając, że w przeciwnym od doliny kierunku spadał jeszcze bardziej stromo kamienistą, nagą ścianą. Była to przepaść, na dnie której siniały jakieś krzewy. To mnie nieco uspokoiło.

Zejście trwało znacznie krócej. Nie wyszedłem jednak od razu na skraj lasu. Postanowiłem najpierw dokładnie zbadać opuszczoną chatę. Nie wiem, dlaczego nie uczyniliśmy tego wcześniej. Ostatecznie, może jej poprzedni mieszkańcy coś tu zakopali. Może pod udeptaną ziemią spoczywają cenne dla nas informacje?

Wkroczyłem do środka z bronią gotową do strzału, w chacie panował półmrok, było jednak na tyle widno, że mogłem przystąpić do dokładnego przeszukania jej wnętrza.

Cal po calu oglądałem podłogę. Bez żadnego rezultatu. Jeśli nawet cokolwiek zostało tutaj ukryte, trzeba by przekopać całą powierzchnię.

Z kolei zająłem się oględzinami ścian. Były sczerniałe od dymu ogniska, które kiedyś tu rozpalano. Szpary między belkami, wypełnione mchem, nie pozostawiały miejsca na ukrycie najdrobniejszego nawet przedmiotu. Popatrzyłem na koniec po suficie, po kątach i niespodziewanie odkryłem znak, nieprzypadkowo chyba zrobiony. Była to pionowa linia zakończona strzałką. Wydłubano ją zapewne myśliwskim nożem w poprzek jednej z belek na wysokości głowy człowieka przeciętnego wzrostu. Linia rzucała się w oczy swą jasną barwą, kontrastującą z tłem poczerniałej ściany. Wyglądała na zrobioną dość niedawno. Zadumałem się nad tym znakiem. Strzałka była ostrzem zwrócona ku ziemi. Trzymając ciągle broń w

pogotowiu, opuściłem chatę, wyszedłem na skraj lasu. Tu przystanąłem na chwilę, przyłożyłem lornetkę do oczu i miejsce koło miejsca obejrzałem całą przestrzeń nagiego zbocza. Nie było na nim nikogo. Nie dostrzegłem nic podejrzanego. W ten sam sposób zlustrowałem zieloną płaszczyznę doliny. Konie pasły się nie wykazując oznak zdenerwowania. Uspokojony poszedłem do naszego obozowiska po kilof i łopatkę. Wróciłem do chaty. Pokruszyłem powierzchnię klepiska, a potem łopatką zacząłem wybierać ziemię. Nie trwało to długo, bo przy czwartym czy piątym zagłębieniu ostrza coś zgrzytnęło. Ukląkłem i rękami wyciągnąłem z dołka jakąś bryłę oblepioną ziemią. Przy pomocy łopaty, a potem myśliwskiego noża oczyszczałem to „coś", aż wreszcie oczom moim ukazał się regularny, prostokątny kształt przedmiotu zawiniętego w płótno wysmarowane tłuszczem. Przerwałem na chwilę swe zajęcie, aby przez próg spojrzeć na dolinę, potem zacząłem odwijać twardy przedmiot. Była to metalowa puszka, taka, jakich wielkie przedsiębiorstwa handlowe używają do pakowania sucharów. Puszka była lekka. Tak lekka, że natychmiast pozbyłem się jakichkolwiek nadziei na znalezienie złotego skarbu. Usiadłem na progu i ostrożnie podważyłem nożem wieczko. W tej samej chwili usłyszałem tupot i kwik koni — oznaki ich najwyższego zdenerwowania. Cisnąłem puszkę, chwyciłem za broń i na złamanie karku pognałem ku łące. Zachowałem jednak tyle rozsądku, że przystanąłem za pniem ostatniego drzewa na granicy lasu. Spojrzałem w kierunku koni. Mój pasł się spokojnie, ale mustang Czerwonej Chmury kręcił się w kółko, bijąc tylnymi kopytami w ziemię. Na próżno szukałem przyczyny tego niepokoju — niedźwiedzia, wilka czy kojota. A przecież ktoś lub coś musiało znajdować się w pobliżu, koński alarm nie powstał bez powodu. Przeszedłem skrajem lasu wzdłuż całej doliny. Kiedy zawróciłem, konie pasły się znowu spokojnie. Dopiero wówczas podszedłem do nich. W jednym tylko miejscu trawa była mocno zdeptana i zryta tak, że wyzierały spod niej czarne placki ziemi. Poza tym nie dostrzegłem żadnych śladów.

Bynajmniej tym nie uspokojony, przemierzyłem raz jeszcze całą dolinę, posuwając się teraz brzegiem strumienia. Bez rezultatu.

Jakże żałowałem w tej chwili, że nie ma moich towarzyszy! Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, nie mogłem więc spodziewać się ich rychłego powrotu. Prawdziwy pech. Tajemniczą siłą zepchnięte głazy, tajemniczą przyczyną wywołany niepokój koni — wszystko to musiało wydarzyć się akurat wówczas, gdy byłem sam. A może właśnie dlatego się to wydarzyło? Ta myśl tak mnie zajęła, że zupełnie zapomniałem o odkopanej puszce. W jakiś czas później pobiegłem po nią pełen obawy, że tymczasem zniknęła. Na szczęście leżała tam, gdzie ją porzuciłem. Zdjąłem wieczko. Wewnątrz tkwił papier zwinięty w gruby rulon. Ostrożnie go wyciągnąłem. Był to plik zapisanych ołówkiem kartek. Czytelne pismo na zupełnie suchych arkusikach świadczyło, że rękopis niezbyt długo spoczywał w ziemi. Wygładziłem papier i przeczytałem nagłówek. Przeczytałem go dwa razy, nie wierząc oczom: „Do wszystkich, którzy znajdą te notatki. Proszę o dostarczenie ich do sekretariatu uniwersytetu w St. Louis, USA".

Zacząłem czytać na wyrywki, aż wreszcie na samym początku — co w pośpiechu przeoczyłem — znalazłem nazwiska dwóch ludzi, których los był mi znany: Harry Smoth i Joe Lawson!

W wyobraźni ujrzałem znowu Jezioro Jelenia, pierwsze ślady świeżego obozowiska, pogoń za człowiekiem z blizną i jego ostateczną ucieczkę. Czy rzeczywiście ostateczną? Wzdrygnąłem się.

Odkrycie było na pewno cenne. Kto wie, czy na tych kartkach nie znajdziemy wreszcie odpowiedzi na pytanie: kim jest człowiek, z taką zaciekłością broniący tajemnicy Doliny Siodła?

Trzymałem w ręku kartki, nie mogąc się zdecydować, czy przeczytać je dokładnie już teraz, czy też zaczekać do powrotu towarzyszy. Obawa, abym podczas czytania nie został zaskoczony kolejną niespodzianką, skłoniła mnie do schowania papierów w wewnętrznej kieszeni mej myśliwskiej kurtki.

Resztę dnia spędziłem na patrolowaniu naszego obozowiska, nie oddalając się jednak zbytnio. Nic szczególnego nie zauważyłem.

Ani się spostrzegłem, jak zapadł wieczór. Nie potrafię opisać swej radości na widok powracających z wyprawy przyjaciół. Na długim drągu nieśli potężnego rogacza. Jak się dowiedziałem, zastrzelił go Czerwona Chmura.

Karol powitał mnie wymówką:

— No, jak tam ci się powodziło, Janie? Widzę, że musiałeś być bardzo zajęty, bo nawet nie rozpaliłeś ognia.

Trochę mnie dotknęło to stwierdzenie, tym bardziej iż rozpalenie ogniska na otwartej przestrzeni uważałem teraz za czyste szaleństwo. Nic jednak nie odpowiedziałem. Kiedy Czerwona Chmura skinął na jednego z wojowników, wskazując mu ciemną plamę dawno wystygłych popiołów naszego obozowiska, zaprotestowałem głośno. Zdumieli się. Karol popatrzył na mnie badawczo.

— Chodźmy pod drzewa — powiedziałem. — Za bardzo nas stąd widać.

Czerwona Chmura pierwszy zorientował się, że coś tutaj nie jest w porządku, i chwycił za drąg z upolowanym jeleniem. Złapałem za drugi koniec żerdzi. Ciężar był ogromny, mało nie ugiąłem się pod nim. Tymczasem Karol wraz z młodymi wojownikami ściągali juki i siodła na granicę lasu. Wszystko to dokonane zostało bardzo szybko i bez żadnych pytań. Następnie opowiedziałem szczegółowo o wydarzeniach dnia. Starałem się jak najwierniej odtworzyć fakty, których byłem świadkiem, ale czy to ze zdenerwowania, czy z pośpiechu poprzestawiałem kolejność zdarzeń i wyszła z tego plątanina, której nie można było pojąć. Sprawę rozjaśniło kilka pytań Karola. Na koniec wyciągnąłem z kieszeni znaleziony rękopis jako dowód, że wszystko, co powiedziałem, nie jest wytworem mojej fantazji. Zapadła długa cisza, świadcząca o wrażeniu, jakie wywarła na towarzyszach moja opowieść.

Pierwszy odezwał się Karol:

— A więc zbytnio ufaliśmy naszej samotności. Ktoś albo coś kręci się po okolicy. Miałeś rację, Janie, nie rozpalając ogniska, mój zarzut był niesłuszny. Przepraszam cię. Co o tym wszystkim sądzi mój brat? — zwrócił się do Czerwonej Chmury.

Znowu zapadło milczenie, przerywane tylko szmerem wieczornego wiatru.

— Wielki Bóbr się nie myli — odezwał się wreszcie czarownik. — Ktoś krąży wokół nas, człowiek albo zwierzę. Jeśli człowiek — to człowiek zły, bo nie pokazał nam swej twarzy. Jest jak chmura, którą wiatr pędzi po niebie i nie wiadomo, kiedy zmoczy nas deszczem. Co czyni mądry wojownik w takim wypadku? Stara się dostać w miejsce, które ochroni go przed zmoknięciem. Howgh!

Nie bardzo pojąłem, o co chodzi Czerwonej Chmurze, ale Karol w lot chwycił istotny sens jego słów.

— Sama mądrość przemawia przez usta naszego czerwonego brata. Odnaleźliśmy już miejsce, w którym znajduje się złoto, mamy plany, znamy drogę. Powinniśmy wracać, i to jak najszybciej. Nie wiemy, co nam tu grozi. Może ten kamień rzeczywiście został zwalony przez niedźwiedzia, może to on właśnie spłoszył konie... Jutro przeszukamy grzbiet nagiego zbocza. Jeśli był niedźwiedź, zostawił ślady. Jeśli jest jeszcze, wzbogacimy się o drugie futro. Co myślisz o tym, Janie?

— Zgadzam się, ale z małymi poprawkami.

— No, no, słucham. Jako naoczny świadek masz tutaj najwięcej do powiedzenia.

— Uważam, że nie powinniśmy stąd odjeżdżać bez dokładnego zapoznania się z notatkami geologów. Kto wie, co się w nich kryje. Może jakieś nowe dane dotyczące tej doliny?... To po pierwsze. A po drugie, proponuję jutro zbadać nie tylko grzbiet zbocza, ale i najbliższą okolicę. Dla uniknięcia jakiejś nowej niespodzianki.

— Mój biały brat słusznie mówi — odezwał się czarownik — ale po cóż tracić czas na badanie okolicy? Czerwoni wojownicy czekają na nas w Ukrytym Mieście, a droga przed nami daleka. Nim dwa razy słońce wzejdzie, powinniśmy być na koniach.

Nie śmiałem upierać się przy swoim zdaniu, tym bardziej że i Karol poparł Czerwoną Chmurę. Na razie stanęło na tym, że rozpalimy wewnątrz chaty ognisko, a przez całą noc jeden z nas na zmianę będzie sprawował wartę.

Wzięliśmy się do roboty. Pomagałem w ściąganiu skóry z jelenia i muszę się pochwalić, że jak na pierwszy raz, poszło mi wcale nieźle. Karol, jak to on, poklepał mnie protekcjonalnie po ramieniu — gdzież to się podział mój skromny pacjent ze szpitala w Milwaukee?

— No, Janie, masz wspaniałe zadatki na... rzeźnika. Ściągasz skórę, aż miło.

Rozpaliwszy ognisko, zajęliśmy się przygotowaniem pieczeni. Dopiero teraz przypomniałem sobie, że od rana nie miałem nic w ustach. Poczułem nagle taki głód, że kroiłem plastry jeleniego mięsa dwukrotnie większe od porcji moich współbiesiadników.

Księżyc wszedł już na szczyt nieba. Srebrne gwiazdy migotały w czerni i zapadła nocna cisza.

Dla ostrożności przywiązaliśmy konie na długich linkach do pni drzew. Potem ustaliliśmy kolejność wart. Na mnie przypadła pierwsza. O północy miałem obudzić Karola. Ognisko zostało przygaszone tak, że tylko czerwono żarzyły się głownie. Wziąłem broń, koc, bo noce były już chłodne, i usiadłem oparłszy się plecami o ścianę chaty.

Wybuch

Nocne czuwanie nie należy raczej do przyjemności, chociaż znam zapaleńców przepadających za bezsennymi nocami przy żarzącym się ognisku na prerii lub w głębi puszczy. Przyznaję, ma to pewien urok, ale nie mniejszy urok posiada spanie przy ognisku.

Tym razem konieczność pełnienia warty była dla mnie wyjątkowo uciążliwa. Naprężone podczas dnia nerwy ciągle jeszcze nie dawały mi spokoju. Raz po raz miałem wrażenie, że pośród drzew ktoś skrada się ku mnie. Nie pamiętam już, jak długo męczyły mnie te majaki. Podniosłem się, aby je rozproszyć, i zacząłem wolno przechadzać się wokół chaty.

Noc była dość widna, dolina tonęła w srebrnym blasku księżyca. Stojąc na skraju lasu, rozróżniałem dokładnie każdy głaz, każdy krzew. W pewnej chwili usłyszałem daleki, jakby przytłumiony głos wilka prerii — kojota. Skądże się wziął w tych okolicach?

Dokładnie obejrzawszy otwartą przestrzeń, zawróciłem do koni. Poczuły moją obecność i zastrzegły uszami. Mustangi indiańskie stały łeb przy łbie, nieruchome i piękne w tym spokoju. Podniosło mnie to na duchu. Wróciłem pod ścianę chaty. Chwilę jeszcze stałem nasłuchując oddechów śpiących towarzyszy, a potem otuliłem się kocem i siadłem z bronią u nóg.

Wolno mijały minuty, tak wolno, że zacząłem podejrzewać, iż mój zegarek — zwykle niezawodny — tym razem się zatrzymał. Przyłożyłem go do ucha. Cykał.

Wpatrzony w mroczny las i w rzekę księżycowego światła wypełniającego dolinę, rozmyślałem nad dziwnym zbiegiem okoliczności, które poprzedziły moją wyprawę na prerię. Długi szereg przyczyn i skutków przywiódł mnie aż tutaj, do Doliny Siodła. Ileż doświadczeń, ileż cennych prawd o człowieku, ileż wiedzy o życiu zdobyłem na tych pozornych pustkowiach Kanady?

Przed oczami przesuwały mi się obrazy minionych dni, aż zaczęła ogarniać mnie senność. Powieki „same" opadały na oczy. Postanowiłem więc pójść do strumienia i obmyć twarz zimną wodą. Nie zastanawiałem się nad tym, że pozostawienie bez ochrony śpiących towarzyszy było kapitalnym głupstwem. Wstałem przeciągając się i ziewając głośno. Powoli obszedłem dolinę wzdłuż linii lasu i dotarłem do strumienia.

Spłukałem twarz wodą zimną jak lód i zadowolony poszedłem z powrotem tą samą drogą.

W blasku księżyca dostrzegłem już szare ściany chaty. Odetchnąłem głęboko, bo mimo wszystko czułem lekkie wyrzuty sumienia. Dokoła było jednak cicho i spokojnie — nic nie zmąciło snu tych, nad których bezpieczeństwem miałem czuwać.

Nagłe — nie wiem nawet, jak to opowiedzieć — nastąpiło coś, czego nie mógłbym sobie wyobrazić w najbardziej ponurych przewidywaniach. Spod węgła chaty strzelił ku górze siny słup dymu i ognia, rozległ się ogłuszający huk. Podmuch gorącego powietrza obalił mnie na ziemię. Leżąc widziałem, jak szara chmura przesłania całą chatę...

Kiedy się dźwignąłem, dymna zasłona już opadła i nadal wznosiły się przede mną belkowania, ale w lewym rogu chata jakoś dziwnie się przekrzywiła. Moi towarzysze stali obok. Policzyłem ich. Byli wszyscy.

Schrypniętym głosem zapytałem:

— Co się stało?

— Do licha! — powiedział Karol. — To ja się ciebie o to pytam. Bawiłeś się bronią czy jak?... Przecież to był wybuch prochu.

— Kiepski dowcip, Karolu. Jak możesz tak mówić?

— Niech mój biały brat opowie, co się wydarzyło pod¬czas jego warty — usłyszałem spokojny głos Czerwonej Chmury.

Cóż miałem zrobić? Opowiedziałem bardzo dokładnie o swojej nocnej wędrówce. Karol milczał przez cały czas.

— Jeżeli moi biali bracia się zgadzają, obejrzymy miejsce wybuchu.

Jeden z narożników chaty został poważnie uszkodzony. Belki rozsunęły się, najniższa z nich była poszarpana i osmolona. Pod narożnikiem ział głęboki dół i wewnątrz ziemia nieco się zapadła. Zadumaliśmy się nad tym widokiem.

Milczenie przerwał Karol:

— Wygląda na to, że w chacie została zakopana amunicja. Prawdopodobnie rozpaliliśmy za duży ogień...

— To dlaczego nie wybuchło natychmiast? — ośmieliłem się zapytać.

— Ba, żebym ja to wiedział! Gdzie siedziałeś, Janie, przed pójściem do strumienia?

Wskazałem miejsce odległe o niecały jard od dołu. — Uff!... Gdybyś tam nie poszedł... strach pomyśleć... Co o tym sądzi Czerwona Chmura?

— Zbyt ciemno, żeby można było dobrze obejrzeć miejsce wybuchu — odrzekł powściągliwie czarownik. — Poczekamy do rana.

— Słusznie — zgodził się Karol — ale ja będę czekał śpiąc. Ledwie na oczy patrzę. Kto trzyma wartę?

Kiedy zgłosił się jeden z młodych wojowników, Karol wszedł do wnętrza chaty.

— Chcesz tam spać?! — wykrzyknąłem.

— Oczywiście. Zrobiłem sobie dobre legowisko, a teraz już chyba nie wylecimy w powietrze!

Tej nocy nie wydarzyło się nic więcej. Wstałem zadowolony, że tak szczęśliwie udało mi się uniknąć kalectwa albo śmierci.

Wczesnym rankiem przekopaliśmy dokładnie klepisko chaty, ale nic nie znaleźliśmy. Potem raz jeszcze dokładnie sprawdziliśmy ślady nocnego wybuchu. Czerwona Chmura, klęcząc, długo oglądał uszkodzoną belkę, przesypywał w palcach piasek wybrany z dołu.

— Czego szuka mój czerwony brat? — spytałem zaciekawiony.

— Resztek po nabojach albo po puszce z prochem. Nic tu nie ma. Czy to moich braci nie dziwi?

— To zastanawiające — odezwał się Karol. — Przecież powinny zostać jakieś ślady. Naprawdę dziwne!

— Wybuch mógł wszystko zniszczyć albo porozrzucać po lesie. Podmuch był tak silny, że mnie przewrócił — wtrąciłem.

— Może, może. Wszystko jest możliwe. Chociaż wygląda to tajemniczo... Chodźmy do strumienia.

Poszukiwania nad strumieniem i oględziny miejsca, w którym konie podniosły wczoraj alarm, również nie dały rezultatów. Trawa tak dokładnie już została zryta kopytami, że nic nie można było z niej wyczytać.

— I co o tym sądzicie? — zapytałem.

Karol wzruszył ramionami.

— Coś się kręciło wczoraj wokół doliny. A może i w samej dolinie... Niedźwiedź? Kto wie? Czy już odszedł, czy nadal jeszcze się wałęsa — to się okaże. Jak na jeden dzień, przyznam, trochę za wiele tych nie wyjaśnionych wypadków.

— Nie podejrzewasz w tym wszystkim ręki człowieka?

Zamyślił się na chwilę, a potem przecząco pokręcił głową.

— Zważywszy całość, raczej nie. Badaliśmy zresztą okolicę bardzo dokładnie. Chodziliśmy na polowania. Gdyby w pobliżu znajdował się człowiek, musiałby polować. Huk strzałów niesie się tutaj bardzo daleko. Czy słyszałeś jakieś „obce" strzały, Janie?

— Nie.

— No widzisz.

— Ale nieznajomy mógł się tu zjawić dopiero wczoraj.

— Hm... mógł. Pewnie. Dlatego proponuję, aby dwóch z nas udało się na grzbiet nagiego zbocza, i to zaraz.

Miałem wielką ochotę wziąć udział w tej wyprawie, ale nawet tego nie proponowałem. I Karol, i Czerwona Chmura potrafili lepiej ode mnie odczytywać ślady. Zostałem więc w towarzystwie dwóch indiańskich wojowników. Ba, znowu przeklęta nieznajomość języka pozbawiła mnie przyjemności rozmowy z nimi. Ciągle jeszcze były to dla mnie dwa milczące posągi. Mogę tylko wyrazić podziw dla ich sprawności fizycznej i gotowości wykonywania najcięższych nawet zadań. Jakże wspaniale wychowuje indiańska szkoła życia! Nie mogąc rozmawiać, usiadłem w cieniu drzew i zająłem się znalezionym rękopisem.

Dziennik ten, na początku dość wyraźny, im bliżej końca, tym trudniejszy stawał się do odczytania. Autor zapewne spieszył się, a jednocześnie starał się opisać jak najwięcej faktów. W sumie nie był to pamiętnik wyprawy naukowej, raczej jakaś dziwna mieszanina własnych wrażeń i rozmów prowadzonych w drodze — z rzeczowymi określeniami celu ekspedycji i jej odkryć.

Oto treść rękopisu taka, jak wiernie ją sobie przepisałem.

Pamiętnik Harry Smotha

Do wszystkich, którzy znajdą te notatki. Proszą o dostarczenie ich do sekretariatu uniwersytetu w St. Louis, USA.

15 kwietnia 1881 roku

Zaczynam pisać sprawozdanie z ekspedycji naukowej zorganizowanej przez pracownię mineralogii uniwersytetu w St. Louis.

Wyprawa ma na celu zapoznanie się z bogactwami mineralnymi części obszaru Gór Skalistych, na północny zachód od źródeł południowego Saskatchewan.

W wyprawie biorą udział: autor notatek, adiunkt uniwersytetu, Harry Smoth i inżynier górnik Joe Lawson, pracownik Inżynieryjnej Spółki Wiertniczej w St. Louis.

Rozpoczynam te zapiski w dniu 15 kwietnia 1881 roku. Tego dnia wysiedliśmy z pociągu na stacji kanadyjskiej o dziwnej nazwie „Samotna". Jest to miejscowość składająca się z kilku domków osadniczych i zabudowań faktorii Hudson's Bay Company. Wyładowaliśmy bagaż i cztery nasze konie. Dwa z nich mają juki do dźwigania narzędzi górniczych i ewentualnych próbek minerałów.

17 kwietnia

Od dwóch dni w drodze. Góry coraz bliższe. Ani dla Lawsona, ani dla mnie to nie pierwszyzna. Rok temu badaliśmy kanion Colorado. Lubię tę pracę. Jest w niej coś z pionierstwa. Kilka tygodni traperskiego życia stanowi dla mnie wspaniały odpoczynek po żmudnym ślęczeniu przez całą zimę w pracowni. Lawson — to człowiek z głową i dobry fachowiec. Nasza współpraca, jak i dawniej, układa się znakomicie.

19 kwietnia

Góry! Piszę te słowa w osłoniętej od wiatru kotlince, w blasku ogniska. Od jutra zaczniemy rozglądać się po skałach. Trzeba dużej spostrzegawczości i pewnej dozy szczęścia, aby móc dokonać jakiegoś cennego odkrycia. Jak powiada przysłowie: „Odważnym szczęście sprzyja". Nie wiem dlaczego, ale pełen jestem dobrych myśli co do przyszłych efektów naszej ekspedycji. Teraz spać! Oczy mi się kleją. Jutro, skoro świt, w drogę.

22 kwietnia

Nie pisałem przez dwa dni. Zmęczenie. Pierwsze dni poszukiwań są najbardziej wyczerpujące. Zwłaszcza dla mnie. Potem jakoś się przyzwyczajam. Prawdopodobnie następuje przystosowanie się organizmu do nowego trybu życia. Dotychczasowe wyniki kiepskie: granity, gnejsy, gdzieniegdzie piaskowiec. Natrafiliśmy co prawda na ślady rud żelaza, ale tych darniowych, najgorszego rodzaju.

23 kwietnia

Lawson to dobry strzelec. Uzupełnił dziś nasze zapasy parą zajęcy-bielaków. Chude jednak były, biedaki. Jeszcze się nie podkarmiły po zimie. Wieczorem interesująca rozmowa o Alasce. Lawson bawił tam przez dwa lata. Poszukiwał złota. O takim odkryciu tu, w Górach Skalistych, nawet nie ma co marzyć. To by dopiero była sensacja!

24 kwietnia

Dziś dwukrotnie słyszałem odgłos strzału. Echo niesie tak daleko, że trudno nawet w przybliżeniu zorientować się, gdzie przebywa nieznany myśliwy. Lawson trochę zaniepokoił się tym faktem. Twierdzi, że lepiej unikać spotkań z ludźmi. Powiada, że tutaj ekspedycje uczonych spotyka się raczej rzadko. Dowcipniś! Za to — jak twierdzi — kręcą się ludzie, których wykształcenie mieści się w granicach celnego strzału i zręcznego używania noża.

25 kwietnia

Coś ciekawszego po tych monotonnych dniach. Posuwamy się wzdłuż dolin, nadal pilnie badając skały. W braku czegoś lepszego, skompletowałem piękną kolekcję bazaltów i skałek kredowych z licznymi śladami muszli. Jedziemy teraz wzdłuż koryta sporego strumienia. Dzisiaj zatrzymaliśmy się nad nim przez cały dzień, grzebiąc wśród kamyczków i piasku. Lawson — mocno przeze mnie wyśmiany — zajął się przepłukiwaniem piasku. Znalazł parę drobin złota. Zauważyłem, że takie ilości złota bez trudu można znaleźć w wielu rzekach kanadyjskich, ale to oczywiście nic jeszcze nie oznacza. Lawson traktuje swe odkrycie poważniej. Nalega, aby jechać nadal wzdłuż strumienia. Nie sprzeciwiam się. Woda pod ręką to wielka dogodność podczas takiej wędrówki.

27 kwietnia

Wędrujemy wzdłuż strumienia. Droga ciężka. Gdzieniegdzie ściany gór zbliżają się ku sobie. W tych miejscach brzeg zamienia się w wąziutki przesmyk między wodą a skałą, często jeszcze zawalony głazami. Największy kłopot sprawiają nam konie juczne. Potężne toboły, jakie dźwigają, w miejscach węższych ocierają się o ściany wąwozu. Bardzo to utrudnia posuwanie się. Całe szczęście, że nie zależy nam na pośpiechu. Mamy przed sobą jeszcze miesiące wiosny, lata i wczesnej jesieni. Nie chcę wracać bez jakichś konkretnych i

opłacalnych rezultatów. Lawson całkowicie podziela mój pogląd. A w ogóle — nie istnieją pomiędzy nami żadne sprawy sporne. Z jednym tylko wyjątkiem: nie mogę się pogodzić z marnowaniem czasu na badanie rzecznego żwiru. Wynikają z tego bezsensowne przerwy w podróży. Lawson ponawia swoje próby kilka razy dziennie. Wynik zawsze ten sam: po mozolnym przepłukiwaniu zostaje na dnie sita zaledwie kilka mikroskopijnych punkcików. Żeby z tego piasku uzyskać chociaż gram złota, trzeba by chyba przerzucić tony ziemi! Całkiem nieopłacalna robota. Ale Lawson jest uparty. Taki już ma charakter, cenny w zmaganiu się z przeszkodami stawianymi człowiekowi przez pierwotną przyrodę. Ale dlaczego uparł się z tym złotem? Podejrzewam, że obudziła się w nim żyłka eksplorera z czasów wędrówek po Alasce. Podobno to bardzo niebezpieczna pasja, odżywa przy każdej okazji.

29 kwietnia

Rozbiliśmy obozowisko na wspaniałej polance pokrytej świeżą wiosenną trawą. Strumień przepływa przez jej środek. Konie pasą się swobodnie, a my obtłukujemy oskardami skaliste zbocza. Lawson oczywiście zaczął od badania dna potoku. Bez większego zresztą rezultatu. Zawsze to samo: ślady złotego piasku. Zapytałem go: „Człowieku, co cię opętało? Przyznaj się". Odrzekł na to, że w tych górach musi być złoto. Żałuję, iż nie potrafię odtworzyć w zapiskach tego swoistego akcentu, z jakim wymówił słowo „musi". Odpowiedziałem mu tak, jak kilkakrotnie już przedtem: takie drobiny mogą się znajdować w piasku dosłownie wszędzie, ale to przecież o niczym nie świadczy. Na te słowa Lawson się uśmiechnął i odezwał się mniej więcej tak: „Profesorze — gdy chce podkreślić wagę swej wypowiedzi, zawsze tytułuje mnie profesorem — to wszystko słuszne, co pan mówi. Zgadzam się. Ale ja mam w tych sprawach dobry nos, a mój nos powiada, że gdzieś w bliskości tej wody znajdują się pokłady złota".

No i co z takim, począć? Nie było sensu dyskutować z tym stanowiskiem, opartym nie na konkretnych danych, ale na... fantazji. Mój „nos" nic mi nie mówi. Cieszę się natomiast z odkrycia śladów rudy miedzi. Piękne okazy natychmiast załadowałem do worka. Kto wie? Może kiedyś, gdy tory kolejowe przetną te góry, powstaną tu kopalnie?

30 kwietnia

Prawdziwy cud, że jeszcze żyję. Oto w poszukiwaniu kruszców zawędrowałem w ustronną część dolinki. Nie czułem się zresztą osamotniony, bo z daleka dobiegał moich uszu dźwięczny głos oskarda, którym Lawson pracowicie przeorywał kamieniste zbocze wąwozu. Wędrując tak, dotarłem do mało widocznego, bo zasłoniętego krzakami otworu. Licho mnie podkusiło, żeby zajrzeć do środka. W takich grotach, zwłaszcza jeżeli są przestronne i ciągną się daleko w głąb ziemi, można znaleźć nie lada skarby. Oczywiście mam na myśli „skarby" o wartości naukowej.

Wsunąłem głowę do wnętrza, ale było tak ciemno, że nic nie mogłem dostrzec. Począłem więc wokół szukać chrustu. Znalazłem wcale niemały pęczek. Związałem go trawą, podpaliłem i cisnąłem w głąb groty. Na chwilę zrobiło się w niej widno jak w dzień. Dałem krok do środka i natychmiast wyskoczyłem jak oparzony. Za mną wyleciał, wściekle kłapiąc zębami i wyciągając łapy zaopatrzone w długie pazury, wielki rosomak. W porównaniu z niedźwiedziem zwierzę to jest karzełkiem, ale zapalczywość i krwiożerczość czynią je

groźnym nawet dla potężniejszych przeciwników. Znam z opowiadań wypadki, kiedy niedźwiedź przechodził obok człowieka, nawet nie zwróciwszy nań uwagi. Syty wilk nie zaatakuje nikogo. Puma, zwana lwem amerykańskim, może uciec na dźwięk ludzkiego głosu. Rosomak nigdy tego nie uczyni. W stan wściekłości wprowadza go czyjekolwiek sąsiedztwo, a raz wdawszy się w walkę, nie przerwie jej i nie ucieknie. Wiedziałem o tym wszystkim. Wiedziałem również, iż uderzenie łapy uzbrojonej w potężne pazury może być śmiertelne. Począłem uciekać. Czułem, jak włosy jeżą mi się na głowie. Krzyczałem. Lawson jednak szybko się zorientował. Wybiegł naprzeciw ze strzelbą w ręku. Wrzasnął na mnie, żebym uskoczył w bok. Kiedy w panice ucieczki nie zrozumiałem, o co mu chodzi, podbiegł i silnym pchnięciem ramienia obalił mnie na trawę. Równocześnie usłyszałem dwukrotny huk wystrzału. Dźwignąłem się z trudem. Zwierz leżał w kałuży krwi. Lawson gorączkowo nabijał sztucer. Znowu na mnie krzyknął, abym nie pochodził: „Te bestie mają żelazne życie!"

Usiadłem, ciężko oddychając. Lawson złożył się i oddał jeszcze jeden strzał.

„No, chyba wystarczy — powiedział kiwając głową. — Aj, profesorze, niewiele brakowało, a byłoby o jednego z nas mniej. Kiedyż pan zrozumie, że podczas takiej wyprawy nie wolno rozstawać się z bronią?"

Pomógł mi wstać i troskliwie wypytywał o moje... kości. Uśmiechnąłem się z przymusem. „Po cóż było mnie przewracać?" — zapytałem.

„Bardzo mi przykro — odpowiedział — ale musiałem tak postąpić, aby odwrócić uwagę zwierzęcia od pańskiej osoby. Poza tym znajdował się pan na linii strzału. Jeszcze kilka sekund, a tak samo leżałby pan na ziemi, tyle że z rosomakiem na karku. Nie ma pan chyba do mnie Żalu?"

Uścisnąłem mu serdecznie rękę. Teraz, gdy piszę te słowa przy wieczornym ognisku, jeszcze wzdrygam się na myśl o tym wypadku...

3 maja

Jesteśmy wciąż nad korytem tego samego strumienia. Lawson triumfuje. Twierdzi, że ilość ziarenek złota na dnie sita powiększa się. Chciał nawet, żebym je przeliczył, ale machnąłem na to ręką. Interesuje mnie zupełnie co innego — ślady pobytu człowieka w tych stronach. Odkryłem kilka pni zrąbanych świerków. Lawson obejrzał je dokładnie. Według niego, ścięte zostały przed rokiem albo i jeszcze dawniej. Twierdzi, że nie musimy się lękać niespodziewanych odwiedzin. Brzmi to bardzo pocieszająco.

7 maja

Mój zbiór próbek skał pęcznieje. Jestem zadowolony. Lawson nie może odżałować futra rosomaka. Niestety, żaden z nas nie umie ściągać skóry. Jutro ruszamy dalej.

10 maja

Czyżby Lawson się nie mylił? Piasek zawiera coraz więcej złotych ziarenek. Z tego wynika, że gdzieś w górze strumienia znajdują się złotodajne pokłady. Lawson zaczyna się niecierpliwić. To już typowa gorączka złota. Niebezpieczna choroba. Chciałby jak najprędzej dotrzeć do rzekomych skarbów. Dzisiaj znowu napotkaliśmy kilka ściętych drzewek. Te strony nie są tak bezludne, jakby się wydawało.

14 maja

Trzy dni nie prowadziłem notatek, więc teraz uzupełniam je z pamięci. W naszej wędrówce natrafiliśmy na tajemniczą dolinę, częściowo porosłą lasem, częściowo tylko trawą. Doprowadził nas do niej nasz strumień. Nazwałem go w myślach „złotym strumieniem". Dlaczego? Zaraz wytłumaczę.

Przybywszy do tej doliny, zaczęliśmy się rozglądać za dogodnym miejscem na nocleg. Chodząc tu i tam, w pewnej chwili usłyszałem wzywający mnie głos Lawsona. Nauczony doświadczeniem, porwałem za strzelbę i pobiegłem. Tym razem jednak chodziło o... dom. Tak, tak, dom.

W głębi lasu, dokąd zawezwał mnie Lawson, wznosił się dziwaczny budynek. Zbity z grubych, ledwo ociosanych pni. Bez okien. Prostokątny otwór zastępował drzwi. Stanąłem zdumiony.

„No cóż, profesorze, czemu pan tak zaniemówił?" — spytał Lawson.

Odpowiedziałem, że jestem zaskoczony tym dziełem rąk ludzkich w samym sercu głuszy. Weszliśmy do środka. Cóż za prymityw! Podłoga — klepisko, nawet kiepskie klepisko, bo gdzieniegdzie porosłe kępkami traw, które szeleściły pod nogami. W półmroku, mimo iż słońce zaglądało właśnie w otwór wejściowy, rozróżniłem kilka desek przymocowanych do czterech kołków wbitych w ziemię. Miało to imitować stół. Mniejsza deska, umocowana na palikach, służyła zapewne jako ława. Nieco na boku leżały płaskie kamienie. Teraz dopiero zauważyłem otwór wycięty w dachu. Znajdował się w prostej linii nad kamieniami. Ktoś tu rozpalał ognisko. Lawson przyniósł nieco chrustu i podpalił. Zrobiło się widniej. Wnętrze nie było duże, więc przeszukaliśmy je szybko, ale prócz zardzewiałego sita nic nie znaleźliśmy.

„Któż tu mógł mieszkać? — zastanawiałem się głośno.— Traperzy wędrujący za zwierzyną nie budują chat."

„A to sito nic panu nie mówi, profesorze?" — zagadnął Lawson.

Rzeczywiście, sito. Teraz wszystko stało się dla mnie jasne. Więc w tej dolinie mieszkał poszukiwacz złota! Kiedy mieszkał i co z nim się stało? Według Lawsona: albo znalazł to, czego szukał, i odszedł ze skarbem, albo nic nie. znalazł i — również odszedł.

„Czy nie sądzi pan, inżynierze, że poszukiwacz czy poszukiwacze mogą tu wrócić? — zaniepokoiłem się. — Wcale bym sobie tego nie życzył."

Inżynier podzielił mój niepokój, ale był przekonany, że tutaj nikt już nie wróci. Zapytałem, z czego to wnioskuje. Odparł, że z wieku budynku. „Sądząc po drzewie — takie były jego słowa — i po trawie, która tu wyrosła, chata liczy sobie jakieś pięć-sześć lat, jeśli nie więcej. Od tej pory nie była zamieszkiwana. Nic na to nie wskazuje. Niech pan spojrzy, profesorze, na sito. Jest prawie całkowicie przeżarte rdzą."

Przyznałem mu rację i odetchnąłem. Jestem przecież spokojnym człowiekiem. Lubię pierwotną przyrodę, ale nie znoszę pierwotnych ludzi. A tylko tacy, moim zdaniem, mogli zamieszkiwać w tej okropnej norze.

Wyszliśmy na dwór i od razu lżej mi się zrobiło. Ta chata wywierała przygnębiające wrażenie. Zwierzyłem się z tego Lawsonowi. Twierdzi, że jestem przeczulony. On podczas swych prac górniczych napotykał dziesiątki chat równie ponurych jak ta, którą przed chwilą oglądaliśmy.

Teraz dopiero rozsiodłaliśmy konie. Wieczór upłynął wesoło przy trzaskającym ogniu. Wspominając nasze przygody w kanionie Colorado, pozbyłem się niedawnych obaw. Potem Lawson sięgnął pamięcią do swych młodzieńczych lat, a że gawędziarz z niego znakomity, zasiedzieliśmy się prawie do północy.

15 maja

Piszę późnym wieczorem. Dziś od samego rana raz jeszcze oglądaliśmy dokładnie wnętrze chaty. Lawson w zapale zrył klepisko kilofem. Nic nie znalazł. Ani skarbów, ani żadnych śladów pobytu człowieka. Z kolei zajęliśmy 6ię badaniem doliny. Jest bardzo obszerna i jej przeszukanie zajmie nam sporo czasu. Dziś mija miesiąc od dnia w którym wysiedliśmy na stacji Samotna. Jak ten czas leci!

16 maja

Nie opisałem jeszcze topografii doliny. Kształt ma wydłużony. Rozszerza się nieco w jednym końcu, zwęża w drugim. Północne zbocze porosłe jest wysokopiennym lasem. Zbocze przeciwległe jest nagie, bardziej łagodnie nachylone, pokryte trawą i kamieniami. U jego stóp płynie strumień. Badając dolinę Lawson, starym zwyczajem, wziął się do przesiewania piasku i żwiru pobranego z dna. Ja — uzbrojony w kilof i łopatę — począłem grzebać na zboczu. Trwało to chyba dobrą godzinę, po upływie której pracę przerwało mi wołanie mego towarzysza. Czym prędzej zbiegłem z kilofem w dłoni. Strzelby znowu nie miałem pod ręką. Ani rusz nie mogę się przyzwyczaić do noszenia broni. Tym razem, na szczęście, nie była potrzebna.

Lawson już z daleka machnął ku mnie ręką. „Niech pan tu spojrzy!" — krzyczał. Spojrzałem i — muszę przyznać — zaniemówiłem. Dno sita lśniło żółtą powłoką. Były to drobinki kruszcu, ale tak gęsto rozsiane, iż sprawiały wrażenie jednolitej masy. Lawson odetchnął głęboko i otarł pot z czoła. Dobrze się widać napracował.

„Chyba trafiłem na żyłę — powiedział — albo na jej bliskie sąsiedztwo. Co pan na to?"

Jeszcze przez chwilę nie mogłem złapać oddechu. Trochę ze zmęczenia spowodowanego biegiem, trochę z wrażenia. Odpowiedziałem, że wszystko to wydaje się nieprawdopodobne. Nigdy bowiem nie słyszałem, aby w tych rejonach Gór Skalistych ktokolwiek znalazł choćby ślad złóż złota. Zacząłem sobie przypominać wszystkie swe wiadomości o układach geologicznych, występujących zazwyczaj w sąsiedztwie tego cennego pierwiastka.

„Są dwie możliwości — powiedziałem przychodząc do równowagi. — Albo na dnie strumienia znajduje się żyła złota, albo po prostu złoto zmywane jest ze zbocza góry. Raczej sądzę, że zachodzi ten drugi wypadek."

Lawson zgodził się ze mną. Nasuwało się teraz pytanie: z którego zbocza i z której góry deszcze spłukały złoty pył? Czy z tej, u stóp której staliśmy, czy z jakiejś innej, odległej może o kilka mil? Najwyżej o kilka mil. Złote ziarenka są przecież zbyt ciężkie, aby nawet najbardziej rwąca woda górskiego strumienia mogła je przenieść na większą odległość. Zdecydowaliśmy się najpierw przeszukać koryto strumienia. W miarę posuwania się pod prąd ilość złota wypłukiwana z każdej porcji piasku wzrastała, ale tylko do pewnego momentu. Gdyśmy dotarli do przeciwległego krańca doliny, przez który przeciska się szumiący i spieniony strumień, w piasku nie znaleźliśmy już ani śladu złotego pyłu. Sprawa okazała się

więc prosta. Od jutra zaczynamy przeszukiwać zbocze.

17 maja

Dzień niezwykle uciążliwej pracy. Ledwo mogę ołówek utrzymać w palcach. Wzdłuż całego zbocza do wysokości pięćdziesięciu jardów ryliśmy doły. 'Najbardziej męczące było przepłukiwanie w wodzie wydobytej z dołów ziemi. Rezultaty — mało radosne. Nic albo prawie nic. Grzbiet mnie boli, ręce mam zdrętwiałe. Na domiar wszystkiego muszę pamiętać o żywności i o jedzeniu. Lawsona ogarnęła gorączka złota. Mógłby się tak paprać w ziemi i w błocie przez cały dzień bez przerwy. Kopałby i w nocy, gdyby można było cokolwiek dostrzec.

18 maja

W miarę, jak linia dołów posuwa się w górę strumienia, coraz więcej złotych punkcików pojawia się na dnie naszego sita. Jesteśmy więc na dobrej drodze. Na tym kończę. Jestem śmiertelnie zmęczony. Spać, spać!

19 maja

Okazuje się, że przed nami ktoś już tutaj próbował szczęścia, i to z powodzeniem. Dziś natrafiliśmy na ślady rycia zbocza. Co prawda trawa zdążyła już porosnąć, ale pozostały wgłębienia, a nawet na pół zasypane doły. Wziąłem się natychmiast do pogłębiania jednego z nich. Po wyrzuceniu ziemi natrafiłem na skałę kwarcową, ale tak zwietrzałą, że nieledwie kruszy się w palcach. Po kilku uderzeniach miałem pod nogami kwarcowy pył. Począłem rozgrzebywać gruzowisko i wtedy właśnie znalazłem dwie grudki rodzimego złota. Duże jak orzechy. Lawson obejrzał je okiem znawcy. Wyraził zdziwienie, że ktoś pozostawił taki skarb ukryty w ziemi. „Przecież tu właśnie musi się znajdować żyła" — powiedział spoglądając na mnie roziskrzonym wzrokiem. Lękam się o niego. Gorączka złota doszła do szczytu. Oby nie odebrała inżynierowi rozsądku!

Dlaczego „ktoś" pozostawił nie wyeksploatowany pokład złota — długo dyskutowaliśmy przy wieczornym ognisku. Doszliśmy do wniosku, że mieszkańcom chaty zagrozić musiało jakieś niespodziewane niebezpieczeństwo. Dlatego opuścili dolinę. Z drugiej jednak strony, niebezpieczeństwo to nie było tak nagłe, bo zabrali z sobą swoje bagaże i na pewno sprzęt górniczy. Niewiele z tego wszystkiego mogę pojąć. Lawson wysnuwa najbardziej fantastyczne przypuszczenia, a po sekundzie sam się z nich śmieje.

Narodził się teraz problem: co dalej? Czy eksploatować wykopany dół, czy kopać gdzie indziej? Doszedłem do wniosku, że jednak pomyliłem się w ocenie Lawsona. Złoto wcale nie przewróciło mu w głowie. Wysunął bardzo rozsądną propozycję. Zgadzam się z nim całkowicie. Chodzi o to, aby wybrać złote grudki z wykopanego dołu, zasypać go i rozpocząć poszukiwania dalej. Nie zostaliśmy bowiem wysłani celem eksploatacji pokładów złota, lecz jedynie celem oznaczenia miejsc, w których występują wartościowe rudy. Lawson uważa jednak, że wobec takiego odkrycia należy znacznie przyspieszyć powrót do St. Louis, tak aby można było tu powrócić jeszcze w lecie.

20 maja

Dzisiaj prowadziliśmy dalsze poszukiwania w terenie. Przetrząsnęliśmy wszystkie stare „dziury". Nie ulega wątpliwości, iż pokłady złotodajne nie zostały całkowicie wyeksploatowane. Sądzę, że wydobyto stąd zaledwie drobną część. Moim zdaniem — a Lawson to potwierdza — jest to największe z dotychczasowych odkryć złota na kontynencie amerykańskim. Zgodnie z naszym planem, po dokopaniu się do złotonośnego kwarcu pobieramy kilka próbek, a resztę zasypujemy. Lawson nagli do jak najszybszego powrotu. Postanowiliśmy zostać tutaj jeszcze kilka dni, najwyżej tydzień. Pogoda piękna, więc mimo zmęczenia czujemy się obaj doskonale. Wyobrażam sobie, jakiego huku narobi w St. Louis wiadomość o naszym skarbie!

22 maja

Niespodzianka, i to nieco kłopotliwa. Kiedy piszę te słowa, późnym wieczorem, jest nas przy ognisku... trzech. Jak do tego doszło, pokrótce wyjaśnię. Wczoraj wieczorem, gdy zabieraliśmy się do spania, Lawson, zajęty układaniem derek, przerwał nagle tę czynność, schwycił mnie za rękę i niespodziewanie wyciągnął poza zasięg blasku ognia. W pierwszej chwili sądziłem, że skrada się ku nam jakiś drapieżca — niedźwiedź, wilk... Lawson zorientował się jednak szybciej. „Profesorze — powiedział ściszając głos — ktoś się tu zbliża."

Nastawiłem uszu. Nic, tylko monotonny szum strumienia. Staliśmy w milczeniu. I oto nagle usłyszałem powolne człapanie. Głuche, to znów z metalicznym podźwiękiem. To był koń. Stąpający po trawie, to znów zawadzający o licznie rozsiane kamienie. Natężyłem wzrok, zmrużyłem powieki. Ogień rzucał drgające kolisko blasku, który roztapiał się w mroku nocy. Wreszcie w tym świetlistym kręgu ukazała się sylwetka konia i człowieka stąpającego przed koniem. Człowiek ów przystanął, przysłonił dłonią oczy i zawołał: „Jest tam kto?"

Uczyniłem krok naprzód, ale Lawson zatrzymał mnie na granicy cienia.

„Ostrożnie, profesorze — szepnął — on ma broń! — A głośno zapytał: — Kim jesteś?"

„Proszę o miejsce przy ogniu."

„Odłóż strzelbę."

Widziałem, jak nieznajomy zawiesił na łęku siodła karabin, który do tej pory trzymał w ręku, i wyciągnął ku nam obie wolne dłonie.

Dopiero teraz Lawson wyszedł z cienia, nie wypuszczając jednak z rąk sztucera. Uczyniłem to samo.

„O, to was jest dwóch?" — powiedział przybysz tonem, w którym wyczułem jakby rozczarowanie. Może mi się zresztą tylko tak zdawało? Sam nie wiem.

„Czy będę mógł tu spędzić noc? — zapytał nieznajomy. — Wieczory ciągle jeszcze są dość chłodne i zmarzłem na kość, włócząc się po tych wertepach."

Lawson ruchem ręki wskazał mu miejsce przy ogniu. Skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, przyglądając się sobie wzajemnie.

„Skąd droga prowadzi?" — zapytałem pragnąc przerwać kłopotliwe milczenie.

Przybysz jakby tego nie dosłyszał. Z kieszeni kurtki wydobył krótką fajeczkę.

„Nie macie tytoniu?"

Lawson wyciągnął kapciuch i podał mu. Nabijał fajkę powoli.

„Od dwóch tygodni się tu włóczę i poza marnymi królikami nie spotkałem innej zwierzyny. Prawdziwy pech. Na domiar wszystkiego zgubiłem gdzieś swój tytoń."

„Podzielimy się" — zaproponowałem.

„Źle pan trafił — dodał Lawson. — Wiosna to najgorszy sezon. Futra kiepskie, mięso chude..."

„Wiadomo — mruknął nieznajomy. — Toteż nie futer tutaj szukam."

„A czego?" — podchwycił mój towarzysz.

„Jadę do Klondike, a poluję tylko dla własnej potrzeby. Ostatnio nie bardzo mi się wiodło."

Zgodnie ze zwyczajowym prawem podzieliliśmy się z przybyszem całym zapasem naszego prowiantu. Piękne to prawo i jakże słuszne na tym odludziu. Potem pokładaliśmy się spać. Zauważyłem jednak, że Lawson co chwila zerkał spod swego koca na nieproszonego gościa, a strzelbę położył pod ręką. Co było później, nie wiem, bo zasnąłem jak kamień.

Nazajutrz miałem okazję przypatrzyć się dokładniej nie-znajomemu. Szczupły, bardzo szczupły blondyn. Robił przyjemne wrażenie. Sympatyczną całość psuły jedynie oczy nieokreślonej barwy. Niby niebieskie, ale tak blade, że prawie białe. Coś niepokojącego czaiło się w źrenicach tych oczu. Przypominały mi oczy rekina, którego niegdyś oglądałem, oczy o dziwnie okrutnym spojrzeniu. Może zresztą przesadzam. Głos ma również charakterystyczny, nieco gardłowy. Zwróciłem uwagę na szramę przecinającą lewy policzek. Dostrzegł to i uśmiechnął się. „Pamiątka po niedźwiedziu" — wyjaśnił.

Odwzajemniłem się za tę informację, streściwszy swą przygodę z rosomakiem. Od słowa do słowa, opowiedziałem o celu naszej wyprawy. Wydało mi się, że w pewnej chwili twarz mu się zmieniła, a spojrzenie, którym mnie obrzucił, było wyraźnie wrogie.

Kiedy się oddalił do koni, podzieliłem się swymi wrażeniami z Lawsonem. Dowiedziawszy się, że zdradziłem powód naszego tu pobytu, Lawson mocno się zafrasował. Zapamiętałem sobie jego słowa i dokładnie je zapisuję: „Ej, profesorze, obym nie był złym prorokiem. Z tego nic dobrego nie wyjdzie. Po co pan tyle gadał?"

„Nie wiedziałem, że nasza wyprawa jest czymś aż tak bardzo tajemniczym — odparłem nieco urażony. — A poza tym wydaje mi się, że mam prawo wypowiadać się na ten temat."

„Ależ oczywiście. Nie chciałem pana dotknąć, Rzecz w tym..." — tu przerwał na widok nieznajomego.

Nie dowiedziałem się więc, w czym rzecz. Jutro muszę zapytać Lawsona, o co mu właściwie chodzi.

24 maja

Nasz nieznajomy nazywa się Scott. Dzisiaj rano podał mi to nazwisko. Jednocześnie oświadczył, że nie może być — jak się wyraził — darmozjadem i idzie popróbować szczęścia ze strzelbą. Konia powierzył naszej opiece. Teraz dopiero odbyliśmy walną naradę. Można by ją nazwać naradą wojenną. Lawson powiedział mi wręcz, że nie wierzy ani jednemu słowu rzekomego — tak właśnie się wyraził: „rzekomego" — Scotta. Ani temu, że udaje się do Klonikiem, ani temu, że polował w tych górach, i w ogóle ten człowiek mu się nie podoba. Na to ja odparłem, że istot-nie jest to dla nas kłopotliwa wizyta, ale tylko z powodu odkrytych przez nas pokładów złotonośnych. Sam Scott robi wrażenie dość sympatyczne i nie ma powodu, aby mu nie ufać. Myślę, iż sądzi, że poświęcamy się wyłącznie zbieraniu minerałów,

i pewnie ani w głowie mu złoto. Jeśli jednak Lawson uważa go za podejrzanego — pakujmy ma-natki i odjeżdżajmy natychmiast. Można przecież na widocznym miejscu zostawić kartkę z przeprosinami. Miałyśmy się nie pokłócili. Inżynier wyśmiał mnie i oświadczył, że tak naiwnego człowieka jak ja w życiu jeszcze nie spotkał. Odjeżdżać w tej chwili nie ma sensu. Rzekomy Scott, jeśli tylko zechce, dogoni nas albo będzie jechał za nami. „Wolę go mieć obok siebie — oświadczył — niż za plecami.

Powiedziałem, że nie rozumiem, po co miałby za nami jechać. Przecież może tu zostać.

„I wówczas na pewno doszuka się złota! — krzyknął z cicha Lawson. — Nie jest przecież ślepcem. Nie, nie! Musimy wyruszyć stąd razem. A teraz wydaje mi się, profesorze, że trzeba nieco lepiej zasypać nasze doły, a przede wszystkim zrobić dokładny plan tej doliny i oznaczyć jej położenie. Ja zajmę się dołami, a pan planem. Musimy się spieszyć, gość nie może o niczym wiedzieć."

Zgodziłem się z tym stanowiskiem, podkreślając jednak, że nie podzielam zastrzeżeń dotyczących Scotta. Powiedziałem: „Strach ma wielkie oczy" czy coś w tym rodzaju i zaraz tego pożałowałem. Lawson poczerwieniał na twarzy. Nie odezwał się jednak słowem. Zabrawszy kilof i łopatę, udał się na zbocze nad strumieniem.

Zły na samego siebie, zabrałem się do swych kartograficznych czynności. Wyciągnąłem wszystkie, jakie tylko miałem, mapy, niezbyt zresztą dokładne. Postanowiłem sporządzić plan doliny i okolic w dwóch egzemplarzach. Już podczas rysowania przyszedł mi do głowy doskonały, moim zdaniem, pomysł. Oto zdecydowałem, że długość i szerokość geograficzną oznaczę na innej, przezroczystej kartce. Gdyby plan wpadł w niepowołane ręce, bez oznaczeń geograficznych będzie tylko bezwartościowym świstkiem. Dopiero nałożenie na siebie dwóch kartek — tej z mapką i tej z oznaczeniami długości i szerokości — stworzy całość.

Pracowałem w pocie czoła, nastawiając uszu, czy ktoś nie nadchodzi. Poza grzechotem drobnych kamieni, którymi Lawson zasypywał nasze doły, nic nie słyszałem. Uwinąłem się nad podziw szybko. Gdzieś koło południa robotę miałem w połowie gotową; to znaczy jedną mapkę i jedną „podkładkę" z południkami i równoleżnikami. Teraz zabrałem się do kopiowania. Poszło to jeszcze prędzej. Kiedy chowałem papiery i ołówki, nadszedł Lawson.

„Panie inżynierze — powiedziałem oficjalnym tonem — sporządziłem plany w dwóch egzemplarzach. Ten plan i ta podkładka są dla pana. Plan lepiej nosić przy sobie, podkładkę schować do juków. Ja postąpię odwrotnie: podkładkę będę nosił w kurtce, mapę schowam do kieszeni siodła. W ten sposób lepiej zabezpieczymy się przed możliwością zagubienia planów lub dostania się ich w niepowołane ręce".

Kiwnął głową na znak zgody i odszedł. Zacząłem teraz pakować instrumenty do tobołów. Kiedy się z tym uporałem, Lawson siedział już przy płonącym ognisku.

„Jakoś naszego myśliwego nie widać" — odezwał się z przekąsem, po czym wziął puszkę z mąką i poszedł zagniatać ciasto na podpłomyki.

Siedziałem dłuższą chwilę wpatrzony w ogień. Tak zastał mnie Scott — „rzekomy", jak twierdzi inżynier. Słyszałem go już z daleka, bo wracał pogwizdując. Ten drobny fakt przekonał mnie, że podejrzenia Lawsona są nieuzasadnione. Ktoś, kto ma złe zamiary, nie zachowuje się tak niefrasobliwie. Scott to po prostu nieszkodliwy włóczęga. Kiedy podszedł do mnie, zauważyłem, że coś ma przewieszone przez ramię.

„Nie bardzo się udało — powiedział z uśmiechem. — Zaledwie dwa zajączki. Ale na dziś starczy. Jutro wybiorę się znowu. No, jak tam wasze minerały?"

„Kończymy robotę. Czas wracać" — odparłem.
„Na mnie też już czas. Do Klondike kawał drogi..."

25 maja
Sprawy przybrały zupełnie nieoczekiwany obrót. Ale do rzeczy. Dzisiaj rano Scott udał się znowu na polowanie. W kilka minut po jego odejściu Lawson chwycił za strzelbę.
„Dokąd to?" — zapytałem.
„Idę za Scottem, ten człowiek mi się nie podoba. Muszę sprawdzić, co robi za naszymi plecami."
„Co robi? — roześmiałem się. — Przecież poluje, przyniósł dowody."
Lawson pominął milczeniem moją odpowiedź.
„Niech pan wszystko przygotuje, profesorze, abyśmy mogli w każdej chwili wyjechać."
Wzruszyłem ramionami oświadczając, iż nadal nie podzielam tych podejrzeń, ale niech tak będzie. Przygotuję konie do drogi. Na tym się rozstaliśmy. Okazało się, że wcale nie na długo. Po trzech godzinach Lawson wrócił. Musiał widać bardzo się spieszyć, bo był zadyszany, a twarz pokryły mu kropelki potu.
„Co się stało?" — zapytałem.
„Ufff... Niech złapię oddech. Trzeba stąd wiać."
Nigdy jeszcze nie widziałem inżyniera w takim stanie podrażnienia.
„Ten pański Scott spotkał się w górach z jakimś drugim typem. Nie wiem, o czym rozmawiali. Nie mogłem podejść bliżej. Tamten miał konia, lękałem się, że zwierzę poczuje moją obecność."
„Inżynierze, niechże się pan uspokoi. Przecież takie spotkanie mogło być zupełnie przypadkowe. Jestem pewien, że Scott sam nam o tym opowie."
„Zobaczymy."
Postanowiliśmy wyruszyć nazajutrz rano. A jeżeli Scott nie zechce jechać razem z nami?... Zastanawiałem się nad faktem, iż do tej pory nie zauważył on opuszczonej chaty. Czy to nie dziwne?... Co prawda po dolinie prawie wcale nie chodził, tyle tylko, co do swego konia. A może nie zauważał jej naumyślnie?... Czyżby Lawson miał rację? Nie, to chyba niemożliwe.
Długo debatowaliśmy, jak skłonić Scotta do wyruszenia razem z nami, tak aby nie wyglądało to sztucznie. Nic nie przychodziło nam do głowy. Dopomógł, jak często bywa, przypadek. Dwie godziny później wrócił nasz nieznajomy. Był nie mniej zmęczony od inżyniera.
„Słuchajcie — powiedział — ja tu dłużej nie zostaję. I wam radzę zrobić to samo. Jutro ruszam w drogę. Tu się kręcą jakieś podejrzane typy..."
Pomyślałem, że zaraz opowie nam o swym spotkaniu i podejrzenia Lawsona jeszcze raz okażą się wytworem jego fantazji.
Pomyliłem się jednak. Podejrzane typy w rozumieniu Scotta to byli czerwonoskórzy. Twierdził, że widział ich kilkunastu. Mogła to być istotnie wiadomość niepomyślna. Scott opowiedział nam, że przed kilku laty od kul tych Indian padła cała pięcioosobowa wyprawa traperska. Może to i prawda...
Wyruszamy więc jutro rano. Przez noc będziemy kolejno pełnić wartę. Podczas swego dyżuru zakopię w chacie ten pamiętnik. Tak mi poradził Lawson.

Ktokolwiek znajdzie tę puszkę z rękopisem, proszony jest o dostarczenie jej do uniwersytetu w St. Louis (USA). Koszty zostaną pokryte z nadwyżką.

Myślę jednak, że sam ją otworzę, albo w tym jeszcze roku, albo na wiosnę roku przyszłego, gdy przyjedziemy tu po raz drugi..."

W pułapce

Po przeczytaniu notatek Smotha nie wyraziłem o nich głośno swego zdania. Czekałem, aż zaznajomią się z nimi moi towarzysze.

Przy wieczornym ognisku rozpalonym w chacie — kiedy dwaj młodzi wojownicy poszli strażować na obu krańcach doliny — rozmawialiśmy na ten temat.

— Sprawa wydaje się bardzo prosta — zaczął Karol. — Dali się wciągnąć w zasadzkę. Ten bandyta na pewno ich namówił, aby nie wracali przez góry, lecz przez prerię. Pewnie zaofiarował się jako przewodnik. Dziwię się tylko, że Lawson — bardziej podejrzliwy — przystał na taką propozycję. A może sądził, że na otwartej przestrzeni będzie bezpieczniej? Co nastąpiło dalej, wiemy. Już nie z tych zapisków...

— Dziwna to historia — powiedziałem. — Jak wynika z notatek, podejrzewali jednak Scotta o złe zamiary. Czemuż nie mieli się na baczności?

— Ba! Inżynier nie ufał, ale ten profesor... Oto do czego prowadzi łatwowierność.

— Gnębi mnie pytanie: kim był ten drugi, którego widział inżynier?

— Proste. Wspólnik Scotta. Rzekomego Scotta, bo ja też nie wierzę, że to prawdziwe nazwisko. Przypuszczam, że Scott przybył do doliny pierwszy i miał czekać na towarzysza. Pewnie dlatego nie przedsięwziął żadnych wrogich kroków przeciwko geologom. Dopiero jak się spotkali, uzgodnili plan działania. Prawdopodobnie ów wspólnik w drodze powrotnej cały czas jechał za nimi. Myślę, że to on rozciął w Ukrytym Mieście skórę tipi i oswobodził Scotta. Potem zapewne poległ — albo podczas utarczki w górach, albo podczas naszej pogoni za Scottem przez prerię.

— Z tego wynikałoby, że bandyta miał dwóch wspólników.

— Słusznie, Janie. Ale gdzie ich poznał i kim oni byli, tego nie odgadniemy.

Czerwona Chmura przysłuchiwał się z uwagą naszej rozmowie. Teraz zabrał głos.

— Moi biali bracia nie mylą się. Tych dwóch ludzi zginęło. Trzeci już tu nie wróci, bo ściga go Mitchell. Nie mamy nic więcej do roboty w dolinie. Trzeba odjeżdżać. Zbadaliśmy z Wielkim Bobrem zbocze i grzbiet góry. Śladów ludzkich nie ma. Są tylko znaki po obsuniętych głazach. Mógł je zwalić grizzly lub brunatny niedźwiedź. Jutro ruszamy. Howgh!

Zgodnie przyznaliśmy rację czarownikowi. Jak bardzo jednak wszyscy trzej myliliśmy się!

Źle spałem tej nocy, toteż kiedy Karol zbudził mnie szarym świtem, byłem bardzo senny, ale i zadowolony, że noc już minęła. Szybko uwinęliśmy się z posiłkiem, spakowaliśmy manatki i wskoczyli na konie. W tej chwili pierwszy promień słońca padł na zbocze zamykające dolinę.

— W drogę! — zawołał Karol i popędził konia.

Dwaj młodzi wojownicy wydali radosny okrzyk. Ruszyliśmy zielonym kobiercem aż ku kamiennej cieśninie dwóch skalnych iglic, stanowiących jak gdyby wrota Doliny Siodła. Na czele jechał Karol. Gdy koń jego znalazł się dwa-trzy jardy od wylotu... nagle jedna z iglic

drgnęła. Straszliwy huk odbił się grzmiącym echem o pobliskie zbocza. Iglica runęła z grzechotem, tarasując przejście.

Usłyszałem głos Karola:

— Z koni!

Moi towarzysze cofnęli się za najbliższe drzewa. Zeskoczyłem z konia i ciągnąc go za uzdę, pobiegłem za nimi. Z zawalonego przejścia unosiła się jeszcze ku niebu szara smuga kurzu. Nie mogłem wykrztusić słowa. Spojrzałem na Karola i na Czerwoną Chmurę. Twarze mieli zacięte jakieś, groźne. Obok stali dwaj wojownicy z bronią wymierzoną w kierunku zasypanego przejścia.

— Co to... co to wszystko znaczy? — wyjąkałem wreszcie.

— Zaczyna się niebezpieczna gra, Janie. Weszliśmy komuś w drogę.

— Dlaczego runęła skała? To znowu przypadek?

— Zbyt wiele tych przypadków, Janie. Skałę wysadzono. Teraz domyślam się, że i nas chciano w nocy wysadzić w powietrze. To nie był wybuch amunicji.

Zaczęliśmy się naradzać. Wniosek z tej narady był jeden: jeśli nie można opuścić doliny tym wyjściem, trzeba opuścić ją drugim. Nadkładaliśmy w ten sposób spory szmat drogi, ale nie było innej możliwości. Dokładnie przyjrzałem się spiętrzonym głazom przez lornetkę. Zręczny i śmiały człowiek jakoś by się tamtędy przedostał, o przejściu koni nawet nie można było marzyć. Zdecydowaliśmy posuwać się najpierw skrajem lasu, tak aby jak najdłużej kryły nas drzewa. Dopiero potem wskoczyliśmy na siodła. Tym razem, na rozkaz Czerwonej Chmury, ruszyliśmy cwałem, a przed nami pognali dwaj młodzi wojownicy. Nie dojechali jednak do celu. Znowu huk, lawina kamieni, kurzawa — i drugie przejście zawalone. Ściągnąwszy uzdy, przez kilka sekund tkwiliśmy w siodłach jak posągi. Pierwszy zeskoczył Czerwona Chmura. W tej chwili nad cyplem skalnym, wznoszącym się naprzeciw zawalonego przejścia, ukazała się czyjaś głowa.

— Patrzcie! — zawołałem. — Tam!...

Dalsze słowa uwięzły mi w gardle, bo oto z góry spłynął ku nam szaleńczy krzyk:

— Wy głupcy! Jesteście w moich rękach! Nie wyjdziecie stąd! Zdechniecie tu z głodu! Ta dolina jest moja! Znaleźliście się w potrzasku!

Potem rozległ się przerażający śmiech i nim ktokolwiek z nas zdołał przyłożyć broń do ramienia, głowa znikła.

— To on — powiedział Karol. — To ten zbrodniarz. Ale myli się, że to nasz koniec. To jego koniec. Sam tego chciał... A teraz cofnijmy się do lasu!

— Karolu, chyba się mylisz? Widzieliśmy, jak skakał do jadącego na wschód pociągu! Jakim cudem mógłby tak szybko się tutaj zjawić?

— Przecież słyszałeś. Sam się przedstawił.

— Wielki Bóbr słusznie mówi — orzekł Czerwona Chmura. — To ten sam człowiek. Wskoczył do żelaznego wozu, żeby was zmylić. Potem bardzo szybko wyskoczył...

— Ale koń! Przecież nie przywędrował tu pieszo. To niemożliwe!

— Niepotrzebnie się nad tym głowisz, Janie. Konia musiał gdzieś zdobyć przy pomocy jakiejś swojej sztuczki. Ale co nas to obchodzi! Mnie interesuje tylko to, czy on jest sam, czy w jakiejś liczniejszej kompanii?

— Czym rozsadził skałę? — zapytałem jeszcze.

— Czym? Dynamitem, jeśli się nie mylę. To znakomity materiał wybuchowy, znany chyba od piętnastu lat. Prawdopodobnie ukradł go z pociągu, którym jechał. Zresztą, do licha z nim i z jego dynamitem! Pomyślmy lepiej, jak się stąd wydostać.

Zostawiliśmy konie w lesie pod opieką młodych wojowników i poszliśmy do wnętrza chaty. Tu można było względnie spokojnie rozpatrzyć sprawę.

Ciągle jeszcze brzmiał mi w uszach ten obłąkańczy wrzask i gdy w myślach zestawiłem go z pochlebnym wizerunkiem odmalowanym w zapiskach Harry Smotha, zdumiała mnie wspaniała maska, jaką na co dzień bandyta zakrywał swe oblicze.

Naradę rozpoczął Czerwona Chmura.

— Moi biali bracia wiedzą, że żywności starczy nam na dwa dni. Z tej doliny łatwo można się wydostać, ale... bez koni. Nie przejdą ani tym zboczem lesistym, ani tamtym. Musimy odwalić skały!

Z kolei zabrał głos Karol.

— Mój brat mówi prawdę. Możemy się stąd wydostać, ale bez koni. To znaczy: nie możemy się stąd wydostać.

Droga jest ciężka i o pokonaniu jej pieszo przed nadejściem zimy nawet marzyć nie można. Zresztą on na pewno ma konia i mógłby tysiąc razy po kolei nas wystrzelać. Odwalenie głazów to sprawa tak samo niebezpieczna. Pod¬ czas takiej roboty grozi nam w każdej chwili kula albo jeszcze gorzej — dynamit. Przecież on gdzieś tu siedzi i będzie bacznie obserwował każdy nasz ruch. Czy nie mam racji?

Pochyliliśmy głowy w zgodnym potwierdzeniu.

— Myślę więc — mówił dalej Karol — że musimy zacząć od czegoś zupełnie innego. Trzeba tego rzekomego Scotta stąd przepędzić.

— W jaki sposób? — wyrwałem się.

— Cierpliwości. Zaraz wyjaśnię. Przypuszczam, że Scott ukrywa się za tym nagim grzbietem albo w pobliżu któregoś z zawalonych przejść. Stamtąd ma najlepszy widok na całą dolinę. Jeżeli będziemy próbowali wdrapać się na grzbiet panujący nad doliną, forsując nagie zbocze, nie wiem, ilu z nas osiągnie cel. On zacznie strzelać z ukrycia, my będziemy całkowicie odsłonięci. Dlatego proponuję co innego: wdrapać się na grzbiet zalesiony. Byłeś tam, Janie, i wiesz, czy podejście jest trudne.

Odpowiedziałem, że chociaż stromizna jest znaczna, nie istnieją inne przeszkody. O zejściu stamtąd jednak mowy nie ma. Z drugiej strony zbocza otwiera się przepaść.

— Dobrze, Janie. Więc wdrapiemy się na ten lesisty grzbiet i pójdziemy nim ku zawalonemu przejściu. Tam nastąpi najniebezpieczniejszy moment: trzeba będzie przeskoczyć...

Tu Karol przerwał i popatrzył na nas, jakby chciał odczytać z naszych twarzy, jakie wrażenie zrobiła ta propozycja. Czerwona Chmura nawet nie drgnął. Ja natomiast przypomniałem sobie wysokość, jakiej sięgały skalne iglice Doliny Siodła, a przede wszystkim odległość pomiędzy nimi, i zimny dreszcz przebiegł mi po krzyżu. Aby ukryć zmieszanie, siląc się na spokój zapytałem:

— Odległość między tymi iglicami jest chyba dość spora?

— Nie bardzo. Przecież zaledwie jeden koń mógł przejść „bramą". A poza tym skok będzie ułatwiony: przeciwległa iglica została częściowo zwalona, wypadnie skakać po linii pochyłej. Chyba damy sobie z tym radę?

— Oczywiście — odparłem, chociaż wszystko we mnie buntowało się przeciw temu projektowi.

— Całe więc niebezpieczeństwo polega tylko na tym — tłumaczył Karol — że w chwili skoku znajdziemy się pod ostrzałem. Niczym nie osłonięci! Skaczący musi być ubezpieczony przez dobrego strzelca. Myślę, Janie, że ta rola najlepiej by ci odpowiadała.

Zaprotestowałem gwałtownie.

— Jak to? Ja mam tkwić w dolinie, a wy będzie narażać życie?

— Mój biały brat się myli — odezwał się czarownik. — Kule Scotta mogą tak samo dosięgnąć jego, jak któregoś z nas.

— Słuchaj, Janie — poparł go Karol — przecież jeden z nas musi zostać na dole.

— Ale dlaczego ja?

— Dlatego, że dobrze strzelasz. Jeżeli zdołamy zajść Scotta od tyłu, kto wie, czy nie będzie próbował ucieczki przez dolinę. Wówczas ty go zatrzymasz. Obejmujesz posterunek wcale niełatwy. No, sprawdźmy broń i w drogę! Ty, Janie, stań tam, widzisz? Za ostatnim drzewem. I uważaj. Będziesz mógł obserwować całe zbocze. Jeśli zobaczysz coś podejrzanego, strzelaj.

Początkowo lękałem się skoku nad przepaścią, ale teraz ciężko mi się zrobiło na sercu, że nie biorę udziału w karkołomnej wyprawie. Wydało mi się nagle, że opuszczam towarzyszy w najbardziej niebezpiecznym momencie. Decyzja jednak zapadła i należało się jej podporządkować. Zostałem sam. Tkwiłem za drzewem, z lornetką przyłożoną do oczu. Bez przerwy obserwowałem nagą płaszczyznę zbocza i oba zawalone wejścia do doliny. Nigdzie nawet cienia człowieka. To właśnie najbardziej mnie niepokoiło — niepewność oczekiwania.

Minuty dłużyły się, a niczym nie zamącona cisza coraz bardziej denerwowała. Jak długo tak sterczałem za pniem drzewa, nie wiem. W pewnej chwili, wysoko w górze, tam gdzie kończył się las i wąski pas nagiej skały zamykał bramę doliny, dostrzegłem pochyloną sylwetkę człowieka. Przyjrzałem się jej dokładnie. Był to jeden z młodych wojowników. A gdzie reszta?

Nie potrafiłem ich wyśledzić. Prawdopodobnie kryli się wśród głazów. Wróg także milczał, chociaż w każdej chwili mógł dać znać o sobie. Widziałem, jak Indianin powoli zbliża się ku skrajowi przepaści... Na koniec wyprostował się i skoczył. W tej sekundzie padł strzał. Indianin dosięgnął zwalonej iglicy i upadł. Na strzał odpowiedziały strzały moich towarzyszy. Do kogo mierzyli, nie wiem. Nadal nie widziałem przeciwnika. Czyżby Indianin został ranny, a może zabity? — o tym również nie mogłem się przekonać.

Wszystko, co opisałem, trwało najwyżej kilka sekund. Znowu zapanowała cisza. Indianin nie podnosił się. Ogarnęło mnie przerażenie. Uchodził on za świetnego biegacza i był niezwykle zręczny. Jeśli nawet jemu nie udało się wyjść cało z próby sforsowania przepaści — któż to potrafi? Pomysł Karola to czyste szaleństwo! Stałem bezsilny, niezdolny pomóc im w czymkolwiek.

Nagle ujrzałem ciemną sylwetkę: ktoś wyskoczył zza potężnego głazu i dał susa nad przepaścią. Znowu zabrzmiał huk strzału, nie wiadomo, skąd oddanego, i odpowiedziała mu podwójna palba. Jeszcze nie przebrzmiało jej echo, gdy dostrzegłem znów dwie postacie, jedna po drugiej przebywające wielkim łukiem przestrzeń pomiędzy obiema iglicami. Raz jeszcze odezwała się strzelba, raz jeszcze odpowiedziała jej podwójna palba. Ciągle nie mogłem sobie nawet wyobrazić, co się tam, za tym skalnym grzbietem, działo.

Niecierpliwość moja rosła z sekundy na sekundę. Czy tutaj w ogóle potrzebna jest straż? Oba wejścia do doliny zawalone. Konie nie mogą uciec, nikt ich stąd nie wyprowadzi. Nawet sam Scott, gdyby jakimś cudem się tu zjawił.

Zdecydowałem, że jeśli w ciągu najbliższych kilku minut nic się nie wydarzy, rozpocznę akcję na własną rękę. Nie wiedziałem jeszcze, na czym ona winna polegać, ale wydawało mi się koniecznością wydostać się na zalesiony grzbiet. Niewiele już brakowało, a rozpocząłbym swą samotną wędrówkę. Na szczęście wróg czy przyjaciele dali znać o sobie. Najpierw padł jeden strzał, później, jak gdyby w odpowiedzi, drugi, na koniec rozpętała się regularna strzelanina.

Mogłem tylko przypuszczać, w której dzieje się to stronie, bo stokrotne echo odbijało się o górskie szczyty. Domyślałem się, że starcie nastąpiło gdzieś za grzbietem nagiej góry. Jak się później okazało — słusznie.

Po pewnym czasie strzelanina ucichła. Wytrzeszczałem oczy na nagie zbocze, ale nikt się na nim nie ukazał. Znowu huknął pojedynczy strzał i zapanowała cisza. Cóż tam, się, u licha, działo?

Raz jeszcze odruchowo przyłożyłem lornetkę do oczu. Spojrzałem w przeciwległym kierunku doliny, gdzie nagie zbocze spadało ku strumieniowi i gdzie znajdowało się drugie wyjście. Wydało mi się, że na tle ciemnych skał coś się rusza, coś posuwa się w kierunku wody.

Zwierzę czy człowiek?

Odległość była dość znaczna. Zdecydowałem się opuścić posterunek. Szybkim krokiem ruszyłem ku przeciwległemu krańcowi doliny. Gdy przebyłem prawie połowę drogi, ruchomy kształt znajdował się już przy korycie strumienia. Przyspieszyłem kroku i znowu spojrzałem przez lornetkę. Wynik był taki, iż zawadziłem nogą o kamień i runąłem na ziemię. Lornetka wypadła mi z ręki, a lufa sztucera ugrzęzła w piachu. Był to chyba najpaskudniejszy przypadek, jaki mnie w życiu spotkał. Kiedy się zerwałem, sylwetka człowieka — bo to był człowiek! — znikała już na skraju lasu. Lufa mojego sztucera porządnie zapchała się ziemią. Cisnąłem go jako bezużyteczną teraz broń. Wydobyłem kolta, oddałem trzy strzały alarmowe i rzuciłem się w pogoń. Wytężałem siły, ile tylko mogłem, pamiętając, że ściana lasu staje się coraz bardziej stroma i powinienem jak najprędzej zbliżyć się do uciekiniera. Drzewa rosły dość gęsto, widoczność była licha. Na szczęście uciekający nie zachowywał ostrożności. Słyszałem trzask gałęzi i tupot nóg. Biec już nie mogłem — zbocze stawało się coraz bardziej pochyłe. Dręczyła mnie obawa, że uciekinier zaczai się niepostrzeżenie za którymś z drzew i w najlepszym wypadku minę go. W najgorszym — poczęstuje mnie kulą. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że jest dobrze uzbrojony.

Chwytając się gałęzi, wspinałem się, jak mogłem najszybciej, po tej piekielnej stromiźnie. Usiłowałem oddychać miarowo i głęboko, ale pot wystąpił mi na twarz i czułem przyspieszone bicie serca. Nagle rozległ się strzał i coś stuknęło. Na pniu sąsiedniego drzewa ukazała się jasna szrama. Przypadłem do ziemi. Uciekający mnie widział... Gdzie on jest, w jakiej stronie?

Należało zdobyć się na cierpliwość i zimną krew. Powolutku, schylony, posuwałem się teraz od pnia do pnia, starając się wywoływać jak najmniej hałasu. Pocieszała mnie tylko myśl, że uciekający znajduje się w niemniej trudnym położeniu.

Znowu rozległ się strzał, potem drugi i trzeci. Tym razem nie strzelano w moim kierunku. Domyśliłem się, że to przyjaciele dają znać o sobie i czekają na odzew. Dwa razy pociągnąłem za spust. Jeszcze nie przebrzmiał huk, gdy nastąpiła odpowiedź, ale z góry, od uciekiniera. I tym razem skończyło się na odłupaniu kory z drzewa. Jak długo jednak mogłem cieszyć się takim szczęściem? Do trzech razy sztuka — powiada przysłowie.

W pewnej chwili ujrzałem prześwitujące między pniami drzew niebo. Znajdowałem się tuż pod szczytem. Uciekiniera jednak nadal nie widziałem. Ostatnie kilka jardów przebyłem czołgając się. Na koniec osiągnąłem płaski grzbiet. Drzewa rosły tu rzadziej. Ukląkłem za jednym z nich. Gdzież kryje się mój przeciwnik, w jakiej stronie?

Na lewo wiodła droga, którą udali się moi towarzysze. Uciekinier mógł przypuszczać, że będą tędy wracać. Skierowałem się więc na prawo. Szedłem szybko, właściwie biegłem. Wreszcie dostrzegłem ciemną plamę migającą między drzewami. Więc nie pomyliłem się, to był on! Dwukrotnie nacisnąłem spust kolta. Uciekający nagle zniknął mi z oczu. W sekundę później obłoczek błękitnego dymu wykwitł zza pnia wyniosłego świerka. Usłyszałem huk i przykry świst kuli. Odruchowo skoczyłem za drzewo. Czekałem. Po chwili ciemny kształt oderwał się od pnia i wolno przesunął się za następny. Uczyniłem to samo. Ta makabryczna zabawa w chowanego powtórzyła się kilka razy. Nie wiem, jak długo by trwała — las porastał przecież milową przestrzeń grzbietu — gdyby nie przerwało jej niespodziewane pojawienie się trzeciego aktora tego dramatu. Poznałem go natychmiast po stroju. Wynurzył się z gęstwy rosnących niżej krzewów, w sporej odległości za ukrytym przeciwnikiem.

— Czerwona Chmura! — krzyknąłem. — Jestem tutaj! Czy go widzisz?

— Niech mój biały brat się nie rusza! Teraz go schwytamy!

Jeszcze nie przebrzmiały te słowa, gdy poczułem na ramieniu czyjąś rękę. Odwróciłem się błyskawicznie, z palcem na spuście. Sekunda — i byłbym go nacisnął. Na szczęście refleks nastąpił w odpowiedniej chwili. Odetchnąłem głęboko.

— Bez takich niespodzianek, Karolu. Niewiele brakowało, a byłbym cię zastrzelił...

Nie zdążył odpowiedzieć, bo dwukrotny strzał zamącił leśną ciszę.

— Szybko! — zawołał Karol.

Wybiegliśmy zza drzewa. Ujrzałem, jak z przeciwległej strony zbliża się Czerwona Chmura, a spośród krzewów wyskakuje któryś z młodych wojowników. Nasz przeciwnik znalazł się pośrodku tego koła. Poznałem go teraz. To był morderca znad Jeziora Jelenia. On, człowiek z blizną. Rzekomy Scott!

Stal teraz w kręgu słonecznego światła, mocując się z karabinkiem. Widocznie zaciął mu się zamek.

Czerwona Chmura znajdował się najbliżej Scotta. Biegł wielkimi susami. Z przeciwnej strony pędził Karol, któremu następowałem na pięty. W pewnej chwili Scott, nie mogąc uporać się z bronią, spojrzał dokoła i błyskawicznie rzucił się do ucieczki. W jedynym kierunku, jaki pozostał przed nim otwarty —- ku przepaści. Czyżby o niej nie wiedział?

Na samym skraju grzbietu zatrzymał się na chwilę, odwrócił się i zobaczył nadbiegającego czarownika. Czerwona Chmura znajdował się teraz o dwa jardy od niego. Scott wrzasnął coś niezrozumiale, wyrzucił w górę ręce i skoczył.

Dopadłem miejsca, w którym stał przed sekundą, i nogi za trzęsły się pode mną. W dole ziała przepaść spowita siną mgiełką.

Nie odezwaliśmy się słowem, stojąc tak we czterech nad otchłanią, która stała się grobem człowieka z blizną. Nasłuchiwaliśmy długo, ale żaden dźwięk nie dotarł do naszych uszu.

Wróciliśmy do doliny. Tam czekał piąty nasz towarzysz. Karol opowiedział mi, że rzekomy Scott miał kryjówkę po przeciwległej stronie nagiej góry. Tam, w grocie, stał jego koń i leżała... spora paczka dynamitu.

— To właśnie skłoniło go do ucieczki — mówił Karol. — Początkowo bronił się w tej grocie, potem prawdopodobnie ogarnął go lęk, że któraś z naszych kul trafi w paczkę z dynamitem i spowoduje eksplozję.

Okazało się, że grota miała drugie, prawie niewidoczne wyjście. Tamtędy wymknął się Scott. Moi towarzysze nadal ostrzeliwali grotę, co pozwoliło mu niepostrzeżenie wspiąć się na grzbiet góry i uciekać przez Dolinę Siodła.

Kiedy z kolei opowiedziałem, jak dostrzegłem zbiega i jak go potem ścigałem, Karol — jak to miał w zwyczaju — poklepał mnie po ramieniu, a Czerwona Chmura krótkim: „Uff!" wyraził swój podziw.

— Dobrze, żeś strzelał, Janie, to nas zorientowało, a w ogóle gdyby nie ty, Scott znowu by nam się wymknął.

— Czy nie warto sprawdzić, co się z nim stało?

Karol z dezaprobatą potrząsnął głową.

— Przepaść! — powiedział. — Czego można oczekiwać po skoku z takiej wysokości? Scott sam sobie wymierzył sprawiedliwość.

Wiele spraw nie zostało jednak w pełni wyjaśnionych. Jakim na przykład sposobem Scott zdołał tak szybko po nas przybyć do Doliny Siodła? Może Czerwona Chmura miał rację twierdząc, iż wkrótce opuścił pociąg jadący na wschód i złapał inny, w kierunku zachodnim. Ale co się stało z sierżantem Mitchellem z Królewskiej Konnej? Czy ściga go jeszcze po błędnym tropie?

Długo zastanawialiśmy się, co uczynić z pamiętnikiem Smotha. Proponowałem, że przekażę go uniwersytetowi w St. Louis. Karol sprzeciwił się temu. Twierdził, iż rękopis należy wręczyć osobie zajmującej się z urzędu sprawą Scotta, a więc właśnie Mitchellowi.

— Twój pomysł, Janie — mówił — jest dla nas dość niebezpieczny. Przecież musiałbyś się tłumaczyć, skąd masz te zapiski. Policja z St. Louis na pewno rozpoczęłaby śledztwo. Zanim by się zwrócili do Królewskiej Konnej, zanim odnaleziono by sierżanta, najprawdopodobniej na tobie ciążyłoby podejrzenie o morderstwo. Daj temu spokój! Przekażmy sprawę w ręce sierżanta. On już będzie wiedział, jak postąpić.

Po namyśle przyznałem rację Karolowi. Dręczyła mnie jedynie wątpliwość, czy Mitchell nie zainteresuje się zbyt gorliwie Doliną Siodła. Byłoby to sprzeczne z interesami Czarnych Stóp, mogłoby przekreślić nasze plany i nadzieje.

Podzieliłem się swymi obawami z przyjaciółmi. Przyjęli je, jak na to zasługiwały, bardzo poważnie. Nie znaleźliśmy jednak innego wyjścia z sytuacji. O wielu sprawach trzeba opowiedzieć Mitchellowi. Oczywiście jak najmniej o samej Dolinie Siodła i nic o planach związanych z przyszłością Czarnych Stóp.

Niepokoiła mnie także myśl, że uniwersytet w St. Louis ma pewne prawa do odkrytego przez nas skarbu. Czy nie należałoby przekazać na jego cele chociaż części złota?

Okazało się, że nie tylko ja miałem tego rodzaju wątpliwości. Rozstrzygnął je Czerwona Chmura. Oświadczył, iż część skarbu trzeba ofiarować uniwersytetowi w St. Louis. Będzie to tylko mizerne zadośćuczynienie za śmierć jednego z jego pracowników.

Pobyt w dolinie przedłużyliśmy jeszcze o trzy dni. Minęły one pod znakiem dalszych poszukiwań, przeprowadzonych na dnie strumienia i na zboczu góry. Nasz woreczek pęczniał od drobnych ziarenek złotego piasku. Według prowizorycznych obliczeń Karola zebraliśmy go za sumę około pięciu tysięcy dolarów. Przed odjazdem zasypaliśmy dokładnie złotodajne doły.

Liście drzew i krzewów zaczynały już żółknąć. Nadchodziła górska jesień. Któregoś ranka wskoczyliśmy na siodła.

Do zobaczenia!

Wracaliśmy bez zbytniego pośpiechu. Jesień to w górach najpiękniejsza chyba pora roku. Jakże wspaniałych barw nabiera przyroda! Od ciemniejącej zieleni traw po czerwień i złoto klonowych liści. Między tymi dwoma kolorami rozciąga się bogata gama barw.

Było na co patrzeć, zwłaszcza mnie — urodzonemu mieszczuchowi. Kończył się mój paromiesięczny pobyt na prerii i w górach Kanady. Pobyt pełen nieoczekiwanych wrażeń: smutku, zwątpień, tragedii, ale i radości. Czułem się doskonale. Zimę jakoś przebieduję w Milwaukee i znów powrócę tu wczesną wiosną, kiedy zaczną się zielenić młode trawy, a świeże pąki pokryją gałęzie drzew.

Jakże będzie mi brakować przez zimowe miesiące zapachu dogasających drew na wieczornym ognisku, nocnego tupotu spętanych koni i dalekiego poszczekiwania kojotów. Wśród szarych kamienic miasta nie odnajdę świtów srebrnych od rosy, zapowiadających nadejście dni różowymi łunami na niebie...

Do Ukrytego Miasta wróciliśmy jak triumfatorzy. Powitała nas w komplecie starszyzna Czarnych Stóp, a potem zebraliśmy się w tipi Wysokiego Orła, gdzie Czerwona Chmura złożył sprawozdanie z wyprawy. Na zakończenie wyjął woreczek zrobiony z chusty Karola i wysypał na dłoń migotliwy piasek.

— Oto jest dobro i zło — powiedział. — Oto jest zbrodnia i cnota, oto droga do szczęśliwości i do zatracenia. Moi biali bracia pomogli nam odkryć siłę, która pozwoli Czarnym Stopom lepiej urządzić swe życie. Wielki Duch kierował krokami białych braci, pozwolił im odnaleźć plany. Przez ten złoty piasek zginęło wielu białych ludzi. Niesie on nieszczęście, gdy znajdzie się w złych rękach. Czarne Stopy wiedzą o tym i pilnie będą go strzegły, aby nigdy do takich rąk nie trafił. Howgh!

Długo w noc omawialiśmy plany przyszłej wyprawy. Do chwili jej rozpoczęcia Wysoki Orzeł i Czerwona Chmura przygotowywać mieli Czarne Stopy do zmiany dotychczasowych warunków życia, do zrozumienia oczywistego faktu, że myślistwo nie może już zapewnić im przyszłości.

Dnie pozostałe do wyjazdu spędziłem na beztroskim wypoczynku, a także — rychło w czas! — na uczeniu się języka Czarnych Stóp. Oprócz Karola wiele pomógł mi w tym Czerwona Chmura, który potrafił niezwykle obrazowo tłumaczyć pochodzenie niektórych słów. Podczas tych dni jeszcze bardziej zbliżyłem się do Indian, poznając ich życie i zwyczaje. Na pożegnanie pokazali mi taniec wojowników wyruszających na łowy.

Nie mogę powiedzieć, abym się cieszył w dniu odjazdu. Nadrabiałem jednak miną, jak tylko potrafiłem.

Do stacji kolejowej odprowadzili mnie Karol, Wysoki Orzeł, Czerwona Chmura i garść wojowników. Była to zaiste honorowa eskorta i specjalne wyróżnienie.

Rankiem wskoczyliśmy na konie i ruszyli w prerię. Poznawałem teraz widziane już poprzednio miejsca: kępy drzew, źródła, a także pamiętne Jezioro Jelenia, od którego wszystko się zaczęło.

Szybko mijały dni i noce. Któregoś popołudnia ukazało się przed nami pasmo lśniących torów, a obok nich budyneczek stacyjny i nieliczne zabudowania gospodarcze.

Po paru godzinach obozowania dostrzegliśmy na horyzoncie nadjeżdżający pociąg. Czas było się żegnać.

Poczułem przykry skurcz w gardle. Nie wiedziałem, co i jak mówić. Towarzysze ściskali mi dłonie.

— Niech Wielki Duch toruje ścieżki memu białemu bratu. Niech czyni jego serce mężnym i nieustraszonym! — powiedział przy tym Czerwona Chmura.

— Bywaj, Janie! Pamiętaj, że odwiedzę cię podczas zimy. Wtedy będziemy mogli się nagadać. A wiosną to wszystko na ciebie czeka — Karol zatoczył ręką krąg ogarniający zieloną przestrzeń, niebo zasnute bladymi obłokami i gromadkę ludzi, nad głowami których barwiły się pióropusze — oznaki wodzów i wojowników. — Myśl o nas dobrze, Janie!

Wzruszenie do reszty pozbawiło mnie mowy.

— Będziemy czekać na powrót naszego białego brata — dodał Wysoki Orzeł.

Pociąg ze świstem i zgrzytem zahamował przed budynkiem stacji. Konduktor otworzył drzwi wagonu. W oknach ukazały się twarze podróżnych, z zaciekawieniem przyglądających się malowniczej grupie Indian.

Poklepałem po szyi swego konia, który zostawał tutaj na zimę.

— Będziemy o niego dbać — obiecał Karol. — Chodź, już czas wsiadać.

Złożono w wagonie moje tobołki: starannie zwiniętą skórę grizzly i broń opakowaną w derki.

Podniosłem rękę ku górze na znak pożegnania. Wojownicy odpowiedzieli tym samym gestem.

Wskoczyłem na stopień wagonu. Karol raz jeszcze uścisnął moją dłoń i podał mi mały woreczek, uszyty z jeleniej skóry.

— Co to? — spytałem zdziwiony.

— To od Czerwonej Chmury, od Wysokiego Orła, ode mnie i od wszystkich Czarnych Stóp. Na pamiątkę i... żebyś nie musiał się kłopotać.

Zrozumiałem i natychmiast odzyskałem głos.

— Karolu, ja tego przyjąć nie mogę. Nie mam do tego prawa i... nie chcę mieć złotego piasku.

— Nie upieraj się, Janie. Nie warto. To taki sam dar, jak futro grizzly, tylko nieco większej wartości. Nie możesz odmówić, jeśli nie chcesz obrazić ofiarodawców. Skąd wiesz, jak się teraz ułoży twoja praktyka lekarska? Pacjenci na pewno zdążyli już o tobie zapomnieć. Ten woreczek to przecież tylko znikoma cząstka tego, co znaleźliśmy i co jeszcze znajdziemy.

Pokręciłem przecząco głową. — Nie mogę, Karolu. Wierz mi, że nie mogę. Zbyt wiele krwi jest w tym złocie. Może ją zmyć tylko jakiś wielki cel. Co do mnie — dam sobie jakoś radę. Jeśli nawet początkowo będzie mi trudno, to przecież z głodu nie zginę.

— Do licha, Janie! Pójdźmy na ugodę: weź to w formie pożyczki. Nie będzie ci potrzebne, zwrócisz. Będzie potrzebne — zwrócisz później. No?... Decyduj się, bo inaczej cisnę to wszystko w krzaki!

Ustąpiłem. Nie chciałem chwili pożegnania mącić nie-spodziewaną kłótnią. Ostatecznie mogę ten złoty piasek przyjąć w depozyt.

Pociąg szarpnął.

— Do zobaczenia, Janie! Szczęśliwej drogi!

"Wszedłem do wagonu i zatrzasnąłem drzwi. Za oknem poczęła się przesuwać zielona preria.

Oczy przesłoniła mi wilgotna mgiełka. Kiedy znikły już w dali sylwetki przyjaciół, odwróciłem się i poszedłem w głąb wagonu. Nie trzeba się rozczulać jak dziecko. Nie męski to zwyczaj.

Howgh!